

PRZEDPŁATA

W Petersburgu rocznie rs. 10, półr. rs. 5, kwart. rs. 2 kop. 50. Na prowincję, w Cesarstwie i Królestwie oraz zagranicą: rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3, miesięcz. rs. 1. Ogłoszenia po kop. 15 od wiersza. Reklamy «Doniesienia» w tekście po 50 kop. Numery pojedyncze po kop. 20. Za dotarczenie ogłoszenia, prospektu i t. d., jednorazowo rs. 30, oprócz opłaty pocztowej (1/4 kop. od 1 kopytka każdego egzemplarza) i kosztów przesyłki do Petersburga.

Petersburg, dnia 11 (24) stycznia 1891 r.

BIURO

Redakcji i Administracji — przy «Księgarni Polskiej» Br. Rymowicz ul. Kazańska № 26, m. 38. Redaktor lub jego zastępca przyjmuje interesantów w poniedziałki, wtorki, piątki i soboty od 4—5 popołudniu. Adres dla listów i telegramów: «Petersburg — «Kraj». Ogłoszenia przyjmują: w Petersburgu — Administracja «Kraju», w Warszawie — Kantor «Kraju», przy ulicy Czystej № 2. Zagraniczne agencje: we Lwowie, Krakowie i Poznaniu w najlepszych księgarniach.

Dzisiejszy Nr. „Kraju” zawiera str. 28 (wraz z okładką), dodatek powieściowy str. 16; razem str. 44.

KURJEREK KSIĘGARSKI. PIV-15

NOWE KSIĄŻKI

otrzymane w redakcji „Kraju”.

Rospędowski L. Chemik-technolog. Ścisnione powietrze w zastosowaniu do mechanicznego wydymania szkła. Odbitka z «Przeglądu Technicznego». Warszawa, 1890. Str. 30 i 3 tabl. rysunków.

Autor wyjaśnia potrzebę zastąpienia praktykowanego po większej części dotychczas wydymania szkła ustami przez wydymanie mechaniczne. Następnie opisuje przyrządy, używane do wydymania mechanicznego, a wreszcie wyklada zasady, na których może być do tego celu zastosowaniem ściśnione powietrze.

Z. J. Naimski. Rocznik plocki. Kalendarz dla Płocka i okolicy na rok 1891. Płock, 1890. Str. 211.

Oprócz obszernego i dokładnego działu informacyjnego, znajdujemy tu: wiadomości biograficzne o byłym sufraganie płockim, ks. Kosowskim, oraz nowym biskupie ks. Nowodworskim, kronikę całoroczną płockiego życia religijnego, umysłowego, towarzyskiego i przemysłowo-handlowego; artykuł o emigracji, przez Witimira; «Stosunki etnograficzne w gub. płockiej», przez St. Chelchowskiego; «Cztery gminy nad granicą pruską», przez W. Dmowskiego; «Wzajemne poręczenie szkół gdańskich w Płocku», przez J. Turskiego (z dodaniem tekstu umowy); «Trzoda chlewna», przez H. Waśniewskiego; «Spostrzeżenia meteorologiczne stacji płockiej», przez L. Rutkowskiego.

Łoś hr. Wincenty. Linoskoczka. Powieść. Lwów, 1891. Tomów 2, str. 258 i 173.

Dzieje bogatego panieca, kochającego się w cyrkówce, którą ostatecznie, pomimo niezliczonych przeszkód, zaślubia.

Страхованіе отъ огня. Перевелъ съ польскаго О. Г—а. Kijów, 1890. Str. 51.

Jestto przekład drukowanego w ciągu ostatniego kwartału r. 1889 w «Kraju» dłuższego artykułu p. Sz—sz o ubezpieczeniach.

Oprócz wyżej wymienionych, Księgarnia Br. Rymowicz posiada na składzie następujące nowości:

«Album z poezji» hr. Aleksa Tolstoja, przełożył Antoni Godfryd-Doliwa, k. 60. Bellamy Ed. W roku 2000, powieść, k. 60.

Breza A. Literatura polska, 18 zeszytów, rs. 1 k. 80.

Bert Paweł. Pierwszy rok kształcenia naukowego, książka dla młodzieży, rs. 1 k. 50, kart. rs. 1 kop. 70.

Cullere Dr. A. U wrót obiedu. Studium psychologiczne, rs. 1 k. 50.

Cybulski Napoleon dr. prof. Fizjologia człowieka. Część I. Treść: Krew. Limfa. Mięśnie. Układ nerwowy, k. 75.

Darowski Adam. Pamiętniki Józefa Kossakowskiego biskupa Inflanckiego 1738—1788, rs. 1 k. 50.

Dygasiński Adolf. Pan Jędrzej Piszczalski, opowieść z niedawnych czasów. 2 tomy, rs. 1 k. 80.

Dzieje literatury powszechnej z ilustracjami, t. III. Okres pierwszy: Czasy humanizmu i reformacji. Część pierwsza. I. Literatura włoska XV i XVI wieku, opracowana przez Edwarda Porębowicza. II. Literatura hiszpańska wieku złotego, literatura portugalska, literatura francuska XVI wieku. Opracowane przez Juliana Adolfa Świącieckiego—rs. 2 k. 25.

Esteja. Kartki z życia kobiety. Powieść, odzn. na konkursie «Kur. Warsz.», z 52 ilustracjami Cz. Jankowskiego, rs. 2.

Farjeon B. T. Tajemnica Porte-Square, pow. z angielskiego, rs. 1.

Gawalewicz M. Drugie pokolenie, powieść, 2 tomy, rs. 2.

Grudziński Stanisław. Żona artysty, powieść obyczajowa, rs. 1 k. 80.

Heilpern M. Tajemnice przyrody. Wiadomości ogólne o świecie. Kurs, zawierający wskazówki do systematycznego wykładu nauk przyrodniczych. Wydanie, ozdobione 25 drzeworytami w tekście i jedną tablicą litografowaną—rs. 1 k. 50.

Jak można w małżeństwie nawet znaleźć szczęście, przez autora «Świata kobiet», rs. 1 k. 20.

Jokaj Maurycy. Bogaci nędzarze, powieść k. 75.

— Od Wisty do Gangesu, powieść, 2 tomy, rs. 2 k. 25.

Junosza Klemens. Z zapadłych kątów, obrazki, rs. 1 k. 50.

Kondratowicz Ludwik. Wybór poezji. Nowe wydanie. Pięć tomów, rs. 5, w pięknej płóciennnej oprawie rs. 7, z przes. rs. 8.

Konopnicka Marya. Moi znajomi, nowelle, rs. 1 k. 20.

Kramsztyk Stanisław. Fizyka bez przyrządów, z 34-ma drzeworytami w tekście. Książeczka I, k. 60.

Kraushar Aleksander. Drobiazgi historyczne, rs. 1 k. 80.

Lafargue Paweł. Praca umysłowa wobec maszyny, k. 35.

Łoś Wincenty hr. Linoskoczka, powieść, 2 tomy, rs. 2 k. 40.

— Jędrzek, powieść, rs. 1 k. 20.

Mantegazza P. Chora miłość, romans higieniczny, rs. 1.

— Głowa. Książka dla młodzieży, rs. 1 k. 20.

Marx Karol. Pisma pomniejsze. Serja trzecia: Przyczynek do krytyki ekonomii politycznej, k. 75.

Mickiewicz Adam. Ballady i romanse, sonety miłosne, sonety krymskie i po mniejsze poezje. z ilustracjami: E. M. Andriollego, C. Jankowskiego-KocorBatowskiego, Juliusza Kossaka, J. Makarewicza, M. Młodnickiej, T. Popiela i P. Stachewicza. Wychodzi zeszytami każdy po k. 30. Całość będzie się składać z dwunastu zeszytów. Jest do nabycia zeszyt 1, 2, 3, 4, rs. 1 k. 20.

Mignet M. Historia rewolucji francuskiej. 2 tomy, rs. 2.

Musset Alfred de. Poezje. Z ostatnich wydań wydał i przełożył B. L., k. 75.

Nicolay Ferdynand. Dzieci źle wychowane, opracował Lubowski, rs. 1 k. 50.

Orzeszkowa Eliza. Jedza, powieść, rs. 1 k. 20.

Perez B. Psychologia dziecka. I. Trzy pierwsze lata życia dziecka, rs. 1 k. 20.

Robinson Kruzoe. Opracowany dla młodzieży z rycinami kolorowanymi, k. 60.

Schofield A. T. Inny świat, czyli czwarty wymiar przestrzeni, k. 20.

Sienkiewicz Henryk. Bez dogmatu. 3 tomy, rs. 5.

Witkiewicz St. Na Przełęcz, wrażenia i obrazy z Tatr. ozdobione 135 rysunkami w tekście, na papierze welinowym, bez oprawy rs. 4, w ozdobnej oprawie z brzegami złożonemi, rs. 6.

Zapolska Gabriela. Fantazje i drobnostki, rs. 1 k. 50.

ATENEUM

PISMO MIESIĘCZNE

NAUKOWE I LITERACKIE
PIĘTNASTY ROK ISTNIENIA.

Warunki przedpłaty:

Prenumerata «Ateneum» w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego, wynosi:

Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.

Prenumeratorów z prowincji upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio: (R-1-3-1)

DO REDAKCJI „ATENEUM”. Obożna № 5.

KSIĘGARNIE

Gebethnera i Wolffa w Warszawie i Br. Rymowicz w Petersburgu polecają nowe, nadzwyczaj tanie wydanie

POEZYJ

AD. MICKIEWICZA

W 4-ch TOMACH,

poprzedzone zyciorysem, skreślonym przez d-ra Piotra Chmielewskiego i ozdobione portretem autora rysunku Horowitza. Sprzedaje się we wszystkich księgarniach miejscowych i na prowincji.

Cena 4 tomów kop. 80, w ozdob. opr. w płótno angielskie rs. 1 kop. 50.

Za przesyłkę w obrębie Królestwa po kop. 30, w guberniach bliższych Cesarstwa po kop. 50, a w dalszych po kop. 60 od egzemplarza dołączać należy.

Księgarnia polska BR. RYMOWICZ.

Petersburg, ul. Kazańska № 26

otrzymała na skład główny:

KRAUSHAR ALEKSANDER.

Drobiazgi historyczne. I.

TREŚĆ: Starościna Rawska. Sprawa Bolestraszyckiego. Pamflety astronomiczne. Podróż obywatela warszawskiego do Persji. Z weneckiego archiwum. Romans szlachecka szkockiego w Polsce. Echa Wiedeńskiego pogromu. Vincenzo Da Filicaia. Jakób Becal, Francja i Polska. Sprawa Dogrumonej. Kazimierz Jarochoński. Tadeusz Korzon. Historyjki i plotki historyczne. Improvizator z XVI wieku — rs. 1 k. 80.

Zwiastuny Bajronizmu.

(Dalszy ciąg).

III.

Tę tęsknotę do natury, ale już odartą ze słodkich złudzeń roussovskich, a skojarzoną natomiast z bolesnem zwątpieniem w możliwość szczęścia na świecie, znajdujemy w pierwszym większych rozmiarów dziele Chateaubrianda, w studjum o rewolucjach, *«Essay sur les Révolutions»* (1797). Zwykle przeciwstawiają późniejszy katolicyzm autora *«Atali»*, sceptycyzmowi jego pierwszej pracy; rozejrzawszy się jednak bliżej, przychodzi się do wniosku, że *«Genjusz Chrześcijaństwa»* jest naturalnem następstwem myśli, wypowiedzianych w rozmyślaniach o rewolucjach. Istotnego źródła przewrotów państwowych należy szukać, zdaniem autora, nie w tych zewnętrznych okolicznościach, któreby mogły wydać się na pierwszy rzut oka ich najnaturalniejszą przyczyną, ale gdzieś głębiej, w tym nieokreślonym niepokoju, zrosniętym z duszą ludzką, niepokoju, który rodzi wstręt do życia, do bólów jego zarówno jak do rozkoszy, pochodzi zaś bądź z poczucia innego lepszego istnienia, bądź z tajemniczej żądz Bogu. Ale ta tęsknota do bytu pełniejszego i szczęśliwszego żyje w umysłach ludzkich życiem nieświadomem, i sami działacze i twórcy przewrotów są nieświadomem jej narzędziem, wówczas, gdy tą widzialną sprężyną ich czynów, z której sami sobie umieją zdać sprawę i która bezstronnemu widza uderza przedewszystkiem, jest tylko płaski egoizm. Niepodobalo się mniichowi, że papież nie jego zakonowi ale innemu poruczył sprzedawanie odpustów, podniósł bunt, i ztąd Europa staje się na wieki całe widownią wojen i rzezi. *Pleurons sur le genre humain!* Starając się tem okiem sceptyka przeniknąć istotę rewolucyj, znajduje autor po za zasłoną szumnych słów i czynów same tylko niskie pobudki; niema na świecie postępu; człowiek, będąc słabym i z przyrodzenia ograniczonym, powtarza się bez końca, dzieje są wiecznem kręceniem się w kołku, po za które napróżno staramy się

wydostać. Więc porzucmy wszelkie dążenia naprzód, niema bowiem dla ludzkości klęski większej nad żądze nowych ideałów; przewroty krwawe, strumienie łez i krwi są tej żądz wynikiem; po przewrotach zaś powrót do starej treści i do starych form,—wieczne kręcenie się w kole! Zrozpaczony poeta rzuca przeciwko Bogu starą, jak świat, skargę: czemu się to dzieje, woła, że Bóg, którego wyobrażamy sobie jako najwyższe dobro, stwarza złe i skazuje ludzkość na nędzę wieczną i płacz? Może więc Boga niema? I na poparcie rozpaczliwego mniemania, znajdują się jak na zawołanie, nowe argumenty: Bóg nie mógł stworzyć świata z niczego. *Ex nihilo nihil*. Samo Pismo św. powiada, że na początku Duch Boży unosił się nad wodami. Więc jeśli Bóg nie stworzył, to zbudował świat z gotowego materiału, ale zbudował źle. Tym materiałem, tą formą pierwotną bytu, był chaos. Bóle, cierpienia i występki spoczywały w nim snem cichym, aż, budując świat, Bóg je powołał do życia i odtąd rozdierają one dusze ludzkie. Więc zamiast ładu i porządku, do których powinien dążyć dobry budowniczy, krzyczący bezład stanowi istotę budowy świata. Więc Bóg się pomylił, więc jest istotą ograniczoną i słabą, albo raczej Boga niema, gdyż łatwiej to ostatnie uzasadnić, niżli kreślić granice potędy Istoty, z pojęciem której nierozdzielnie związanem jest pojęcie najwyższej Mocy, Mądrości i Miłości.

Ale ten sceptyk, rozpaczający i wątpiący o istnieniu Boga, miewał chwile plemiennych uniesień religijnych, bo kochał namiętnie naturę i w naturze, jak Rousseau, czuł Boga. Z rozkoszą wsłuchiwał się w jej tysiączne odgłosy, które mu wiecznie powtarzały imię Stwórcy; ptaki śpiewały o Nim w powietrzu, wiatry roznosiły chwałę jego po lasach i stepach, pioruny głosiły potęgę, a ocean sławił nieskończoność. Gdy zaś niebo połyskiwało i mieniło się jaskrawymi odblaskami słońca, które gasło, gdy wchodzący z przebiegłego krańca księżyc rozsiewał światło łagodne i ciche, które, przenikając aż w głębie dusz, napelniało je jakąś senną tęsknotą, gdy fale morskie, iskrząc się purpurą i fioletami zachodu a srebrem

promieni miesięcznych, rozbiły się powoli o brzeg, aby skonać u stóp marzyciela, gdy uroczysta cisza zmroku ogarniała naturę, wtedy duszą całą tonął w tej ciszy poeta i słyszał w ostatnich szmerach dziennych, ginących w melancholicznym śnie nocy, tajemniczy szmer natury o Bogu, o dalekich błękitnych krainach wiekuistej harmonji i światła, o cichej przystani po trudach życia, o cichych rozkoszach na łonie bóstwa.

Podobne rozmyślania i marzenia znajdujemy w 31 rozdziale II części studjum o rewolucjach, więc nie dziw, że sceptyk ten widział w religji nietylko podstawę moralności, ale też źródło szczęścia i spokoju dla tych licznych umysłów, które umieją cieszyć się życiem, nie zadając sobie wiecznie pytania *dlaczego?* Ztąd to namiętnie powstawał przeciwko tym filozofom, którzy, burząc wiarę, zostawiają niezapełnione pustki w sercach ludzkich. Jeśli wiara jest złudzeniem, to bezwątpienia słodkiem złudzeniem, więc pocóż zdzierać zasłonę z oczu, pocóż odejmować nieszczęśliwym ich ostatnią pociechę?

Krytycy pomijają zwykle młodzieńcze dzieło Chateaubrianda, jako pozbawione zarówno naukowej jak literackiej wartości; zatrzymaliśmy się jednak nad niem, ponieważ jest najszczerzszym, jaki kiedykolwiek bądź napisał, może jedynym szczerym wylewem uczuć poety, daje pojęcie o istocie jego sceptycyzmu, tłumaczy nam całą późniejszą jego działalność. W rzeczy samej przeobrażenie sceptyka, płaczącego nad swoim sceptycyzmem, w wierzącego albo przynajmniej w gorącego obrońcę wiary, było rzeczą naturalną. Głęboki wstręt do wyuzdanych swawoli i gwałtów rewolucyjnych i niemniej głębokie a tłumaczące się dziedzicznością przywiązanie do tradycji przeszłości, brały powoli górę nad wątpliwościami religijnymi; gdy zaś do rak samotnego wygnańca w Londynie wpadł list od siostry, donoszący o śmierci matki, która do ostatnich chwil życia bolała nad brakiem wiary syna, list ten otworzył mu nagle podwoje świata zagrobowego, wydał mu się przestrogą z za grobu od matki, którą kochał serdecznie, która tyle cierpiała, poniewierana w więzieniach, wyzuta z mienia, pozbawiona widoku dzieci! Poczł wtedy ciepło pro-

ODCINEK „KRAJU”.

LUŻNE KARTKI.

[Hypnotyzm i zbrodnia].

zm. Przed paryzką ławą przysięgłych rozegrał się w drugiej połowie grudnia dramat, który przez rok przeszło zajmował prasę i opinie nadsekwankiej stolicy. Mówimy o sprawie zabójstwa komornika Gouffégo, który, zwabiony na schadzke przez Gabrjele Bompard, został, w jej mieszkaniu, zamordowany przez niejakiego Eyraud, kochanka i domniemanego spółnika zbrodni teje Gabrjeli. Zabójstwo dokonane zostało przez powieszenie; pobudką zbrodni była zwyczajna kradzież i rabunek. Rzecz ciągnęła się długo; wykrycie przestępstwa napotykało na różne trudności, sprawcy jego zbiegli do Ameryki i narazie nie dali się odszukać. Po kilku wreszcie miesiącach Gabrjela, powróciwszy do Paryża w towarzystwie innego jegomościa, oddała się sama w ręce policji, poczem odzyskano głównego sprawcę na Hawannie

i sprowadzono go również do Paryża. Eyraud do zbrodni się przyznał, sprawa więc z tej strony nie nastęrczała wątpliwości.

Pozostało określenie stopnia winy i uczestnictwa w zbrodni Gabrjeli Bompard. Tu właśnie zaczynały się trudności, tembardziej, że sąd, a raczej ława przysięgłych, znalazła się wobec zeznań wręcz przeciwnych. Gabrjela do spółnictwa się nie przyznawała, twierdząc, że była biernym tylko świadkiem zbrodniczego czynu, ulegała zresztą zupełnie przewadze Eyrauda. Dodać należy, że Eyraud jest 45-letnim mężczyzną, który ma żonę i córkę w wieku swej b. metresy, liczącej lat 21. Główny sprawca utrzymywał natomiast, że Gabrjela była nietylko jego spółniczką i pomocnicą w dokonaniu zbrodni, lecz że ona pierwsza powzięła myśl zabójstwa, połączonego z grabieżą, i poczyniła przygotowania odpowiednie. Sprawa tego uczestnictwa nie została wogóle dostatecznie wyjaśnioną. Przeciwno Gabrjeli świadczyło głównie zeznanie samego zabójcy, pragnącego widocznie pograć z sobą i swą ukochaną; niektóre fakty i okoliczności przestępstwa świadczyły zarówno na jej korzyść, jak i przeciwko niej. Ostatecznie zapadł werdykt,

skazujący Eyrauda na karę śmierci, zaś Gabrjele Bompard, której przyznano okoliczności łagodzące, na lat 20 ciężkich robót.

Nie w zaznaczonych zresztą powyżej momentach leżał główny interes posiedzeń sądowych. Obrona Gabrjeli, pragnąc objaśnić niektóre fakty niewątpliwego jej uczestnictwa w przygotowaniu, a być może i spełnieniu przestępstwa, oraz uczynić ją niepoczytalną, uciekała się do objawów hypnotyzmu i poddawania psychicznego, starając się w faktach tych znaleźć klucz zbrodniczego wpływu Eyrauda na młodą niewiastę. Same zresztą władze śledcze wydelegowały komisję lekarską do zbadań fizjologiczno-patologicznego stanu Gabrjeli, oraz jej podatności hypnotycznej. Ponieważ hypnotyzm i towarzyszące mu objawy nie mają jeszcze teorii naukowej ustalonej, we Francji prztem istnieją w materji tej dwie szkoły często zupełnie z sobą niezgodne, stało się tedy, że dwie te szkoły wystąpiły obok siebie na arenie sądowej i stoczyły turniej, który był właśnie *grand attraction* rozpraw sądowych...

Nie zdaje mi się, żeby na tem dobrze wyszła oskarżona, jestto już jednak właściwością różnych nowych teoryj, szcze-

mieni wiary, zstępujących w jego zbolale serce; postanowił nazawsze otrząść się z jarzma wątpienia i wykupić winę swoją względem zmarłej matki, stając odąd w szeregach obrońców religji. *J'ai pleuré et j'ai cru!* Nawrócenie było szczere, ale powierzchowne i przemijające. Powziętemu naprędce postanowieniu pozostał wprawdzie Chateaubriand wierny do śmierci, szczerze wierzył w słusność sprawy, której bronił, ale nie trudno było dostrzedz, że po za pancerzem rycerza wiary krył się dawny sceptyk. Ta sprzeczność pomiędzy tem, co autor głosił, a tem, co czuł w głębi duszy, niekorzystnie się odbiła na pismach jego, i talent wielki pozostał przez to w osamotnieniu, bez wpływu trwałego na otoczenie swoje i na wiek.

Zródła tej sprzeczności wytłómaczą «Pamiętniki» zagrobowe, w których autor oddawał sobie takim, jakim był w istocie; dlatego to słuszenie zanwazył Emil Zola¹⁾, że chociaż zestarzały się już i zeszytywały, jak trupy, te wszystkie pisma, które niegdyś stanowiły jego sławę, jednak świetny stylista żyć będzie w potomności, dzięki dziełu, które nie miało dotąd powodzenia. W «Pamiętnikach zagrobowych» występuje w całej prawdzie i okazałości postać pisarza, pociągająca urokiem fantastycznego poletu myśli, połączonego nadto w danym razie z niezrównaną umiejętnością przybierania wspaniałej postawy we wszystkich okolicznościach życia. Wcale trafnie określa on siebie jako marzyciela i pozytywistę zarazem²⁾, w sercu buchając wieczne płomienie, gdy nazewnątr oblewa ludzi chłodem, dziwi ich zimnem i wyrachowaniem postępowaniem. Jest niewolnikiem fantazji, ale fantazja ta nie stroi rzeczywistości w barwy różowe, lecz stroni od niej i przez to wyrabia w nim skłonność do schwytywania przedewszystkiem smutnych i czarnych stron życia. Określenie to doskonale harmonizuje z tem wrażeniem, które wywołują utwory Chateaubrianda: namiętne oddanie się marzeniom, wieczne porównywanie świata marzeń z rzeczywistością i ztąd zupełny z nią rozbrat — oto najbardziej uderzające rysy w jego twórczości. Przez to staje on w jed-

nym szeregu z najpoetyczniejszymi umysłami wieku, jak Byron, Shelley, Słowacki, Heine. Ale w marzycielstwie Chateaubrianda są odcienie, których skojarzenie stanowi oryginalność i odrębność osoby jego. Przedewszystkiem ma on zawsze na widoku nieskończoną przepaść pomiędzy sferą marzeń swoich, a zwykłym poziomem umysłów ludzkich; ztąd się rodzi niesłychane, wyjątkowe niemal w dziejach literatury, a niczem nieusprawiedliwione, poczucie potęgi indywidualności swojej; przejęty tą wyższością poletów i tym ogromem sił własnych, nie wątpi on o życiu zagrobowem, nie przypuści, że nicość pośmiertna może być kresem jego bujań, — nie; żyć, czuć, działać będzie on wiecznie, ale tu, w tej wędrówce po ziemi, on jeden, samotny, niezrozumiany, ani ludzie wzniesić się do niego, ani on do nich zejść nie zdoła. Ta świadomość potęgi w marzeniu, a bezsilności w czynie, ta boleść osamotnienia rozwija tęsknotę do Istoty Najwyższej, doskonałej, będącej pełnią bytu, kresem marzeń i dążeń, płomienną jutrznią światła wiekuistego po nad ciemnymi widnokręgami doczesnego istnienia. Tem szczytnym pocuciem Boga w naturze przypomina Chateaubriand Byrona i Słowackiego.

Zmysłowość jest drugim znamienym odcieniem w marzycielstwie jego. Z natury rzeczy wynika, że stoi ona w sprzeczności, że walczy i że obniża poziom jego natchnień teistycznych; wszakże, związana z fałszem fantazyjnych uniesień poety, zawiera w sobie coś szlachetnego, i, chociaż nie rozwesela rubensowskim nadmiarem sił i życia, wolną jednak jest od brudów cynizmu Baudelaire'a i dekadentów dzisiejszych. Jak teizm zbliżał Chateaubrianda z Byronem i ze Słowackim, tak go zmysłowość wyróżnia od innych i obniża, spokrewnia zaś z Lermontowem.

IV.

Druga część I tomu «Pamiętników» daje jaskrawy obraz zmysłowych poletów wyobraźni jego. Od dzieciństwa — opowiada nam poeta — był on przepełniony jakąś tęsknotą do szczęśliwości, której ani zrozumieć, ani poskromić nie umiał; dusza jego była świątynią bez ołtarzów i bez ofiar, nie przeczuwał jeszcze, jakie w niej

bóstwo czczonem będzie. Lecz, w miarę lat, przekonywał się młodzieniec, że kochać i być kochanym jest szczytem szczęścia. Gdyby szedł był śladem innych, zdołałby w krótkim czasie zaznać wszystkich rozkoszy i goryczy namiętności; ale, opowiada poeta, samotność, nieśmiałość i płomienna fantazja spowodowały, że, zamiast patrzeć na świat i używać życia, zamykał się w sobie i snuł w wyobraźni cudowny obraz nadziemskiej kochanki, z którą wchodził w mistyczny stosunek. O północy zstępowała jego królowa, ubrana w brylanty i kwiaty, i, gdzieś daleko nad morzem, pod południowem niebem miłości, szukała młodego kochanka; rozkoszna woń pomarańcz napelniała ogrody, ona zaś stąpała cicho po marmurach i mozaikach galeryj, w jakimś pałacu fantastycznym; tajemniczy odgłos jej kroków zlewał się z lubieżnym szeptem oceanu; rozogniony miłością poeta padał i tulił się jej do nóg, tonął w jej wzroku łagodnym i kochającym... — lecz sen cudowny zapadał w dal i przebudzony poeta z bólem i płaczem wracał do prozy życia. Pod urokiem melancholicznego piękna jesieni, marzenia poety zyskiwały na wdzięku i sile i do reszty go odurzyły. Z samotnej wieży, którą zajmował w starożytnym zamku ojcowskim, wsłuchiwał się z rozkoszą w uraganową walkę żywiołów. Swist wiatru północnego wydawał mu się jękiem rozchukanych żądź zmysłowych, a szelest deszczu kołysał go marzeniem o cichym śnie u łona boskiej kochanki. I, rozmarzony, stęskniony, wołał ją głosem, któryby skały rozegrzał, a stępiąłym zmysłom starca wrócił młodość; posłuszna wołaniom młodziana, znowu wśród blasku i woni zstępowała jego królowa, poeta znowu rzucał się jej do nóg, oddech kochanki przenikał go do szpiku kości, jak krew krążył mu po żyłach, i czuł szczęśliwy marzyciel wtedy taką moc w sobie, że miliony wieków nie starczyłyby do wyczerpania płomienia, którym dusza jego gorzała. Płaczące wichry pędziły chmury po chłodnych błękitach, w chmury te unosiła go czarodziejka, i pijanemu rozkoszą pocieć zdawało się, że zrzucił z siebie naturę ludzką, że stawał się chmurą, wiochrem, duchem czystym, że zlewał się w jedno ze swą boską kochanką, że ka-

¹⁾ «Documents littéraires», II éd. Paris 1881.

²⁾ «Mémoires», t. II, cz. II, v. I.

gólniej terapeutyczno-patologicznych, że wymagają eksperymentów *in anima vili*, biorąc osobniki do doświadczeń, gdzie się zdarzy w szpitalu, klinice lub izbie sądowej. Nie mówię tego gwoi usprawiedliwienia, lecz zaznaczam fakt.

Przyjrzyjmy się atoli samemu turniejowi. Na samą już wieść, że nowy jakiś czynnik rewolucyjny ma wkroczyć w progi Temidy (mającej, jak wiadomo, oczy związane) i zachwiać bodaj podstawami jej gmachów, ba — samej nawet «justycki», sam jenerałny prokurator, głośny «zbawca ojczyzny» i pogromca Boulanger'a, p. Quesnay de Beaurepaire (Rochetort pisze go Q. de Beaurepaire) zstąpił na arenę i zajął miejsce oskarżyciela publicznego. Walka z przewrotnymi prądami jest namiętnością i sławą p. jenerałnego prokuratora, który jeszcze przed zwalczaniem bulanzizmu dał się poznać, pod pseudonimem Lucji Herpin, jako pogromca naturalizmu (p. prokurator pisuje powieści pod pseudonimem Juljusza Glouvet'a). Skoro rzeczywiście tak wysoki i zasłużony dygnitarz zajął trybunę prokuratora, p. przewodniczący sądu, który w praktyce sądowej francuskiej «dubluje» zazwyczaj prokuratora i sędziego

śledczego, zeszedł tym razem zupełnie do zera. Pisali też kronikarze, że p. przewodniczącemu, który często głowę tracił, lub wypowiadał kolosalne naiwności, przystałaby raczej «szlafmyca» na starczej głowie, niż biret sędziowski (*la toque*). Pan prokurator tedy «prowadził bal».

Naprzeciw niego, pozostawiając w cieniu oskarżonych, wystąpiły obok siebie lub raczej naprzeciwko siebie dwie szkoły w rzeczach hypnotyzmu: szkoła Salpetrière i szkoła z Nancy. Wystąpiły zresztą nie z równymi siłami i pod osłoną nierównej protekcji. Przedstawicielem szkoły Salpetrière jest głównie i bodaj jedynie genialny Charcot; zwolennicy jego giną w cieniu sławy i zasług mistrza. Charcot zbyt jest wielki, ażeby zstąpił na zwykłą arenę zapasów sądowych, osobliwie z sukursem pana de Beaurepaire, jest jednak o tyle przystępny (jak wszyscy, nawet najwięksi ludzie we Francji), że dał się interviewować i opinię swoją w materji spornej wyraźnie wypowiedział jednemu z reporterów (który również umiał ją dokładnie powtórzyć). Doraźnym przedstawicielem szkoły Salpetrière okazał się dr. Brouardel, dziekan szkoły medycznej i reprezentant medycyny sądowej,

jako zawiadujący «morgą» paryzką (*morgue judiciaire*). Wraz z dwoma kolegami tworzył on komisję ekspertyzy urzędowej, która wydała charakterystyczną i ciekawą opinię o Gabrijeli Bompard. Komisja długo i szczegółowo badała oskarżoną, poddawała ją różnym eksperymentom, hypnotyzowała etc. etc. i zawyrokowała, że jest ona fizycznie nierozwiniętą (piersi i biodra rudymentalne), podległą atakom histerycznym i hypnotyzmowi; we względzie zaś psychicznym «ślepa moralnie» (*aveugle morale*), nie czująca żadnej różnicy między złem i dobrem i nie mającą żadnych wyrzutów sumienia — mimo to jednak «całkowicie odpowiedzialną», bez żadnych ograniczeń, dlatego że posiada świadomość, lub raczej «wiadomość» złego i dobrego. Oczywiście, ponieważ pramacierz Ewa zrywała jabłko z takiego drzewa... — czy ten jednak prosty akt rozmowy ma wystarczyć do uznania odpowiedzialności zupełnej, to inne pytanie. Ścisłe rzeczy biorąc, nie należy bynajmniej pierwiastkowi rozumowemu przypisywać roli zbyt znacznej w materji pobudek naszego działania. Chodziło tu jednak nie o ścisłość, lecz o Temidę, która tylko notorycznych wa-

pał się w źródach wiekuistego piękna, które ona wyobrażała, że stawał się hymnem miłości... Ale i ten sen zapadał w dal, poeta wracał do przytomności, i wił się i tarzał z bólu i tęsknoty, i łzami polewał pościel swoją.

Więc poczucie i żądza Boga z jednej strony, zmysłowość z drugiej — te dwie tak sprzeczne nuty powodowały wieczny rozstrój w umyśle marzyciela. Głos rozumu kazał mu iść za popędem religijnym, i, posłuszny jemu, poeta szedł tą drogą, ale zmysłowość wołała o prawa swoje, i ponętne postacie ziemskich i nieziemskich kochanek sprowadzały poetę z obranej drogi. W taki to sposób, chwając się wiecznie pomiędzy dwoma przeciwnymi prądami, nie umiał Chateaubriand nadać jednolitości utworom swoim, każdy z nich był świetnym w szczegółach, ale poronionym płodem genjuszu: każdy bowiem miał być wyrazem idei religijnej, ale cząstki były w sprzeczności z całością. «Atala» miała wysławiać potęgę wiary, biorąc górę nad namietnością, ale wiara ta była zarazem źródłem nieszczęść dziewczyny, i w chwilach rozpaczny bohaterka duszą całą pragnęła rozpętać wiezy, które krwawiły jej duszę. Ustęp o Velledzie w «Męczennikach» miał być wymownym obrazem wyrzutów sumienia, gryzących duszę bohatera-chrześcjanina po chwilowym jego upadku; ale jakże słabo, jak niesympatycznie przedstawia się nam skreślona według szablonu żywotów świętych postać Eudora! W uczuciu swoim widzi on tylko nieczystą pokusę cielesną, gdy obok niego płomienieje poganka Velleda i porywa nas ogniem swojej miłości, czarem uniesień, krwią rozpacz! «René» miał ostrzedz czytelnika od niebezpiecznej choroby wieku; tymczasem zostajemy po przeczytaniu utworu pod urokiem wszystkich namietności zubożniałego do świata młodzieńca — jego przesyty, nudy, egoizmu, a zapominamy o suchych morałach O. Souela, nie raz zaś nie możemy nawet zapomnieć, bo wrażliwość nam w pamięci, jak fałszywy dysonans w pełnej wdzięku opowieści. Wskutek chwiejności tej i połowiczności, utwory Chateaubrianda zachwyciły i do dziś dnia zachwycają urokiem fantazji i czarem formy, ale wrażenia, wysnute z ich

treści, mogły być tylko chwilowe i przemijające.

Ale nietylko brak szczerości, a raczej umiejętności pogodzenia ze sobą sprzecznych popędów lub podporządkowania jednego drugiemu i skierowania całej potęgi fantazji ku jednemu celowi, stanowi ułomność w treści i duchu twórczej pracy Chateaubrianda. Słabą stroną jego stanowi również zrezygnowana beznadziejność poety, mająca też źródło swoje w całkowitem oddaniu się marzeniom, w nieumiejętności zejścia z wysokości polotów fantazji do prozy życia, w wypływającym ztąd przeświadczeniu o własnej wyższości, w bezgranicznej a nieuzasadnionej pysze, w samolubstwie, nie umiającym wynaleźć w duszach ludzkich nic godnego współczucia: «Nudzi mnie życie, nuda mnie zawsze pożerała; co innych zajmuje, to mnie nigdy nie obchodzi...» «Bóg jeden wie, czemu mógł być, ludzie mnie nigdy nie rozumieli...» «Człowiecze, jeśli czemś jesteś, to tylko przez smutek twej duszy i wieczną melancholję twej myśli». Te i tym podobne nuty egoistycznego smutku, nudy i przesyty, spotykamy nieustannie u poety. «Miewałam takie chwile — powiada Atala, ale słowa jej można równie dobrze zastosować do Chateaubrianda — kiedy pragnęłam z tobą tylko pozostać, jedyną żyjącą istotą na ziemi, a, czując, że jakieś bóstwo powstrzymuje mnie w szale moich straszliwych uniesień, bóstwu temu zyczyłam unicestwienia, byleby mogła w płomiennym uścisku twoim staczać się do otchłani pod zwaliskami Boga i świata». To już szczyt rozmiłowanego w sobie marzycielstwa! René, w którym Chateaubriand odtworzył siebie, wyprzedza na chyżych skrzydłach myśli i pragnień ludzkość, kroczącą powoli po drogach, ubielonych próchniejącymi szczątkami upadłych bohaterów; boleje nad nieublaganą koniecznością żelaznych praw życia, skuwających w pęta wszelkie zapędy młodzieńcze; poczucie małości wszystkiego na świecie budzi w nim wstręt do rzeczywistości; nie pragnie on walk bezpłodnych, a rozmyślanie swoje kończy skargą: «Boże, kiedyż mnie uwolnisz od ciężaru istnienia». René znudzony życiem, a przejęty potęgą oso-

by swojej, jest pierwowzorem bohaterów byronowskich — jednakże nie on, ale Child-Harold porwał za sobą wszystkie umysły poetyczne; nie Chateaubriand, lecz Byron wycisnął niezmazane piętno na poezji wieku naszego. Dlaczego? Bo autor «Atali», pomimo napuszonej zarozumiałości, doprowadzającej go do stawiania siebie na równi z Napoleonem, nie dorównał Byronowi ani talentem, ani charakterem: René'go popsuł, jak i inne utwory swoje, szpikując go morałami, w których skuteczność sam nie wierzył; w sercu zaś swoim ten bezgraniczny samolub nie znalazł odgłosu na cierpienia ludzkie, i przytłoczony, jak wyrażał się i mniemał, nadmiarem życia, zamknął się w jałowym smutku, wówczas gdy w sercu Byrona wrzała rozpacz. Ze smutku wynikało zerzenie się wszelkich nadziei i wzgardliwa obojętność względem wysilen ludzkich; tymczasem rozpacz byronowska prowadziła do upartych zapasów ze złem; jednym słowem, gdy Chateaubriand zatykał uszy na odgłosy pragnień i dążeń ludzkich, Byron zagrzewał cierpiące serca do walki, wlewał w nie świeży źródło życia, krzesał w nich promienie nadziei.

Do wniosku tego doszli ci mistrze krytyki współczesnej, którzy zastanawiali się nad stosunkiem obu poetów: Brandes¹⁾, Dowden²⁾, Spasowicz³⁾. Najjaskrawiej myśl swoją wyraził Dowden, przeciwstawiając mężką energję muzy Byrona niewieściej miękkości; rozmarzeniu i nieokreśloności smutkowi Chateaubrianda. Porównanie przesadne w duchu niekorzystnym dla twórcy «Atali», bo jeśli słowo niewieści uważać za synonim słabości, to co powiedzieć o Wertherze, Obermanie i Adolfe, których zestawiają zwykłe z René'm, uważając w tym względzie Goethego, Sénancour'a, Benjamin-Constanta i Chateaubrianda za poprzedników Byrona. Te trzy typy wypadaloby chyba zaliczyć do nieistniejącej jeszcze kategorii charakterów niemowlęcych, René bowiem, w po-

¹⁾ «Główne prądy literatury XIX stulecia», t. I, przekład z duńskiego. Warszawa, 1882.

²⁾ «Studies in literature 1789—1877». London, 1889.

³⁾ «Byron i niektórzy jego poprzednicy». «Athenaeum», 1884, № 6—7.

riatów wypuszcza ze swojej opieki... Całkowita rzeczona odpowiedzialność była oczywiście wodą na młyn pana prokuratora. Nie dość jednak na tem, eksperci, nie przecząc podatności Gabrijeli względem wpływów hipnotycznych, stali mocno przy opinji szkoły Salpetriere, że poddawanie psychiczne (*suggestion*) nie może nigdy spowodować zbrodni rzeczywistej. Istotnie Charcot utrzymuje, że czyny zbrodnicze, spełniane na jawie a poddane przedtem w śnie hipnotycznym, spełniają się w sposób automatyczny, bierny, i w takim tylko razie, skoro nie sprzeciwiają się zbyt rażąco usposobieniu hipnotyzowanego osobnika. Jeżeli ten ostatni fakt zachodzi, wtedy osobnik, przed spełnieniem pseudo-zbrodniczego zamachu, dostaje nerwowego ataku, który wszelką napasć udaremnia. Charcot, z całą stanowczością człowieka zdolnego i zkadinaż zasłużonego, twierdzi, że niemożliwą jest wogóle jakakolwiek zbrodnia, poddana wbrew woli i usposobieniu hipnotyzowanego, i że nic podobnego dotąd nie widziano. Oczywiście, rzeczona komisja urzędowa i p. prokurator chwycili się tego poglądu oburącz. Po tej stronie była powaga i władza.

Po stronie drugiej reprezentacja była

nader nierówną. Mając przeciwko sobie taką siłę, zwolennicy szkoły z Nancy nie mogli, czy też nie odważyli się, wystawić odpowiedniego zastępcę. A przecież imię szkoły — legion: d-rowie Bernheim i Liébant z Nancy, d-rowie Lhuys i Pinel z Paryża... W imieniu tych wszystkich przemawiał tylko p. Liégois, profesor prawa z Nancy. Prof. Liégois znany jest ze swych prac, podejmowanych wspólnie z d-rem Bernheimem; przedstawiał nawet memoriał w tej kwestji akademji medycznej i ogłosił swe prace w tym kierunku; jako jednak prawnik, nie cieszy się zbyt niemię uznaniem swych oponentów-lekarzy, zaś p. prokurator, gdy wezwany został przez obronę, nie pozwolił mu bynajmniej zbliżyć się do Gabrijeli, wychodząc z tej zasady, że skoro trzech doktorów sformułowało już orzeczenie, niema już nic do gadania czwartemu... prawnik. Prawnik ten jednak reprezentował odrębną zupełnie szkołę medyczną. Przyznać należy, że reprezentował ją niezbyt szczęśliwie. Profesorowi Liégois nie zbywa widocznie na odwagę cywilnej, choć zaczął zbyt czołobitnie od komplementów kole-dze-prawnikowi panu de Beaurepaire; jest to jednak człowiek już blisko siedmiesięcioletni, przedstawiający rzecz rozwlekłe

i niesystematycznie; jest przytem nietylko prawnikiem, lecz prowincjałem. co w Paryżu wiele znaczy. Ostatecznie nie zajął audytorjum, nie przemógł swych przeciwników, traktujących go zgóry i niewiele pomógł obronie. P. prokurator tylko znowu tryumfował.

Szkoła z Nancy innego zgola jest zapatrywania na sprawę «poddawania» zbrodni, niż szkoła Charcot'a. Utrzymuje ona, że zbrodnia może być nietylko «poddana», lecz i spełnioną następnie z całą dokładnością; że to poddanie może być zrobione zarówno w śnie hipnotycznym, jak i w stanie zwykłym, i że nareszcie osobnik zahipnotyzowany traci własną wolę i przeciwdziałać woli hipnotyzera nie może. Profesor Liégois przytoczył wiele przykładów, które strona przeciwna uważała za niedostatecznie sprawdzone. Często bardzo, mówi prof. L., wystarcza silne wpatrzenie się w subiekt ulegający, ażeby poddanie natychmiast uzyskało swą moc działającą. Kiedy obrońca Gabrijeli udał się do Nancy, dr. Bernheim zrobił w jego obecności następujące doświadczenie. Zawołał młodą dziewczynę, skłoną do hysterji, i patrząc w nią uporczywie, kazał jej jechać bezzwłocznie z adwokatem do Paryża, w charakterze jego

równaniu z nimi, jest nosobieniem energji. Niedostępną wysokość polotów fantazji, wypływające zjad wygórowane wyobrażenie o nieskończonej potędze osoby swojej, obok tego wyniosły i wspaniały spokój w samym smutku poety, nadają jego melancholji piętno jakiejś fałszywej może, ale czarodziejskiej mocy, która nieestety dość rzadko daje się znaleźć, jak we współczesnym Chateaubriandowi, tak w następnym pokoleniu poetów.

M. Zdziechowski.

(BOK. NAWY. I.)

Pogadanka naukowa.

[Echa odkrycia Kocha u nas. Jasnowidzenie i psychometria].

Kronika naukowa, którą z niniejszym numerem rozpoczynamy jako stałą rubrykę, ma na celu mniej więcej systematyczne informowanie czytelnika o tem, co się robi i pisze w nauce; odkrycia, nowe lub mające pozór nowości, hipotezy i próby objaśniania zjawisk, wreszcie wiadomości, dotyczące instytucji naukowych i ludzi nauki, będą stanowiły nasz materiał.

Fakt istotnie doniosły mamy tylko jeden: odkrycie Kocha. Ale o tem niewiele już jest do powiedzenia. Ocenę wartości terapeutycznej nowego medykamentu staraliśmy się już dać, o ile to, przy braku danych faktycznych, było możebnem, w N-rach 46, 47 i 49 «Przeglądu literackiego». Teraz zaznaczyć tylko wypada, że, jak zwykle, zapal pierwotny znacznie ostygł, co niewątpliwie wypadnie na korzyść medycyny. Odkrycie wstąpiło w fazę poważnych studiów klinicznych; doświadczenia z limfą Kocha odbywają się we wszystkich znaczniejszych miastach Europy; czynność lekarzy jest nie mniejszą, jeżeli nie większą niż była w pierwszych chwilach, ale czynność reporterów ustala.

U nas odkrycie Kocha wywołało dwa objawy, które należy zaznaczyć: niedorzeczną wrzawę, którą prasa reporterska usiłowała podjąć, na szczęście bez powodzenia, około czcigodnego imienia prof.

d-ra Nenckiego, i «wyjaśnienia» d-ra Ochorowicza.

Prof. Nencki oddawna już robił w swojej pracowni doświadczenia nad bakterjami suchotniczymi i znalazł był właśnie toksalbuminy tych bakteryj. Skoro się rozeszła wieść, że środek Kocha należy do klasy toksalbuminów, prof. Nencki, jak należało, ogłosił, że i on w rezultacie dotychczasowym swoich poszukiwań toksalbuminy otrzymał. Nie miało to i nie mogło mieć znaczenia jakiejkolwiek rywalizacji z Kochem, a tem mniej oskarżenia bakterjologa niemieckiego o niedozwolone korzystanie z rezultatów cudzej pracy. Wystarczyło to jednak niektórym naszym pismom do otwarcia rubryki: «Koch czy Nencki» i pompatycznego oznajmienia, że «uwagają spór naukowy za otwarty» i dają mu miejsce na swoich szpaltach; wystarczyło nawet do puszczania niedorzecznej pogłoski o jakimś asystencie Nenckiego, który odkrycie jego ukradł i zawiózł Kochowi. Prof. Nencki, do którego się jedna z redakcyj bezpośrednio zwróciła, postąpił, jak należało przewidywać: prosił o milczenie; ale bezskutecznie. «Spór naukowy» jednak, sygnalizowany przez prasę brukową, nie zawiązał się, naturalnie, a z «otwarcia szpalt» skorzystał dr. Dunin dla udzielenia jego inicjatorom właściwej nauczki.

Dr. Ochorowicz ogłosił w «Kurjerze Codziennym» szereg artykułów p. t. «Co właściwie dr. Koch wynalazł?». Można by zapytać, co właściwie dr. Ochorowicz wyjaśnił? «Wyjaśnił» przyczynę suchoty, a to w ten sposób, że przyczyną tą nie są bakterje, tylko czasami dziedziczność, czasami zgryzoty i niepokoje. Jestto rozumowanie, wzorowo nienaukowe; autor nie zastanawia się widocznie nad znaczeniem wyrazu «przyczyna». Przyczyną faktu może być tylko fakt, dziedziczność zaś nie jest faktem. Że suchoty mogą być odziedziczone, o tem nikt nie wątpi, ale znaczy to, że się odziedzicza organizm, będący przyjaznym dla bakteryj suchotniczych gruntem. Twierdzenie zaś, że «przyczyną» suchoty są nie bakterje, lecz zgryzoty i zmartwienia, równa się twierdzeniu, że przyczyną śmierci człowieka, zabitego wystrzałem, jest nie zniszczenie

tkanek organicznych przez kulę, lecz wystrzał. Tymczasem sto wystrzałów nie spowodowałoby śmierci denata, gdyby były chybnymi, t. j. gdyby nie zniszczyły potrzebnych do życia organizmu tkanek.

A teraz od tych spraw naukowych przejdźmy do objawu wysoce nienaukowego, ale naukę zbliżka obchodzącego.

Jedną z zadziwiających cech epoki współczesnej jest idąca równolegle do wspaniałych zdobyczy na polu anormalnych zjawisk psychicznych *zabobonność*. Z jednej strony nauka, dotarłszy ze swym światłem do obszernej dziedziny objawów *snu sztucznego* (somnambulizmu i hypnozy) oraz *poddawczości*, czyni zdumiewające postępy w objaśnieniu zjawisk, uważanych w czasach ciemnoty za «nadnaturalne», z drugiej—tłumi ludzi, nieraz wysoko wykształconych, oddają się zapamiętanie różnym naukom i kultom tajemniczym. Zjawisko to jest *signum temporis* i stoi w niedającym się zaprzeczyć związku ze zdenerwowaniem i żadnem narkotyków duchowych usposobieniem wieku. Zabobonność albo szarlataneria czepiają się zwykle nauki i usiłują z jej potężnego organizmu wyssać pokarm dla swojej nikłej istoty. Przed kilkunastu laty, kiedy panowała gorączka spirytyzmu, wyzyskiwano studia geometryczne Riemanna nad przestrzenią *n*-wymiarową, aby umieścić duchy, poruszające stoliki w «czwartym wymiarze». Konikami, na których jeżdżą dzisiejsi naiwni lub przewrotni krzewiciele zabobonu, są zjawiska hypnotyczne.

Chodzi na ten raz o t. zw. «jasnowidzenie» lub «zmysł drugiego widzenia». Anglja, a szczególnie Stany Zjednoczone są krajami, w których zajęcie się temi sprawami najwyższego dochodzi stopnia. Upowszechniła się tam dla tej kategorii zjawisk nazwa «psychometria», nazwa, właściwa zresztą gałęzi psychologii, zajmującej się stosunkiem matematycznym siły wrażenia do siły podniety.

W Ameryce studjom psychometrycznym oddają się «profesorowie» (w Ameryce łatwo o tytuły) Buchanan i Denton wraz ze swemi małżonkami. Obie profesorowe są jasnowidzami. Małżeństwo Denton wydało jeszcze w roku 1863 dzieło p. t.

«Zabobonność». Dziewczyna chwilę wzdragała się, potem jednak zaraz przystała i powiedziała, że zabije tych, którzyby jej sfawili na przeszkodzie. Dr. Bernheim dmuchnął jej następnie w oczy i zaraz urok prysnął; dziewczyna nie pamiętała, co jej przed chwilą mówiono... Profesor Liégeois konkludował, iż Gabjela działała widocznie pod hypnotycznym wpływem Eyrauda. Nieśmiały zwolennikiem szkoły nantejskiej okazał się dr. Sacreste, z prowincji, który znał dawniej już oskarżoną i jej stosunki rodzinne. W domu jeszcze hypnotyzował ją, obecnie zaś uznaje za nieodpowiedzialną, lub w małym zaledwie stopniu.

Interesujące zeznanie miał złożyć dr. Voisin, lekarz więzienny, który przez kilka miesięcy robił hypnotyczne doświadczenia z Gabrijelą, za co został złażany przez p. prokuratora. W śnie hypnotycznym miała ona złożyć ważne zeznanie, które obrona chciała zacytować, i dlatego wezwwała p. doktora na świadka. Wobec sądu jednak dr. Voisin schronił się po za podwójną tajemnicę zawodową, jako lekarz i urzędnik, i wszelkich zeznań odmówił, za co został znowu pochwalony. Sąd przytem wypowiedział zdanie, że wybadywanie oskarżonych w śnie hypno-

tycznym równałoby się dawnym torturom i sprzeciwia się dzisiejszym pojęciom o procedurze kryminalnej. Mimo to obrona żądała zrobienia hypnotycznego doświadczenia w sali sądowej i zapytania we śnie Gabrijeli, jaki był jej udział w zbrodni? Oskarżona dawała na to przyzwolenie, sąd jednak pozostał niewzruszony. Obronca jej oznajmił jeszcze w mowie końcowej, że w śnie hypnotycznym Gabrijela Bompard oświadczyć miała, że podawała właśnie morderczy sznurek, który posłużyć miał do uduszenia ofiary, gdy dostała ataku nerwowego, który wszelki jej udział uniemożliwił. Eyraud własnorecznie udusił wówczas komornika. Gabrijela zawsze utrzymywała, że amant jej udusił Gouffé'go bez pomocy żadnych postronków, ku czemu także przychylił się jeden z lekarzy ekspertów, utrzymując, iż zgnicenie krtani dokonane zostało raczej rękami, niż sznurem wisielczym... Wyznać należy, iż obrona, onieśmielona powagą wielkiego prokuratora i autorytetem dziekana medycznego fakultetu, nie wyzyskała należyte wszystkich środków. Co do zeznania Gabrijeli we śnie hypnotycznym, to rzecz przedstawia się właśnie w świetle zapatrywań szkoły Salpêtriére. Zmuszoną ona została przez Eyrauda

za pomocą «poddania» do pomożenia mu w spełnieniu zbrodni; ponieważ jednak własna jej wola, niezupełnie sparaliżowana, była temu przeciwną, dostała więc ataku nerwowego...

I o takim komentarzu słyszeć nie chciała prokuratura ani ekspertyza, raz nie dopuszczając do głosu d-ra Voisin'a, następnie zaś kwestjonując sam sen hypnotyczny, który mógł być udanym... Są jednak sposoby przekonania się, czy sen był udany, czy istotny. A zresztą dr. Charcot tylko «wielkim histeryczkom» przyznaje prawo robienia niewinnych «zbrodni laboratoryjnych» (*crime du laboratoire*), zaś Gabrijela uznana została przez ekspertyzę za «małą» tylko histeryczkę...

Wogóle przytem p. jeneralny prokurator nie dlatego zstąpił ze swych wyżyn, żeby posługiwać się hypnotyzmem, lecz aby zwalczać zastosowanie tej innowacji w rozprawach sądowych.

«Soul of things» (dusza rzeczy), które od tego czasu miało bardzo znaczną ilość wydań. Srodek ciężkości tej dość zresztą systematycznie oraz przejrzystie i przyjemnie napisanej książki spoczywa w twierdzeniu, że natura (przybierająca tu postać jakiegoś indywiduum), posiada tajemnicze środki reprodukcji ludzi i wypadków. Jestto coś w rodzaju fotografów, naturalnie daleko dokładniejszych od naszych zwykłych fotografii. Tym sposobem przestrzeń pełną jest subtelnych obrazków ludzi zgasłych i zdarzeń minionych. Ludzie jasnowidzący, obdarzeni «trzeciem okiem, okiem Rudhry» (podług terminologii indyjskiej), mogą w stanie jasnowidzenia oglądać te obrazki i tym sposobem poznawać bezpośrednio przeszłość świata. Każdy z nas pozostawia za sobą ślad wieczysty, jakby ogon fotografów, ilustrujących do najdrobniejszych szczegółów wszystkie nasze postępy, słowa, nawet myśli. (Szkoda, że pp. Denton nie objaśniają, jak *wyglądają* te *obrazy myśli*?) Obrazki te są wieczne i tym sposobem każda chwila uwiecznia się. Książka pełna jest opisów takich widzeń pani Denton: «Znajduję się — pisze ona — w całkiem odmiennym świecie. Odczuwam wszystkie prądy psychiczne, nie dochodzące zwykle do naszej świadomości. Jestem otoczoną światem jak gdyby zupełnie realnym, znajduję się wpośród istot rzeczywistych w królestwie umarłych i zarazem żywych... Królestwo to biegnie odemnie w obie strony — daleko, daleko w głąb czasów i przestrzeni. Widzę obrazy ludów, ich czynności i czynności tych wyniki; widzę nawet ich dążenia, *widzę ilość* zużytych na to sił i pracy. Dawniej uważałam to za odbicie tylko minionych czasów, za rodzaj mirażu; dziś zdaje mi się to tak realnem, że czuję się zdolną do przekroczenia z naszej ziemi do tego świata wielkiego i szerokiego, do oglądania na własne oczy wszystkiego, co kiedykolwiek było. Lecz co za różnica pomiędzy tem, co uważamy *tu* za materję, a tem, co nią jest *tam*! U nas wszystkie przedmioty są tak niekształtnymi, grubymi... dziwię się, jak je możemy znosić, a tembardziej pragnąć, aby stosunki nasze z nimi trwały jaknajdłużej. *Tam* wszystkie formy tak są piękne i wspaniałe. Nie mają właściwych rzeczom ziemskim grubych, kańciastych konturów. A jednak są jaknajrealniejszą materją. Widzę, że z naszej ziemi ciągle *coś* przechodzi *tam*. Wszystko, co ma *być* na powierzchni ziemi, przechodząc *tam* przybiera kształt tego samego, czem *tu* było, z czego się wytworzyło. A obrazy te, jakkolwiek niezmiennie i wiecznotrwałe, nabierają *tam* *żyćia*; nie są martwymi kopjami ludzkich postępków, uczuć i myśli, lecz ich żywymi, pełnymi ducha wytworami; mają świadomość myśli, która je poczęła, i spełnia ją ciągle czyn, spełniony niegdyś na ziemi. Kula ziemską z całą swoją historją zajmuje w świecie tym przestrzeń, którą przeszła od chwili, w której się stała częścią samoistną systemu słonecznego».

Pani Buchanan nie ogląda przestrzeni kosmicznych, lecz pozostaje na ziemi; jej specjalnością jest odczytywanie listów zamkniętych, przy czem odczuwa stan psychiczny osób, które je pisały. Oprócz tego stawia diagnozę i udziela porady lekarskiej, używając włosów pacjentów. Współzawodniczką jej na polu leczenia była Semanta Matler, również amerykańka, która przez lat 15 była «asystentką» d-ra Smitha, stawiając dla niego diagnozy; Semanta Matler działała w uśpieniu. Młody anglik James Bernam wygłosił

niedawno w «lecture hall» na «Avenue Road» w Londynie odczyt o jasnowidzeniu i psychometrii. Prelegent rozpoczął od wycieczki przeciw nauce współczesnej, o której zresztą ma tak mało wyobrażenia, że ją posadza o materializm. Przytem sam okazuje się niejednokrotnie grubym, chociaż nieświadomym materialistą, bo wyrazy: «byt», «realność» mają dla niego jedno znaczenie z wyrazem «materialność». Powołuje się następnie na starożytność zjawisk, należących do kategorii jasnowidzenia, przytacza Pythję, sybille, wieszczków egipskich, rzymskich, celtyckich; przedewszystkiem jednak wynosi mistyków wschodnio-indyjskich, wykazując nicość współczesnej nauki europejskiej w porównaniu do ich głębokiej i tajemniczej wiedzy; wreszcie chwali ich bardzo za to, w czem ich, niestety, nie chce naśladować; za to, że się rezultatami swojej wiedzy z publicznością nie dzielą i zachowują je dla siebie.

Bernam trzyma się wygłoszonej przez małżeństwo Denton teorii fotografów naturalnych. Zdaniem jego «fakty» (ten wyraz ma, jak widać, znaczenie bardzo elastyczne) dowodzą, że «dobrze rozwinięty psychometryk» może przedmioty widzeń swoich według woli zbliżać, oddalać, zatrzymywać dla ich obejrzenia dokładnego; może *widzieć* przeszłość i przyszłość; prelegent zastrzega się, że tylko *tę* *przyszłość*, która nie zależy od nas i jest postanowioną niezmiennie przedwiecznym wyrokiem Stwórcy. Przytoczone przez Bernamą «fakty» są w rodzaju następujących.

Znaleziony w okolicy Sigor (w Indjach wschodnich) odłam czaszki ludzkiej z wybitą w nim dziurą, zawinięty w papier, położono na ciemieniu jasnowidzącego, który go, naturalnie, nigdy uprzednio nie widział. «Widzę wspaniałą świątynię nad jeziorem — zaczął odrazu jasnowidzący — i zaczął opisywać szczegółowo miejscowość w okolicy Sigor z gmachem nieistniejącego już dziś miasta. «Bitwa — zawołał następnie — mnóstwo ludzi! jacyś dzicy z włóczniami i strzałami! Okropność! ach, otóż jakiś młodzieniec pada; biedak! strzała przeszła mu czaszkę».

Drugi psychometryk, skoro mu położono na głowę kawałek mumii egipskiej, ujrzał człowieka, płynącego w łódce po Nilu, następnie wysiadającego z łódki i zabijającego ibisa.

Z kilku zamkniętych w jednakowych kopertach listów, których treść nie była znana nikomu z obecnych, psychometryk wziął do rąk jeden. Zaraz poczuł tęsknotę i chęć do płaczu. Wziął drugi i poczuł niezwykły przylew siły; zaczął mówić (o treści listu) z zapałem i ogniem; przez cały ten czas czuł w palcach «gorące mrowie». Jak się okazało, pierwszy list był pisanym przez córkę po stracie matki, a drugi przez pełnego energii i stanowczości generała Jocksona.

W okolicach Yrkshir w Szkocji zachodniej ma się znajdować młoda dziewczyna, córka urzędnika kolejowego, posiadająca dar jasnowidzenia mimowolnego. Usposobienie jej jest bardzo zmiennem, przechodzącą często bez widocznych przyczyn, od smutku do radości. Zmiany te tłumaczy się następnie smutnemi lub wesołemi widzeniami, którym odpowiada rzeczywistość. Przed dwoma laty przeraziło ją widzenie pożaru w Edynburgu, który opisała szczegółowo, wzruszona, z krzykiem i płaczem: «Dwóch ludzi zginęło — wołała; zapadli wraz z dachem, na którym pracowali!» Nadeszłe nazajutrz gazety stwier-

dziły prawdziwość jej opowiadania aż do najdrobniejszych szczegółów.

Na tego rodzaju «faktach» opierają się Bernam, Buchanan, i wielu, wielu innych, aby przekonać ludzką o nicości nauki «materialistycznej». Znaczenia i wartości tych «faktów» nie trzeba chyba wyjaśniać; dość przypomnieć, że niema nonsensu, którego by przy dobrej woli nie można było poprzeć dowolną ilością «faktów».

Dr. Y. Z.

SEN.

OPOWIADANIE

Bolesława Prusa.

(Dokończenie).

W tym osobliwym kraju, gdzie ludzie, zwierzęta, nawet rozbite cegły żyły, czuły i rozmawiały, gdzie piasek lśnił jak złoto, a brukowiec załamywał światło nie gorzej od djamentu, ubogi student, przypatrując się uważniej, dostrzegł niespodziewane zjawisko.

Wszystko tam było piękne: mężczyźni, kobiety, rośliny i kamienie; ale najpiękniejsze było to, co w ziemskim życiu nazywa się ubogiem i cierpieniem. Jedwabie, aksamity, perły i złoto, wśród ogólnego przepychu, wydawały się powszedniemi i wyblakłemi; natomiast grube płótno, siermięgi, lipowe łapcie chłopów i łachmany nędzarzy, miały w sobie coś oryginalnego, co zwracało uwagę. Regularne twarze i posagowe kształty nużyły jednostajnością, zaś chude, połamane i okryte bliznami ciała — budziły interes. Na widok pięknego człowieka ubogi student machał ręką i myślał: «eh! taki on, jak miliony innych, widocznie o nic się nie rozbił»; ale każda ułomność i rana zaciękały go i mówił sobie: «tego faceta musieli jednak djabelnie przejechać!»...

Ten sam interes budziły strzaskane drzewa, ruiny budynków i całe okolice, zburzone trzęsieniem ziemi. Student nie pytał: z kąd biorą się rzeczy foremne i ozdobne, bo na tym świecie wszystko było foremne, ozdobne i jaśniejące barwami; lecz w wysokim stopniu zajmowała go każda nieforemność, każde złamane istnienie. Było ono jakby księgą, w której zapisywały się ważne wypadki.

— Szczególna rzecz — mówił — jak mi to przypomina zdanie: «błogosławieni maluczy i ci, którzy cierpią»... Muszę wyznać, że ci maluczy wyglądają bardziej malowniczo, a cierpiący mają w sobie coś dramatycznego.

Niedaleko skały z szafirów i topazów, z kąd wypływał strumień wody, podobny do tęczy, i gdzie krył się nieszczęsny Cezar przed widziadłami setek tysięcy pobitych wojowników, student zobaczył grupę kobiet. Były tam bankierowe w naszyjnikach z pereł, hrabianki w bransoletach z djamentów, hrabiny w koronkach i strusich piórach, które z zazdrością i zalem tłoczyły się około starej żydówki, siedzącej przy beczce śledzi.

Stroje tych dam, na tle łąki ze szmaragdów, upstrzonej rubinami, szafirami, ametystami, którą przerzynał strumień djamentów, wyglądały jak stare ścierki. Tymczasem barchanowa watówka żydówki, z kąd tu i owdzie wylaziła wata, miała kolor i połysk szlachetnego brązu, ozdobionego klaczkami srebra. I piękne twarze kobiet były jakieś smutne, a nawet (strach powiedzieć!) bezduszne. Zdawało się, że są to trupy, w których ledwie tli się

iskierka świadomości, ciągle przygasającej i drżącej o to, że zgaśnie.

Wpatrzywszy się bliżej, student poznał, że damy te nic nigdy nie robiły i niczego przykrego nie doświadczyły w życiu. Ich zasób duchowy był prawie żaden, wciąż przyćmiewał się i groził zamienieniem się w nicosć. Ażeby nieco orzeźwić obumierającą myśl, nieszczęśliwe istoty skupiły się około starej śledziarki, która z litości pozwalała im patrzeć w okienko swego życia i z tamtąd czerpać jakby oddech dla wiecznie konających piersi.

Historja śledziarki była bardzo prosta: dawała ona co tydzień, przez trzydzieści lat, po śledziu i pół kawałka chleba biednemu człowiekowi, który w piątek zrana przechodził około jej beczki najwcześniej. Student spojrzał w okienko jej życia i zobaczył jakby aleję ludzi rozmaitego wieku, siedzących albo leżących na chodniku, na śniegu, pod parkanem, na schodach, na rusztowaniu mularskim, a każdy jadł śledzia z chlebem i nad każdym widać było obrazy jego życia. Ten chciał się zabić z głodu, lecz, obdarowany przez handlarke, nabrał ochoty do życia. Tamten miał krać, lecz w porę dany posiłek, uratował go od więzienia. Inny chciał porzucić drobne dzieci, inny zabić człowieka dla pieniędzy, lecz każdego zawrócił ze złej drogi—mały śledzik i kromka chleba.

Student czuł głód i gniew tych biedaków, a potem radość i budzące się lepsze myśli. Widział ich rodziny, uratowane od niedoli, i ludzi, którzy mogli się stać ofiarami ich dzikości. Pomiedzy zaś cała ta gromada snuł się otyły bankier, który, zobaczywszy raz, jak, litościwa żydówka obdarowywała biedaka śledziem, zaprowadził bezpłatne obiady dla ubogich i, również jak ona, uratował niejednego od zguby.

Słowem, przez okienko starej żydówki widać było ogromny świat ludzi cierpiących a uradowanych, gniewnych a uspokojonych i desperatów, którzy znaleźli nadzieję. Wszyscy oni mnożyli się i dawali początek nowym cierpieniom i uciechom. Tak zaś między nimi panował ruch, że biedne salonowe damy, w których gasła dusza, popatrzywszy na ten kipiący obraz, ożywiały się, odzyskiwały niknącą świadomość bytu, po to niestety! ażeby jeszcze boleśniej czuć jego pustkę.

Stara zaś żydówka w oberwanej watońce, z rękoma splecionymi na brzuchu, przynurzyła oczy i kiwała głową, uśmiechając się litościwie. Ona nie potrzebowała patrzeć w okienko swego życia, bo miłościerna jej dusza była zasypana wspomnieniami, jak drzewo kwiatem na wiosnę.

— Tamta baba, której dałem dyskę, istotnie wywróżyła mi szczęście—mówił student. Z tego, co widzę, zaczynam domyślać się, że największym zaszczytem jest cierpienie, a największym szczęściem, dobre czyny. Mnożą się bestje, jak szczury: każdy wydaje setkę nowych czynów, a każdy z tej setki nową setkę... Tymczasem biedny Cezar wygląda na faceta, którego inwalidzi rzymscy od wieków procesują o zgubione nogi i głowy (drakoński los!), a damy wielkiego świata nieustannie konają na pewien rodzaj duchowej anemji.

— Tym sposobem ja—dodał—mogę pędzić tu bardzo przyjemne życie. Mam mundur dziurawy, żołądek o tyle pusty, że mógłby robić konkurencję okienku śledziarki i w rezultacie nie zrobiłem nic tak złego, coby mi tu psuło humor...

W tej chwili usłyszał okropny głos, wołający: aj—aj!.. aj—aj!.. aj—aj!..

Dreszcz go przebiegł i zdawało mu się,

że w uszy wbijają mu sztylety. Uczuł ból tak dotkliwy, że wobec niego zbladły wszelkie piękności snu.

Skomlenie oddaliło się i powoli ucichło, a przestraszony student myślał:

— Co u diabła (jeżeli podobnego wyrazu godzi się używać w takim miejscu...), to chyba ten pies, któremu dałem w zęby w Saskim ogrodzie? Padam do nóg!.. Jeżeli mi urządzi drugi podobny koncert, to choć zmykaj...

No, jeżeli za tego rodzaju krzywdę mam taki bal, to ciekawym, jak wyglądają ci szlachcice, u których dać furmanowi w zęby należy do szyku?

Wartoby jednak zobaczyć—mówił po namyśle—jaki jest mój kapitał zasług. Czym podobny do szczęśliwej śledziarki, która przez swoje okno widzi legiony obdarowanych, czyli też do tych pięknych pań, które duszą się tu, jak ryby wyjęte z wody?

Ledwie to powiedział, spostrzegł, że z jego serca wysnuwa się tysiące promieni, jakby złotych nici, które biegły w stronę ziemi i czepiały się jedne grobu rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, inne drzew, pod któregi biegał, kamieni, na których siadał zmęczony, krynicy, z kąd pijał wodę. Jeszcze inne serdeczne promyki zahaczały o jego kolegów, o ulubione książki, o znajome panny, nawet o gazety i paradyz w teatrze.

Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał. Dzięki zaś promieniom, czy nitkom, co połączyły go z nimi, jego własne życie w tej chwili spotężniało mu tysiąc razy. Czuł radość jednego z kolegów, który o tej porze dojeżdżał do domu na święta, drugiego, co wybierał się z wizytą do pewnej miłej panienki, śledził bieg myśli trzeciego, co grał w szachy, i czwartego, który uczył się na egzamin. Słodki smutek płynął mu do duszy od drzew pokrytych śniegiem i od starego domu, w którym wiatr kłapał spróchniałymi okienicami.

Ale między tysiącem złotych promieni, co przynosiły mu cudzą radość, albo żal tkliwy, znalazło się kilkanaście nici czarnych, łączących go z nie lubianymi ludźmi i rzeczami. Te zatruwały mu szczęście: bo, czy cieszył się czy smucił człowiek nie lubiany przez niego, czarna nie zawsze jednakowo targała mu serce jakimś ostrym i piekącym bólem.

— Więc naprawdę miłość daje szczęście, a nienawiść—cierpienie?...—mówił zadumany, czując, że żadnej z tych złotych ani czarnych nici zerwać niepodobna. A może ma realną wartość przestroga: «miłujcie nawet nieprzyjaciół wasze»?... I byłoby faktem, że przez miłość i nienawiść współżyjemy z bliźnimi, którzy stają się jakby nierozdzielną częścią naszej duszy?...

Ehe! — zawołał — stare bajki... Muszę mieć tę gorączkę, jeżeli, nawet na czwartym kursie medycyny, przychodzi mi do łba podobne głupstwa... Miałoby mnie już nazawsze udrećcać te czarne nici?—myślał w dalszym ciągu. I rozum mówił mu, że—na zawsze; bo, co raz stało się faktem, nie może zginąć ani w naturze, ani w dachu. Jeżeli każdy przybór wód znaczy się na wybrzeżach, jeżeli każda epoka geologiczna zapisuje się nawet w skałach, dlaczego nie miałyby się gdzieś zapisywać fale ludzkich myśli i uczuć? Z czasem mogą je pokryć nowe warstwy, ale zatrzeć—nigdy!...

— Głupia historia — mruknął ubogi student i, ażeby odpędzić smutne myśli, które po nitkach nienawiści pelzły mu do serca, jak robactwo, postanowił zbadać nową kwestję:

Na co w życiu ludzkim są cierpienia, a na co radości?

Gdy to pomyślał, w marzeniu jego zaszła wielka zmiana: zamiast barwnej jaśniejącej okolicy, zobaczył ciemną kuźnię, w której pracowały dwie olbrzymie istoty nieokreślonej formy.

Jeden olbrzym dał miechem na ognisko, z którego wyskakiwały iskierki, mniejsze od ziarna maku, a drugi chwycił iskry i zamykał je w granitowych kulach, dużych, jak karmelicka bania.

— Dzień dobry—rzekł student — a co to robicie majsterkowie?...

— Ja—odpowiedział ten od miecha — spędzam tu nasiona dusz.

— A ja—dodał drugi — zamykam je w ciała ludzkie.

Fiu!—gwizdnął student. Ośmielam się wątpić, ażeby takie marne nasienie przebiło taką tęgą, doczesną powłokę. Przecież ta granitowa kula ma ze trzy łokcie średnicy; jakim więc sposobem drobne nasienie duszy może z niej wypuścić kielek?

— Gdyby wam dać mniej grubą powłokę doczesną — mruknął drugi olbrzym—prędkobyście się z nią załatwili, łajdaki!...

— Trzeci majster powie acanu, jak się to robi—odpowiedział ten od miecha, widocznie łagodniejszy.

Teraz ubogi medyk zobaczył na progu kuźni trzecią, jeszcze posępniejszą istotę, która wykonywała dziwną pracę. Brała ona granitowe kule z zamkniętymi wewnątrz iskierkami i strasznym stalowym kolcem, przy pomocy tysiąco-funtowego młota, dziurawiła granit aż do środka. Za każdym uderzeniem granit jęczał i płakał krwawymi łzami. Ale wnet z jego wnętrza wydobywała się cieniutka łożyczka światła. Wtedy olbrzym wysadzał kulę z kuźni na powietrze, tam łożyczka rosta i pokrywała się gałązkami (albo wiedzla), a olbrzym brał znowu kulę, znowu wbił jej kolec aż do środka, znowu wydobywał nową łożyczkę światła, która, wystawiona na powietrze, znowu rosta.

I tak wciąż.

— Za pozwoleniem—rzekł do straszdyła ubogi student, dotykając palcami czapki—a co to majsterek robi?

— Pomagam rozwijać się duszom—odpowiedział strach.

— Aż granit skwierczy—rzekł student.

— Ale za to spojrzysz acan: co się robi z duszą...

Medyk wyszedł przed kuźnię i patrzył na stosy brył granitowych. Każda z nich miała po dwie, po trzy, a czasem i po dwadzieścia świetlanych łożyczek, na które ztąd i zowąd dmuchały wiatry. Gdy wiał wiatr łagodny i spokojny, jak czysta radość ludzkiego serca, łożyczki pokrywały się mnóstwem gałązek i dokoła granitowej bryły tworzył się niby las światła. Lecz jeżeli zionął wiatr gwałtowny i palący, jak namiętność, niektóre gałązki, ba: nawet cały las duszy—usychał.

A straszdyło wciąż dziurawiło granit, który płakał i z kamiennego łona wypuszczał coraz nowe pędy.

— Któż pan jesteś, panie majster?...—spytał student, zdumiony i przerażony krwawą robotą.

— Ja jestem cierpienie—odpowiedziało widmo z okrutnym kolcem. Gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnami maku, które śpią w bryle materji...

— Oj!... muszę mieć djabelną gorączkę — myślał student, pędem uciekając od kuźni.

Ten stan zaniepokoił go, więc rzekł:

— Spróbujmy rozumować trzeźwo, wedle wskazówek anatomji, fizjologii, farma-

kologii i akuszerji. Ponieważ mój mózg funkcjonuje nieprawidłowo, więc mający mi się, że nawet cierpienia mają swój cel, że powodują rozwój ludzkiego ducha. Gdybym zaś sądził rzeczy naukowo, w takim razie jasno rozumiałbym, że nietylko w cierpieniu, ale nawet w całej naturze niema celu. Dowodzi przecież tego, w sposób niezbity, istnienie sutek piersiowych u mężczyzn, tudzież ludzkie ucho zewnętrzne, które jest organem bezcelowym, ponieważ nie możemy się niem ogarniać nawet przeciw muchom, jak to robią, dajmy na to, krowy. Dalej — ponieważ jestem chory, więc marzy mi się, że nasze ziemskie życie, przygotowuje duszę ludzką do życia wyższego, jak gimnazjum do uniwersytetu. Gdybym zaś był zdrow na ciele i umyśle, wierzyłbym z filozofem Hartmanem, że cały świat żyjący dąży do tego, ażeby unicestwić bezświadomy absolut, jak robaki w serze szwajcarskim dążą do zniweczenia szwajcarskiego sera. Ten zaś hartmanowski absolut czyli bezświadomy ser szwajcarski sam się stworzył i swoje robaki także stworzył, ale bezświadomie, po to, ażeby go zjadły i ażeby zjadły samych siebie, także bezświadomie.

Skończywszy rozumowanie, ubogi medyk zawołał z radością:

— Widzę, chwała Bogu, że moja gorączka nie musi być zbyt wielką, jeżeli nie przeszkadza mi myśleć ściśle i zgodnie z najnowszymi rezultatami filozofji.

Wtem spostrzegł, że stoi na niezmierniej płaszczyźnie białych, wełniastych obłoków, na środku której wznosił się przepiękny posąg jakiejś osoby, większy od najwyższych gór ziemskich. Osoba ta miała błękitną szatę w mnóstwie fałdów, sięgających aż do stóp, ręce skrzyżowane na piersiach i twarz głęboko zamyślona. Fałdy jej sukni wyglądały jak pasma wzgórz, oddzielonych głębokimi przepaściami; po tych zaś wzniesieniach i zagłębieniach uwijały się istoty wielkości mrówek, nadzwyczajnie podobne do ludzi w uczonych biretach i togach.

Ubogi student odrazu pojął, że olbrzymia ta osoba jest obrazem Rzeczywistości, i że łażące po niej mrówki usiłują, za pomocą lunet, cyfrów, kątomiarów i odczynników chemicznych, zbadać prawdziwy kształt owego posagu.

Widoczne było, że mrówki pracują usilnie i ze znajomością rzeczy. Na nieszczęście, posąg był miliard miliardów razy większy od nich, skutkiem czego żaden badacz nietylko nie mógł wzrokiem ogarnąć całości, ale nawet jakiejś większej części. Mierzyli więc poomacku, z wielkim trudem i bardzo powoli, tak że nad poznaniem jednej fałdy pracowało kilkanaście pokoleń, myląc się i kłócąc między sobą. Dla pojęcia formy Rzeczywistości należało zbadać kilkaset poziomych i pionowych przekrojów, których obwody tworzyły linję, długą na paręset wiorst. Tymczasem badano ledwie kilkanaście przekrojów i to w niższych częściach posagu, zrobiono zaś kilkanaście metrów.

Mimo to rozprawiano o całości, którą jedni uważali za figurę prawidłową i celową, inni za martwą i bezładną kupę wypadków i — ci byli najzuchwalsi.

— Mam lunetę — wołał jeden — tak potężną, że widzę przez nią aż koniec mego nosa, lecz nie dojrzałem myśli w naturze.

— Co tam luneta; — odparł drugi. Ale ja zbadałem kilkanaście nagniotków wielkich ludzi i wcale nie znalazłem duszy.

— A ja nawet życia nie widzę w na-

turze — dodał trzeci — choć zrobiłem sztuczny mocz, nie różniący się ciężarem, kolorem, zapachem, ani smakiem.

— Każdy osioł robi to lepiej i taniej — przerwał mu właściciel lunety.

— Ale ja jeszcze w moim dystylatorze uniwersalnym zrobię sztucznego człowieka...

— Matematycy badali stopę Rzeczywistości, a ponieważ pracowali najdawniej i najporządniej, więc prędko skończyli swój kontur i odkryli w nim uderzającą prawidłowość. To upoważniło ich do wniosku, że całość musi być wysoce prawidłowa, i twierdzili, że można zastosować ich formuły nawet do tych części posagu, których jeszcze żadne doświadczenie nie tknęło.

Ale badacze nagniotków i wynalazcy sztucznego moczu zakrzyżowali ich. Więc praca posuwała się zwolna i wśród ogólnego zamętu.

Widząc to, ubogi student pomyślał:

— Oczywiście jestem najdoskonalszy z ludzi, bo dokładnie zrozumiałem to, czego nie mogą pojąć najmędrsi. Rzeczywistość nie jest chaosem, ale całością nietylko prawidłową, lecz i piękną, ja zaś...

W tym momencie rozległo się skomlenie psa: aj — aj!... które tak wstrząsnęło chorą, że — otworzył oczy...

Tym razem nie był już ani w krainie szczęścia, ani w ciemnej kuźni, gdzie wykuvano życia ludzkie, ani na płaszczyźnie obłoków, nad którą wznosiła się Rzeczywistość, ale — na szpitalnem łóżku. Otaczali go koledzy, na których twarzach spostrzegł niepokój i zdumienie.

— Cóż mi się tak przypatrujecie?... — zapytał.

— To ty mówisz? — zawołał jeden. No, więc będziesz żył...

— A stałeś już obcasami w grobie — dodał drugi.

— Chyba na tamtym świecie — odparł rekonwalescent, przypominając sobie dziwny sen.

— Aż na tamtym?... Cóż tam słyhać?... Jakie wiadomości?... żartowali koledzy.

Ubogi student machnął ręką i pomyślał:

— Żartujcie wy sobie, a ja co wiem, to wiem...

Gdy zaś przyszedł do zdrowia, nietylko nie narzekał na swoją biedę, lecz owszem, cieszył się z niej. A ile razy spotkała go ciężka zgryzota, przypominał sobie promienie światła, wytryskujące z granitowej bryły pod ciosami Cierpienia, i mówił, że w takiej chwili dusza mu się rozrasta.

„Ziemia obiecana“.

(Opowiadanie Stefana Nesterowicza o Brazylii i Argentynie).

Podróż, zwłaszcza uciążliwsza nieco i dalsza, nie należy wcale do naszych narodowych sportów. Kilka, kilkanaście najwyższych godzin jazdy koleją w przedziale wygodnego wagonu (nocą w *Sleepingcarze*), nocleg pod aksamitnymi firankami wykwiłtowanego łóżka hotelowego, wycieczka do jakichś zwalisk malowniczych wpoł-
leżąc na poduszkach miękoressorowego landau — à la bonne heure! ale... ale tłuc się gdzieś przez morza i lądy dla miłości samego podróżowania, nie, to nie dla nas.

To też na stu rodaków naszych, o których mówią, że dużo «peregrynowali w cudzym horyzoncie» (by użyć wyrażenia biskupa warmińskiego), znajdzie się zaledwie dziesięciu, którzy po za *Rundreis* wychyli-
lili się europejskie. Ten, ów zajął do

Kairu; ten, ów widział słońce, bielące ściany algierskich chałup — a zaledwie jeden na tysiąc dosiadł «okrętu pustyni», lub ocean przepłynął.

Do nielicznych tych wyjątków należy p. Stefan Nesterowicz, który, jako turysta, puściwszy się na drugą półkulę do południowej Ameryki, zmuszony tam został okolicznościami byt pracą zabezpieczać i, dzięki temu nadprogramowemu epizodowi w życiu swoim, zdołał w ciągu trzechletniego pobytu w Brazylii, Argentynie, Urugwaju, Paragwaju, Chili i Boliwji, siłę zgromadzić bezpośrednich obserwacji i doświadczeń. P. Nesterowicz tedy zna przeróżne warunki życia amerykańskiego poniżej równika, przypatrzył się ludziom tamtejszym i miejscowościom nie z okien wagonu lub okna hotelowego, i zagadnięty przez redakcję «Kurjera Codziennego»: co też tam i jak słyhać w południowej Ameryce? daje nam właśnie obszerną i szczegółową na to pytanie odpowiedź. Relacje zaś podróżnika mają też i «świeżość» za sobą albowiem p. Nesterowicz opuścił Brazylię w końcu lipca r. z.

Rzecz prosta, iż w sprawozdaniu p. Nesterowicza szukamy przede wszystkim wyjaśnień naocznych widza i doświadczonego własnymi przygodami człowieka, odnośnie do losu, jaki ewentualnie czeka w Brazylii i Argentynie tłumy tam obecnie emigrującego naszego ludu. P. Nesterowicz potwierdza tylko nasze przypuszczenia. Żle się dzieje w południowej Ameryce emigrantom naszym, źle się dzieje już od chwili wstąpienia na pokład emigracyjnego statku.

Owa suteryna najpierw, w której podróż odbywają, to istna nora, gdzie przestrzemię, zaledwie na kilkadziesiąt osób wystarczającą, setki dzielić się muszą. Pożywienie, udzielane pasażerom klasy III-ciej, nie może zaspokoić nawet mniej niż średniego apetytu. A woda?

«Parowiec — pisze p. Nesterowicz — posiada rezerwoar na wodę, który napelnia przed puszczeniem się w drogę. Wszakże wobec mnóstwa jadących, zabraną ilość wydzielać trzeba bardzo oszczędnie, by jej nie zabrakło na pełnem morzu. Pierwsza i druga klasa, oficerowie, a nawet i marynarze, mają podostatkiem wody do picia, filtrowanej i ochłodzonej lodem; mają wodę nawet do mycia się. Za to dla trzeciej klasy pompa zamknięta jest na klucz. Tylko na pokładzie, w miejscu, nie zasłoniętym przed palącymi promieniami podzwrotnikowego słońca, stoi żelazny kwadratowy rezerwoar, w każdym rogu którego urządzony jest drewniany smoczek, z rurką idącą do dna. Kto chce ugasić pragnienie, bierze w usta jeden z tych smoczków i ssie. Do tego sposobu picia możnaby się również przyzwyczaić, gdyby nie ta okoliczność, że woda rezerwoaru zaledwie przez pierwszych dni kilka jest niezła; później coraz trudniejszą do zniesienia, a od połowy podróży już wprost wstrętną. Rezerwoar bowiem, jako stale przytwierdzony do statku, nie bywa nigdy myty, oczyszczany, lecz tylko dopełniany w miarę potrzeby, zjad męty, infuzorja, pokrywają dno coraz grubszą warstwą. Wobec wysokiej temperatury powietrza, w jakiej odbywa się podróż, żelazne ściany, a za niemi i woda, ogrzewają się do 30 kilku, nierzadko i 40 stopni, zaś przy takim cieple w wodzie rozwija się gnienie. Tymczasem bądź z powodu upału, bądź niezdrowych, nieświeżych pokarmów, zwiększa się pragnienie. Z litością patrzyłem na ten tłum, cisnący się do rezerwoaru z zeschniętymi od pragnienia ustami, a jednocześnie z tem smutnem przeświadczeniem, że wypadnie napić się cuchnącej cieczy i oderwać usta wpięrg, zani-
nim się pragnienie ugasi. Biedacy radzili sobie jak mogli: ssali wodę, zakładając poprzecz-
nie na smoczki chustki od nosa. O ile ta ostrożność była konieczną, można się było przekonać po zdjęciu chustki, na której osiadała galaretowata masa, brudno-zielonego koloru».

Nie wspominamy o morskiej chorobie, o burzach, o epidemicznych chorobach, zmiatających emigrantów w czasie 25—40-dniowej podróży—przytoczony obrazek wystarczy.

Statek nareszcie stanął u kresu podróży, w Rio-Janeiro, w Santos lub w Boki. Tam biorą w opiekę wychodźców t. zw. «Hotele emigracyjne». Tam pozwalają gościowi przebyć spokojnie dni ośm. Po upływie tego terminu zapytują go: czy znalazł już jakie zajęcie, gdyż dłużej z gościnności hotelu korzystać nie może?

Wtedy nastaje krytyczna chwila. Emigrant naturalnie nie zdołał rozejrzeć się nawet wśród nowych warunków bytu, a cóż dopiero mówić o znalezieniu roboty i zajęcia. Opadają go tedy agenci (jeżeli z pokładu statku już nie popadł w ich ręce); ten ciągnie w swoją, ów w swoją stronę; ostatecznie dają mu do podpisania umowę, naturalnie w języku, którego nie zna, i ludzie, których nie rozumie, zabierają go w jakąś otchłań bydlęcej pracy, gdzie pracować będzie 16 godzin na dobę, palony słońcem, smagany pejcem. Jeżeli ma przy sobie jakiepieniądze, otrzymane za ojcowiznę, sprzedaną na odjeźdem—tedy nie na długo mu one wystarczą. Przy brazylijskiej kolosalnej drożyznie pieniądze rychło stopnieją i emigrant będzie zmuszony dzień wcześniej, dzień później zdać się na łaskę lub niełaskę pierwszego lepszego chlebobdawcy.

W Rio-Janeiro i wogóle po miastach, robotnik nie mający fachu, rzadko kiedy więcej może zarobić dziennie niż 1 mil 250 reisów, t. j. 1 rs. 25 kop. (1 mil=1,000 reisów=1 rs.). To dużo? Nie—to bardzo mało, zważywszy na wspomnianą już drożyznę miejscową, przy której, jak powiada p. Nesterowicz, «oszczędzenie nawet kilku groszy trudnem jest bardzo». Oto próbka:

«Funt mięsa wołowego w Rio de Janeiro kosztuje 250 reis. (około 25 kop.), wieprzowiny 400 reis. (40 k.), słoniny 500 reis. (50 k.); funt kartofli 200 reis. (20 kop.), główka kapusty 300 do 500 reis. (40 kop.), jedno jaje 100 do 150 reis. (10 kop.), funt cukru 150 reis., funt ryby 300 do 600 reis., wiązka salsy 300 do 500 reis., funt masła 1,200 do 1,800 reis. (10 złotych), funt chleba białego 250 reis., czarnego 300 reis., szklanka mleka 120 reis., kura 1,200 do 2,000 i t. d. i t. d. Nawet ta kawa, której Brazylija produkuje, spożywanej w świecie ilości, kosztuje 500 reis. funt. Z powyższych cen łatwo wynioskować można, ile wyniesie najskromniejszy obiad dla rodziny, z kilku osób złożonej».

Jeżeli zaś zdarzy się emigrantowi dostać zajęcie z kilkorublowem dziennem wynagrodzeniem, to chyba w miejscowości tak oddalonej od wszelkiej komunikacji, że ceny produktów dochodzą tam do bajecznych ilości rozmiarów.

Ale może wychodzić, posiadający fach w rękę, lepsze może mieć widoki w Brazylii. I to nie. Rzemiosła, z powodu wysokiej płacy robotnika, nie mogą się tam rozwinąć. Fabryki i rękodzielnie europejskie zalewają swemi wyrobami Brazylię. Więc może człowiek z t. zw. średniem wykształceniem znajdzie tam ziemię obiecaną? I to nie; czeka go tam równie ciężka praca u jakiego plantatora, jak i każdego z wieśniaków, tylko chłop znieść tę pracę łatwiej potrafi, niż człowiek do niej wcale nie przyzwyczajony. Ale gdy się poszczęści? Ha, gdy się poszczęści, to już nie będzie zasługą specjalnie Ameryki, ale przypadku. P. Nesterowicz widział byłych potmoćników geometrów na stanowisku dyrektorów brazylijskich fabryk, ale widział też tam jednocześnie wychowalców politech-

nik, pracujących przy nich jako rysownicy marni.

Trudnem nadto jest bardzo zaaklimatyzowanie się Europejczyka w Brazylii, to jest ludzi, przywykłych do klimatu pomiędzy 6 a 8 stopniami przeciętnie w klimacie 25 — 30 stopni, wśród grasującej niemal nieustannie żółtej febrzy i innych epidemicznych chorób.

Po zniesieniu niewolnictwa, które to zniesienie koroną przypłacił cesarz Dom Pedro, plantatorowie brazylijscy zostali bez robotnika. Trzeba było niewolników czarnych zastąpić białymi. Tedy sam nawet rząd brazylijski, jak wogóle wszystkie rządy południowej Ameryki, jeły nietylko sprzyjać emigracji, ale ją nawet popierać. Przybyśże stali się główną siłą produkcyjną państwa. Brazylija posiada dotąd olbrzymie niezamieszkałe obszary, których z powodu trudności uprawy i braku komunikacji nikt kupić nie chce. Rząd tedy darowuje te obszary kompanjom kolonizacyjnym, pod warunkiem, że prawo własności dopiero wtedy przyznaniem zostanie, gdy posiadacz przedstawi dowód, iż na każdym 200 hektarach nadanej mu ziemi osadzi jedną rodzinę, conajmniej z trzech osób złożoną. Kompanje kolonizacyjne poszukują osadników; agenci osadników tych im dostarczają za stosownem wynagrodzeniem. Łatwo sobie teraz wyobrazić, jak takiego osadnika, taki *imcenciarz* gospodarczy, wyyskuje taki członek sławetnej kompanji kolonizacyjnej. Dodać wreszcie trzeba, że dzisiejsza emigracja wypychana bywa daleko w głąb kraju. Łatwość nabycia «zabezeczeń» ziemi jest mrzonką, jak wszystkie inne amerykańskie.

«Dzisiaj—powiada p. Nesterowicz—by dostać kawalek roli w pobliżu miasta lub kolei, trzeba go dobrze zapłacić, a kupiwszy, należy mieć wyobrażenie o sposobie tutejszej gospodarki, by mógł konkurować z dawniej osiadłymi. Zkąd nasz rolnik świeżo przybyły potrafi siać ryż, hodować banany, ananasy, tytuń, maniok, słowem rośliny, których u nas nie widział? A tymczasem te tylko przeważnie plody mają tu zbyt zapewniony».

Najtrudniej zaś bezwarunkowo radę sobie dać w Ameryce—polakowi. Dać mu może zajęcie w swoim domu tylko—rodak, tymczasem tych rodaków-chlebobawców niema zupełnie w Brazylii. Dość powiedzieć, że w Rio de Janeiro, liczącem 350,000 mieszkańców, dwóch tylko przebywa polaków: tapicer Lycha i siodlarz Krause. W Santos, Parana, Rio Grande nie mógł p. Nesterowicz, pomimo usilnych starań (a zależało na tem wiele jemu samemu), dopytać o żadnego rodaka. Również np. emigrant, zakładający w którym z miast handel lub zakład przemysłowy, nie może liczyć na poparcie polskich kolonistów. W Kordubie niejaki p. Szulc z Poznania ma handel kolonialny i sklep z odzieniem. Skarżył się p. Nesterowiczowi na hołotę polskich kolonistów, którzy nawet sprowadzonego sobie księdza z Galicji «wyżywić nie mogli. Taką kolonję polską niedaleko Kurtyby, wieś, złożoną z 60 rodzin wieśniaków galicyjskich, zwiędził p. Nesterowicz. Utyskiwali srodze ci ludziska, że przez 13 lat pobytu w Ameryce nawet grosza nie zdołali zebrać na powrót do kraju.

Nawet włosi (zwłaszcza neapolitańczycy), którzy umieją przy najniegodniejszych warunkach, graniczących z nędzą, jeszcze grosz jaki taki uciulać, zmykają z «ziemi obiecanej». Ci i owi cisną się do Ameryki północnej, bo łatwiej tam się dostać niż za Ocean, a zresztą raz jeszcze próbują szczęścia.

P. Nesterowicz mówi o całych partiach wychodźców, wracających napowrót do rodzinnych kątów, nieopatrznie, lekkomyślnie porzuconych.

Prowadzi nas dalej autor do Argentyny, dokąd właśnie w chwili obecnej wrasta wciąż i wrasta bezmyślnie emigracja. Niestety, to co o niej mówi, potwierdza tylko smutną zadumę Amicisa, towarzyszącego przed laty kilku parti włoskich wychodźców, podążających ku ujściu La Platy. Przeczucia Amicisa, tak serdecznie wyrażone w «Na Oceanie», potwierdzają doświadczenia p. Nesterowicza, tak nieubłaganą logiką przemawiające z każdego ustępu «W Brazylii i Argentynie».

«Olbrzymie pampasy Argentyny dostarczają znakomitej paszy, a zaorane dają obfite plony; można tam siać i sadzić wszystkie nasze rośliny, a nadto wiele innych—wszystkiemu temu nie zaprzeczam. Ażeby jednak gospodarzyć, trzeba mieć ową rolę, to zaś nie jest tak łatwem dla nieposiadającego zasobów pieniężnych. Dla rolnika, chcącego z otrzymanych plonów wyżywić siebie i rodzinę, nie wystarcza, jak u nas, kilka mórg gruntu; musi on go mieć o wiele więcej, by wzamian za wyprodukowane ziarno otrzymać to wszystko, czego ziemia dać nie może. Drożyzna argentyńska w niczem nie ustępuje, jeżeli nawet nie przenosi brazylijskiej, a tembardziej teraz, gdy podatki zostały powiększone, wartość pieniędzy spadła, zaś komora pobiera cło w złocie. Oprócz tak zwanego «*teritorio national*», w którego skład wchodzi: Patagonja, Bermejo, Gran-Chaco i La Pampa, zaledwie tylko niektóre prowincje, pod Kordyljerami leżące, jak: Jujny, Salta i Catamarca, posiadają jeszcze obszary, nie będące własnością prywatną, a i te rząd dzisiaj zamierza sprzedać za dobre pieniądze».

Wspomniałem o pięknej książce Amicisa, bo mimowoli wspomnienie o niej nąsunęło mi się pod pióro, nie zaś dlatego, abym porównywał chciał liryzm i artyzm przedziwny włoskiego autora z informacyjną, treściwą, pełną szczegółów praktycznego znaczenia pracą p. Nesterowicza. Ma ta ostatnia specjalne znaczenie i doniosłość, zwłaszcza w chwili obecnej, kiedy sprawa emigracji poruszoną została ze wszech stron na forum naszego dziennikarstwa. Ciekawe szkice i notatki p. Nesterowicza nie dobiegły jeszcze końca i zapewne niejedno jeszcze nam przyniosą, z czem każdy, zabierający głos w sprawie wychodźstwa, liczyć się będzie musiał. O ich wartości i znaczeniu świadczy najlepiej zajęcie, którego budzić nie przestają.

Cz. J.

Z NAD NIEMNA.

Wilno, 2 stycznia.

[Ludzie smutni. Nepotyzm. Zielony stolik. Plotki. Historia z chirurgiem p. D. Brak odwagi gdzie chodzi o wypowiedzenie prawdy. Subhasta. Tutejszy bank ziemski. Bank handlowy. Hygiena miasta. Powrót lekarzy z Berlina].

Niedawno zdarzyło mi się słyszeć uwagi, iż żadne miasto nie posiada w sobie tak dużo smutnych osób, jak Wilno. Uwaga ta nie możemy przyznać wielkiej słuszności, z tem tylko zastrzeżeniem, iż do tej liczby zaliczamy osoby, opanowane nepotyzmem moralnym, zupełną, bezmyślną apatią. Ludzi z życiem, ludzi dowcipnych i wesołych zupełnie nie posiadamy. Niewyczerpany dowcip hr. E. Tyszkiewicza i tylu niegdyś innych, dziś już tylko w tradycji żyje. A powodem tego są nietylko okoliczności i bieda materialna, lecz i własne winy nasze.

Zmora, zabijająca wszelkie ożywienie towarzyskie, są karty, tak dziś rozpo-

wszechnione, iż nietylko cała młodzież męzka, lecz i młode panny, posiadające prawdziwe zalety towarzyskie, mogą być ozdobą zgromadzeń, zasiadają przy zielonym stoliku. Są rodziny, dziadowie których stanowili chlubę narodu, salony których były niegdyś prawdziwym przybytkiem nauki i wszystkiego, co sławne i wielkie—dziś my, wnuki, tem się staniemy tylko sławni, iż od rana do późnej nocy nie opuszczamy zielonego stolika. Pytam, jakie pokolenie ludzi, jacy to obywatele kraju urosną z dzieci, kształcących się na takim wzorze? Może mi powiecie, iż i to ma swą dobrą stronę, bo, dając w ręce karty, zamykamy usta na ploteczki i komeraże.

Nie trafne to jednak byłoby przypuszczenie, gdyż ploteczki te i kwestje osobiste, prywatne—to jedyna sól atyczna, ożywiająca nasze życie towarzyskie, a skoro tylko idzie o nagane lub ostrą krytykę nawet w rzeczach wcale nam obcych, wówczas jesteśmy bezwzględnie srodzy i niesprawiedliwi, chociażby ztąd najnieśluszniej dobre imię czyjeś szwank ponieść miało. Tak się właśnie rzecz miała z chirurgiem doktorem Dębowskim. Nauczyciel I-go gimnazjum klasycznego p. Siniawski, uległ silnemu cierpieniu gardła. Stan chorego stawał się groźnym, i leczący go lekarze, pp. Speranskij i Gordon, jako jedyny ratunek dla chorego, uznali konieczność zrobienia operacji, do której byli wezwani chirurgowie Dębowski i Jundzill. Lecz gdy się tylko operacja rozpoczęła, pacjent skonał. Taka nagła śmierć powszechnie szanowanego nauczyciela wywołała całą powódź dziwacznych i niesprawiedliwych zarzutów i oskarżeń. Dla kumoszek i dbałych z pobudek iście chrześcijańskich o cudze, tylko nie o własne, dobre imię, była to gratka nielada i zrećność nie do opuszczenia, to też niedorzeczne gawędy przybrały nareszcie rozmiary takie, iż zmuszone były wmieszać się w to i władze administracyjne. Z rozporządzenia p. gubernatora nastąpiła ekshumacja zwłok zmarłego; przeprowadzono najściślejsze badanie i wykryto, że operacja nie została ukończoną a zaledwie rozpoczęta, przecięto bowiem tylko skórę i powięź powierzchowną i żadnych naczyń nie uszkodzono; że znaleziony przy sekcji duży, głęboko położony ropień, usprawiedliwiał konieczność operacji; że serce nie przedstawiało żadnych chorobliwych złożeń, któreby nie pozwalały w danym razie użycia chloroformu—i nareszcie, że śmierć nastąpiła tylko wskutek apopleksji, a więc zupełnie nie wskutek winy lub omyłki operującego. Protokół tego badania i sekcji z ostatecznymi wnioskami został ogłoszony w gazecie miejscowej, dla położenia tamy wszystkim niedorzecznym bajkom. I czy sądzicie, iż to zamknęło usta i przekonało naszych bogobojnych mieszkańców?—Oskarżenia i potępienia szły dalej, i chyba nowy jakiś podobny temu temat tamę plotkom położy.

Nawzajem, tam gdzie należy wypowiedzieć prawdę, gdzie rzeczywiście opinia publiczna powinna kogoś skarcić, tam na odwagę nie zdobędziemy się nigdy. Któż nie pamięta oburzających scen w połowie czerwca b. r. z jednym z półpanków, kiedy się sprzedawały jego dobra, miejsce najdroższych dla nas pamiętek. Lżony przez skrzywdzonych przezeń kredytorów, niejednej rodziny zgubę i przekleństwo za sobą pociągając. A nie brakło nam i innych w tym rodzaju marnotrawców, którzy dziś, na szczęście, już ucichli, nie dlatego jednak, żeby się upa-

miętał, lecz tylko dla tego, że wileńscy nasi Rotszyldowie, wszystko a wszystko im sprzedali i w zbytłownych ich siedzibach się sami rozsiedli. W czasie tych to nadużyć, nie znalazł się wśród najzacniejszych, szanujących siebie domów rodzinnych, ani jeden, któryby drzwi zamknął przed tymi panami. Przeciwnie, ci «mili lekkomyślni», jak ich mamy córek na wydaniu nazywały, wszędzie uprzejmie witani byli.

Oj źle, źle się bawimy, a mówi to nam wciąż wileński bank ziemski, który na subhastę drugiej połowy grudnia wystawił 126 domów i 634 majątków. Instytucja ta, prowadzona umiejętnie i z wielką ostrożnością, rozwija się coraz lepiej, zyskując sobie wiarę i ufność powszechną; obroty banku zbliżają się już do 60 milionów. Szkoda tylko, iż tak świetne rezultaty operacji banku stoją wprost w odwrotnym stosunku do stanu ekonomicznego ziemianstwa naszego. Nie winna to jednak banku. Raz jeszcze tylko powtórzyć musimy niejednokrotnie już zarządowi banku czyniony zarzut: względem nieodpowiednio małego w stosunku do świetnie rozwijającej się instytucji wynagrodzenia młodszych pracowników banku. Nowy gmach banku prawie już ukończony, przedstawia się imponująco. Jak słyszeliśmy, partja, oponująca dzisiejszemu kierunkowi w banku, gotuje z tego powodu interpelacje na mającem się odbyć w marcu zgromadzeniu walnem akcjonariuszów. Radziłybyśmy byli słyszeć opozycję, robiącą zarzuty poważniejsze i więcej oparte na dowodach rzeczowych. Opozycja, rozumnie stawiana i prowadzona, może li tylko usługę oddać akcjonariuszom. Taka opozycja powinna być traktowana ze wszelkimi względami ze strony zarządu banku. Jako niezbędny warunek do tego, jest wcześniejszy dostęp do sprawozdań rocznych bankowych. Niejednokrotnie próbowaliśmy sprawozdania te, chociażby na kilka dni przed zgromadzeniem walnem akcjonariuszów, otrzymać, lecz zawsze na próżno. Rozdają się one tylko przy wejściu na salę posiedzeń, i trzeba być chyba genjuszem, żeby w tej chwili zorjentować się wśród olbrzymich kolumn cyfr i mózdz je krytykować. Postępując w ten sposób, zarząd może na siebie ściągnąć najniewinniej zarzut, iż posiada tajemnice, które chciałby ukryć przed okiem swych wyborców. Wszak i bez tego nasze zgromadzenia walne stają się tak jałowemi, że można byłoby je zamienić przez fonograf, wołający: «prosimy, prosimy», oraz «zgadzamy się», a położyć tylko przygotowany zawczasu protokół do podpisu chociażby przed terminem zgromadzenia.

Od banku ziemskiego krok jeden do pokrewnej mu instytucji—banku handlowego. Jestto prawie jedyna u nas instytucja, nie rachując rozmaitych banków i banków prywatnych o charakterze czysto handlowym. Zdawałoby się więc, iż powodzenie jej stale zapewnionem być powinno. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie.

Nie wchodząc w przyczynę tego niepowodzenia, podaję tylko wniosek ostateczny ministerstwa finansów pokrycia szkód, poniesionych przez bank, w sumie 560 tys. rs., przez nadpłatę na każdą akcję po 140 rs., lub w przeciwnym razie zlikwidowanie interesów banku. Wskutek tego *dictum acerbum* ministerstwa na ogólnem zebraniu akcjonariuszów banku 28 sierpnia r. z. jednogłośnie postanowiono złożyć żadaną przez ministerstwo nadpłatę, a dla rozpatrzenia spraw banku wy-

brać osobną komisję. Tegoż dnia miały miejsce wybory członków wyżej wzmiankowanej komisji, trzech członków zarządu i dwóch rady. W liczbie wybranych na próżno jednak szukali nazwiska choćby jednego fabrykanta, przemysłowca lub kupca. Nowowybrani mogą być ludzie bardzo mili, nawet uczciwi, a co lepsze, doskonali partnerzy, lecz te wszystkie zalety są zamałe, by wzbudzić zaufanie takich sceptyków, jak dzieci Merkurego. Pp. Z. i L. są ludzie zaufania godni, lecz znani tylko szerszemu kołu ziemian. P. S. człowiek młody, zdolny, najlepszych chęci, lecz imię jego nie posiada żadnej siły atrakcyjnej. Obecność zkadinał bardzo zacnego p. H. też nie działa pociągająco. Nazwisko jego, chociaż najniewinniej, związane jest z pamiętnym dla wszystkich krachem wileńskiego banku wzajemnego kredytu, gdzie mnóstwo rodzin ostatni swój grosz utraciło, gdzie przez lekkomyślne i ryzykowne szafowanie cudziemi pieniędzmi seciny tysięcy rubli zatracone zostały. Wogóle, zdaje mi się, że bank handlowy zapomina o najważniejszej rzeczy, a mianowicie, że nie dla siebie samego, lecz dla handlu i przemysłu istnieje. Niejednokrotnie słyszeliśmy narzekania ze strony firm, zupełnie zasługujących na zaufanie, iż przy dyskontowaniu weksli spotykali się z wielką niewzględnnością ze strony zarządu banku. Być może, iż w nowym składzie zarząd zechce dyplomatyczniej działać: nie zrażać i nie zniechęcać, lecz przeciwnie, przyciągać interesantów. Rachować się z tem powinien bank tembardziej, iż zniechęceni tutejsi kupcy i przemysłowcy, robili oferty różnym domom handlowym, prosząc o otwarcie w Wilnie swych oddziałów, wskutek czego, jak się dowiadujemy, paru przedstawicieli banków z Warszawy i Petersburga przyjeżdżało do Wilna dla zbadania stosunków miejscowych; nie mówimy już o rzykim banku handlowym, który podobno niepłonną ma nadzieję otrzymania od władz wyższych pozwolenia na otwarcie swojej filji. Po zatwierdzeniu budżetu banku na rok następny, w sumie 29,170 rs. i kop. 10, pp. akcjonariusze rozeszli się, zupełnie spokojni o byt instytucji i kapitałów jej powierzonych, a my od siebie dodamy szczere życzenie, by tego snu różowego nic a nic nie zmąciło, jak nie zmąca spokojnego snu ojców miasta naszego. Tak nam dobrze wśród tej zaśniedziałości, wśród tych brudów i ciemnych dziedzińców, że każda kwestja, podniesiona przez ludzi, rozumiejących potrzeby czasu i kultury, bardzo nas niepokoi. Sprawy zdrowotności miasta, dawno już rozstrzygnięte w całym świecie cywilizowanym, nie podnoszą się u nas wcale, lub są narażone na wysmianie. Dość wspomnieć, iż sprawa wysadzenia niektórych szerszych ulic drzewami nie uzyskała poparcia, a kwestja zadrzewienia placów rozwiązana została z trudnością. Gdy partji p. Gordona i jego popleczników, idących do boju w zwartym zawsze szeregu, nie udało się projektu tego obalić, zadowolili się tem, iż garstce ludzi, którzy najzupełniej bezinteresownie poświęcając swój czas i pracę, dali nam przeszliczne miejsca do wypoczynku, stanowiące prawdziwą ozdobę miasta naszego, za to, że w małej sumie przekroczyli przeznaczony im budżet, robili mnóstwo nieprzyjemności. Gdy p. S. podniósł kwestję barwy domów, kwestję dawno już rozstrzygniętą we wszystkich miastach europejskich, u nas nietylko nie przystąpiono do jej zbadania, lecz p. S. zmuszonym był wysłuchać różnych na ten temat żartów.

A kwestja ta, przy naszych ciasnych i małych dziedzińcach i wązkich ulicach, bardzo jest poważną, czemu dowodem służyć może statystyka wciąż zwiększającej się liczby chorych na oczy. Wogóle radzie naszej miejskiej zdaje się, iż jest ona irlandczykami w angielskim parlamencie, gdzie obstrukcjonizm powinien cechować całą jej działalność, a to z racji do maksimum posuniętego biurokratyzmu. Rezultatem tego systemu jest, iż najbardziej nagląca sprawa zaciąga się do nieskończoności. Leczą prawdziwą piętą achillesową naszego miasta jest kwestja higieny. Pod tym względem stoi Wilno niżej od przeciętnego miasta w Rosji, nie mówiąc już o innych miastach europejskich. Niedawno «Wil. Wiestnik» ogłosił rezultaty rewizji policyjnej jatek, tak chrześcijańskich, jak i niechrześcijańskich. Doprawdy, czytając te protokoły, wierzyć się nie chce, że jesteśmy w mieście przeszło 100 tysięcy ludności liczącem, gdzie są lekarze miejscy, a co ważniejsza, lekarze sanitarni. Sanitarowie ci—ta kiedyś prawdziwa zbrodnia dla naszych obstrukcjonistów, nie okazują się jednak wcale tak dla nich strasznymi, czego dowodem gniące wciąż nasze dziedzińce po nominacji tych panów. «Wil. Wiestnik» kończy swój artykuł, wołając: «o sanitariusze, gdzie wy!» Chętnie się przyłączamy do tego wołania, tembardziej, iż słyszeliśmy, że się znajdują ludzie dobrej woli, co mają już ogłosić nagrodę za znalezienie tych panów sanitariuszów i ich jakiegobądź działalności. A powonienia nasze co wieczór o nich się dopytują, gdy przez miasto rusza tabor asenizacyjny.

Sposób, w jaki się asenizacja u nas odbywa, jest zupełnie patryarchalny. Tabor zaledwo w części składa się z przyrządów Bergera, reszta najprostsze beczki niezamknięte i czerpaki. To też nie tylko dom, w którym się czyszczenie odbywa, zakaża się zabójczymi wyziewami, lecz i całe ulice i dzielnice miasta, przez które tabor przejeżdża. Niejednokrotnie też, ile wiem, robione były interpelacje zarządowi miasta w tej sprawie. Wskazywano na Warszawę, gdzie asenizacja już się odbywa w sposób, zupełnie zgodny z wymaganiami higieny. A jednak środków nam nie brak. Miasto nasze jest jednym z bogatszych w Rosji i posiada dochodu do 330 tysięcy rubli; z tych tylko 70 tysięcy z podatków, reszta zaś z ziemi i funduszy nieruchomych,—możnaby więc było coś o zdrowotności pomyśleć. Tymczasem miasto żadnego a żadnego szpitala własnego nie posiada. Mamy za to wielką księgę, a w niej dział osobny z napisem tytułowym: «O wygodach, urządzonej przez zarząd miejski dla mieszkańców Wilna». Czytelnik z ciekawością otwiera karty—a w nich znajduje tylko jedną pozycję, a mianowicie «wystrzał armatni». Oto na co miasto nasze podług własnych aktów umiało się zdobyć, a i wystrzał ten zawód nam nieraz czyni, zawczesnym lub spóźnionym odgłosem.

Trzech lekarzy tutejszych, pp. Dębowski, Dymsha i Węslawski wrócili z Berlina, gdzie pewien czas spędzili dla zaznajomienia się z metodą leczenia d-ra Kocha, pracując w szpitalach i klinikach, i wkrótce mają przystąpić do stosowania szczepionki kochowskiej w jednym z tutejszych szpitali.

Tacitus.

Przyczyny upadku szlacheckiej własności ziemskiej.

Pod tym tytułem «Grażdanin» zamieścił artykuł «obywatela A. Chw.», w którym ten ostatni zamieszcza moc komplementów pod adresem ks. Mieszczańskiego, za jego w tej materji wyjaśnienia dawniej zamieszczone w «Grażdaninie». Po wynurzeniu uczuć wdzięczności i zachwytu, p. Chw. jednak nie zgadza się z jednym argumentem, a mianowicie z tym, że ks. Mieszczański jedną z przyczyn upadku w tem widzi, że szlachta ruska nie zrobiła tak, jak nadbałtycka i polska w swoim czasie, to jest, że gdy warunki się pogorszyły, nie zmniejszyła wydatków i nie została na dawnych miejscach. P. Chw. nazywa to prawdą świętą, ale pyta, dlaczego nie zrobiła tego szlachta ruska—uważa za dziwne, jako nie należące wcale do zagadkowych.

«Nie mogę również zgodzić się—pisze pan Chw.—z szanownym autorem «Dziennika», ażeby «polacy nie opuścili swych wsi wskutek natchnienia historycznych swych instynktów». Rzeczywiście, i Niemcy i polacy siedzą po wsiach i sami gospodarują, a Rosjanie ciągle wstępują na służbę rządową i gospodarują zaocznie. Ale nie instynkt jest przyczyną tej różnicy... Prawo popierało tradycyjne wstępowanie szlachty ruskiej na służbę rządową, prawo to dotąd istnieje i nie zostało zniesione, a z drugiej strony karjera urzędnicza nęci ku sobie. Rodzice dzieci swoje, idąc za przykładem starszych, umieszczali w korpusach i gimnazjach klasycznych—w ten sposób nie przygotowywali je na gospodarzy, ale na urzędników cywilnych i wojskowych. Gdy tymczasem polacy, nie posiadający tak szerokich praw, kształcą swe dzieci w kierunku gospodarczym, umieszczają w szkołach, w których one uczą się agronomji: zagranicą, w Nowej-Aleksandrji, w rzyckiej politechnice, w Horyhorkach i w innych ruskich szkołach gospodarczych i technicznych. Rosjanie, nie posiadający fachowego wykształcenia i odzwyczajeni od trudnej pracy na służbie rządowej, nie mogą się z nimi porównać i nie mogą prowadzić intensywnego gospodarstwa, a za cofane gospodarstwa nie mogą konkurować z powodzeniem na wszechświatowym rynku produkcji. Ktokolwiek mieszka w kraju zachodnim między Rosjanami i Polakami, widzi na własne oczy, że majątki pierwszych są w gorszym stanie, a to objaśnia się nieobecnością właścicieli.

«Gospodarstwo w południowo- i północno-zachodnich guberniach wyżej stoi od gospodarstwa guberni wewnętrznych, ale w tych pierwszych gorsze jest aniżeli w kraju nadwiślańskim, a w tym ostatnim gorsze, aniżeli w guberniach nadbałtyckich».

«Polacy w kraju nadwiślańskim przeniesli ciężki 1863 rok, a pomimo to, dzięki opiece losu, który zesłał im trzech znakomitych ruskich mężów, jakkolwiek urzędników: Milutyna, ks. Czerkaskiego i Solowjewa, otrzymali możność korzystania z prawnego porządku w większym stopniu, aniżeli inne gubernie w Rosji. Posiadają gminę z różnych warstw społecznych złożoną, sędziego gminnego z wyborów, często jest nim szlachcic, posiadają straż ziemską, własność osobistą, która wyklucza możność zostania ograbionym przez swych sąsiadów, gęstą ludność, dobre drogi, dobrego i taniego robotnika, i najlepszą formę pomocy—kredyt melioracyjny. O ile wyżej wymienione dane były na stronie Polaka i Niemca, o tyle i intensywność ich gospodarstw wyższą jest od gospodarki ruskiej».

Naszem zdaniem, upadek gospodarstw szlacheckich można natychmiast powstrzymać następującymi środkami: pierwszy—wydanie prawa o majątkach zakwestjonowanych i rozszerzenie tego prawa na zastawione już majątki; wrzucie niespłaconego długu w terminie, majątki mogą być oddawane pod opiekę. Drugi—otworzenie kredytu melioracyjnego na ulepszenia i budowę gorzelni, fabryk krochmalu, masła i wogóle na zakłady przemysłowe, mogące przyczynić się do wzmożenia się dochodu z majątku. Trzeci—wszystkie szkoły realne przekształcić na szkoły gospodarcze, któreby

zaznajamiały nie tylko z uprawą ziemi, ale i ze wszystkimi, związanymi z nią, gałęziami przemysłu.

Z powodu ucieczki Podlewskiego.

Sprawa Labruyera, mniemanego czy też rzeczywistego pomocnika i towarzysza ucieczki Podlewskiego, przybrała naraz dziwny obrót. Sąd apelacyjny paryzki unieważnił wyrok pierwszej instancji i od odpowiedzialności Labruyera uwolnił na tej podstawie, że tożsamość osoby wywiezionej wcale dotąd dowiedzioną nie została,—a wątpliwość pod tym względem powinna być zaliczoną na rzecz oskarżonego. Widocznie, że na postanowienie trybunału apelacyjnego wpłynął niemało zamęt, jaki w prasie francuskiej zapanował nazajutrz po wyroku pierwszej instancji, kiedy wyznania Labruyera ponownie poruszyły wszystkie okoliczności, towarzyszące zabójstwu jen. Seliwerstowa.

W rzędzie najrozmaitszych gazet francuskich, które w ten lub inny sposób usiłowały uniewinnić przestępcę—«Now. Wremia» zwróciło szczególną uwagę na głos gazety «Rappel», która w artykule, podpisanym przez jednego z redaktorów pisma p. Vacquery, powiedziała co następuje:

«Podlewski miał dwóch bliskich krewnych, karanych śmiercią. Jeśli prawo nie karze męża, który zabija żonę, dla tego, że nie umiał jej dla siebie zachować, trudno zrozumieć, dlaczego mściciel swych ukaranych krewnych nie byłby od kary wolnym».

«Owóż—powiada z tego powodu «Now. Wremia»—Podlewski staje tu przed nami jako mściciel swych krewnych. Nie mówimy o przykładzie męża, zabijającego żonę: prawo ruskie nie uniewinnia męża, zabijającego niewierną żonę. Gdyby jednakże krewni tych ukaranych komunistów, których rząd francuski w r. 1871 rozstrzelał w takiej ogromnej ilości prawie bez żadnego sądu, zechcieli usłuchać nauki p. Vacquery o zemście, moglibyśmy stać się świadkami powtórnej wojny domowej we Francji... Nadto «Rappel» powołuje się na to, że dwaj dalecy krewni mordercy, a mianowicie: Władysław i Zygmunt Podlewscy, zostali na śmierć skazani. Gazeta ma zupełną słuszność. «List do redakcji» z Kijowa, zamieszczony w naszym piśmie, opowiada dość szczegółowo o tym epizodzie z powstania 1863 r. Władysław Podlewski, naczelnik garstki powstańców, ograbiał stację pocztową w Rotmistrzówce, pow. berdyczowski, i powiesił naczelnika tej stacji p. Taksa za to, że był wierny swym obowiązkom. Rozbity i wzięty do niewoli Podlewski, był rozstrzelany na mocy wyroku sądu wojennego. Syn jego, b. oficer gward. konnej artylerji, Zygmunt Podlewski, uciekł do Paryża, utrzymywał z tamtąd stosunki z powstańcami, potem sam czynnie wystąpił w powstaniu z orężem w rękę, był wzięty do niewoli i także rozstrzelany, jako oficer, który złamał przysięgę i powstał przeciwko państwu. Stanisław Podlewski, zabójca jen. Seliwerstowa, jako syn stryjczanego brata Władysława, Aleksandra, dymisjonowanego sztabs-kapitana, był dalekim krewnym dwóch karanych śmiercią Podlewskich. Ojciec zabójcy wraz z innymi swymi krewnymi również miał udział w powstaniu 1863 r. i był schwytany wraz z innymi przez włóścian wsi Bulajew i władzy wydany».

Zacytowawszy te wiadomości biograficzne swego korespondenta, «Nowoje Wremia» powiada dalej: «Powinno o tem wiedzieć prasa francuska, która o powstaniu 1863 r. ma fałszywe wyobrażenie... Przytem dodać należy, że Podlewscy nie działali w Królestwie polskim, lecz w rdzennej Rosji, w guberni kijowskiej, w najstarszej dzielnicy Rosji, w której Kijów jeszcze w IX wieku był matką miast ruskich. Gdy się wszystko to zważy, dojdzie się do przekonania, że karani śmiercią Podlewscy w żadnym razie nie mogli wzbudzać w swym dalekim krewnym jakiegobądź myśli i zamiarów zemsty przeciw jakiejś jednej mianowicie osobie, a tembardziej przeciwko jen. Seliwerstowowi, nie odgrywającemu żadnej literalnie roli w uśmierzeniu powstania 1863 r., gdyż do 1878 r. był urzędnikiem cywilnym i dopiero w tym pomienionym 1878 r. przemianowano go z radcy tajnego na generał-lejtnanta».

Następnie «Now. Wremia» nie przypuszcza ażeby Podlewski był przekonany i miał na to dowody, że jen. Seliwerstow był agentem tajnym w Paryżu, — agentem, mającym na celu śledzenie nihilistów. Podlewski, oprócz gołego zapewnienia, że się o tem przekonał, z żadnymi innymi dowodami nie wykazał się przed Labruyèrem.

«Jeneral Seliwerstow, pisze następnie «Now. Wr.», jako p. o. szefa żandarmów po zabójstwie jen. Mezencewa, przeszedł, od 8 sierpnia 1878 r. do 5 października tegoż roku, całkiem niepostrzeżenie nawet dla Petersburga. W d. 5 października został uwolniony od obowiązków i został honorowym członkiem moskiewskiej rady opiekuńczej, z zaliczeniem do jazdy. Po zabójstwie Mezencewa rząd potrzebował posiadać na stanowisku szefa żandarmów człowieka energicznego. Oczywiście Seliwerstowa uznano za niezdolnego do pełnienia trudnych tych obowiązków. Od tego czasu nikt o nim nie słyszał, gdy oto nagle teraz zaczyna głosić w Paryżu, że przed 12 laty, w ciągu niespełna dwóch miesięcy, Seliwerstow wysłał na Syberję przeszło 15,000 nihilistów. Petersburg śmiał się tylko z tej domysłowości i łatwowierności reporterów francuzkich. Każdy rosyjanin doskonale rozumie, że 15,000 zesłańców jest cyfrą fantastyczną, nie tylko na ciąg dwóch miesięcy, lecz nawet na okres lat dziesięciu, nie tylko dla wysyłanych na Syberję, lecz i dla wszystkich wysyłanych do wewnętrznych guberni, bez wyłączenia petersburskiej i moskiewskiej. Dziennikarze francuzcy z pewnością nie wiedzą, że większą część wysyłanych pod dozór policyjny rozmieszczają właśnie w guberniach wewnętrznych, nie zaś na Syberji».

«Nowoje Wremia» stanowczo przeczy nawet możliwości przypuszczenia, aby Seliwerstow mógł odgrywać rolę agenta tajnego. Na takich agentów nigdy nie wybierają ludzi bogatych i niezależnych, tem mniej jenerałów. Wiadomo, iż jen. Seliwerstow pozostawił spadkobiercom miljonowy majątek, 12,000 dziesięcin gruntu, dwa miliony rs. i około dwóch milionów franków.

Zwracając z kolei uwagę na to, że cała rodzina Podlewskich odznaczała się duchem rewolucyjnym, organ p. Suworina pisze: «Sam zabójca jen. Seliwerstowa, sądząc z jego biografji, według jego własnego opowiadania spisanej przez Labruyèra w «Eclair», żadnych stosunków z ruskimi nihilistami i anarchistami nie miał. Wychowany w Krakowie, był on polakiem-rewolucjonistą, a nawet ruch socjalistyczny w Warszawie, dokąd przybył, nie pociągnął go ku sobie. W Zurichu kształcił się na koszt kasy polskiej i został pozawiony subsydjum dla tego, że nie podzielał zasad internacjonalnych, pozostając tylko polakiem... W Prusach skazano go na trzy miesiące więzienia za propagowanie idei antypaństwowych wśród robotników w Poznaniu; odsiedział karę i został wydany władzom ruskim w Warszawie. Tutaj udał warjata i został wysłany pod nadzór policyj do miasta, gdzie mieszkała jego matka. Udaje się mu ztąd uciec. Zjawia się w Paryżu w r. 1889, przebywa wśród polaków i jako polak przedstawia się Bernowowi. Ma lat 33 i w granicach Rosji nie spełnił ani jednego przestępstwa politycznego... W ten to sposób Podlewski, według własnego jego zeznania, nic nie ma wspólnego z ruskimi anarchistami, z ich ideami i zamiarami. Pozostaje polakiem, fanatykiem idei polskiej i rewolucjonizmu polskiego». W końcu «Nowoje Wremia» dochodzi do przekonania, że Podlewski, jako fanatyk, mógł powziąć myśl zabicia człowieka o rozgłosie szerszym prosto dla tego, ażeby wywołać nieporozumienie pomiędzy Francją a Rosją, jeśli już nie zupełne zerwanie przyjaznego do siebie stosunku dwóch tych mocarstw. Stosunek ten wogóle przez wrogów Rosji jest bardzo źle widziany; nie więc dziwnego, że fanatyk Podlewski mógł działać w ich widokach. W ogólności, wszelkie antyruskie działania na francuzkim gruncie organ p. Suworina zalicza do dzieł, dokonywanych przez wrogów przymierza rusko-francuzkiego.

W rubryce «Z Tygodnia ostatniego numeru zamieściliśmy ustęp, będący jakby apelacją do redakcji «Now. Wrem.» przeciw jej bezimiennemu korespondentowi, usiłującemu zważyć odpowiedzialność za zbrodnię Podlewskiego na «rewolucjonizm polski». Zaznaczamy dziś, że redakcja «Now. Wrem.», z godną uznania bezstronnością, głos nasz uwzględniła, dając wyjaśnienie, które poniżej zamieszczamy:

Redakcja «Now. Wrem.» w następnych słowach odpowiada na naszą interpelację, wystosowaną w pierwszym tegorocznym dziale «Z Tygodnia» w przedmiocie zważenia na «rewolucjonizm polski» odpowiedzialności za zbrodnię Podlewskiego:

«Petersburska polska gazeta «Kraj», z powodu korespondencji o Podlewskim z naszej gazecie apeluje na bezimiennego korespondenta do redakcji, oświadczając, że, według informacji «Kraju», Podlewski nie tylko nie ma wspólnego z narodowymi dążeniami polskimi, lecz nawet nie ma stosunków z t. z. socjalistami polskimi, których wódz Mendelson niedawno został uwolniony przez prokuratora francuzkiego z aresztu, gdyż nie wykryto najmniejszego śladu stosunków Podlewskiego z polską socjalistyczną kolonią w Paryżu. Pomijając socjalistów, żywimy nadzieję, że przestępca nie może mieć nic wspólnego z prawdziwymi, właściwie pojmowanymi, dążeniami narodu polskiego, w których imieniu «Kraj» protestuje; jesteśmy przekonani, że sprawa fanatyka czy złoicy nie może spadać na cały naród, do którego należy; niemniej jednak na Podlewskim pozostaje w całości ciężar przestępstwa, bez względu na jego pobudki, a w liczbie tych ostatnich i na pobudki pseudo-patriotyczne».

Ujęte w te słowa sprostowanie, pozwoli redakcja «Now. Wrem.» uważać za stanowcze, bez możliwości powrotu do innej interpretacji faktu zabójstwa jen. Seliwerstowa.

W OLOT.

Od chwili aresztowania w Olot jakiegoś jego mościa, który dobrowolnie przyznał się do mordstwa, popełnionego na osobie jen. Seliwerstowa najrozmaitsze wieści roznieśli druty telegraficzne po świecie. Władze hiszpańskie, a nawet ministerjum madryckie zapewniały, że aresztowany jest niewątpliwie poszukiwanym Podlewskim. Tegoż samego zdania był prefekt Gerony. Tymczasem socjaliści w Paryżu i ich organy najkategoryczniej temu zaprzeczają. W Olot aresztowano mniemanego Podlewskiego przy następujących okolicznościach: znany anarchista w pewnym szynku chwalił się, że do Olot przybył «rządptaszek». Policja miała «ptaszka» na oku, spodziewając się schwycić jakiego niebezpiecznego anarchistę, który po zaaresztowaniu oświadczył, że jest Podlewskim. Od tej chwili z Olot donoszono, że aresztowany jest zupełnie do Podlewskiego podobny, że jest prosto warjatem, że nie ma nic wspólnego ze zbrodnią, i t. p. bez końca. A tymczasem do Paryża zewsząd nadchodzą wiadomości, że Podlewski znajduje się w Londynie, to znów że przebywa w jakimś klasztorze w Bułgarii, nareszcie że uciekł do Ameryki. Podrażniona ciekawość publiczności paryskiej, bardzo interesującej się rozwiązaniem tej zagadki, spowodowała bardzo wiele zakładów. Dzienniki prześcigały się w podawaniu najrozmaitszych doniesień, z których żadne nie miało cech prawdy. Nareszcie w ostatnich dniach paryżki «Temps» otrzymał z Madrytu telegram, zapewniający, że rząd hiszpański od tego ręce umywa, a całą odpowiedzialność za hałas o pseudo-Podlewskiego składa na policyję francuzką, która pod wodzą prefekta Gerony na własną rękę prowadziła poszukiwania. Wice-konsul francuzki w Geronie, p. Gelabert, w osobie aresztowanego w Olot poznał człowieka, który był u niego w końcu listopada z prośbą o zasiłek pieniężny. Dziś już zdaje się być pewnem, że aresztowany nazywa się Leopold Cabergue czy Gabergue. Znany on jest policyj francuzkiej z wielu sztuczek, których się dopuszczał pod najrozmaitszymi na-

zwiskami. Skazany i uwięziony przed paru laty, po odsiedzeniu więzienia udał się do Algieru i wstąpił do zagranicznego legjonu, z którego został wypędzony. Ma się za publicystę, ale czem się zajmował, dotąd niewiadomo. To pewna, że po rusku nie mówi; mówi natomiast niezłe po angielsku, a szczególnie włada dobrze narzeczem złodziejskiem. Dla czego oświadczył, że jest Podlewskim—trudno powiedzieć. Sądzą wszakże, że zrobił to dla tego, ażeby mógł się tanim kosztem dostać do Paryża. Sprawa więc, która tyle hałasu narobiła, ostatecznie się wyjaśniła, a prawdziwy Podlewski, jak przed miesiącem, tak i teraz niewiadomo gdzie się znajduje.

P. Al. Kojalowicz contra Szarapow.

«Warszawskij Dniownik» zamieścił «list otwarty» p. Aleksandra Kojalowicza do p. Szarapowa, wydawcy «Rusi», w sprawie, podniesionej niedawno przez tego ostatniego w «Dzienniku Poznańskim», to jest w tak zwanej «kwestji polskiej». Zarazem «Warsz. Dniownik» poświęcił z racji ogłoszonego dokumentu osobny artykuł wstępny. Tym sposobem utworzył się szereg dokumentów, które tu w przekładzie dosłownym lub w najściślejsz z przedmiotem zgodnem streszczeniu powtarzamy, zaczynając od krótkiej osnowy listu pana Szarapowa, kończąc na uwagach «Warsz. Dniownika» nad tymże listem.

P. Szarapow udał się był do «Dziennika Poznańskiego» z propozycją ułożenia programu ugody rusko-polskiej i w tym celu postawił pięć pytań następujących: 1) Czy polacy przestali już rzeczywiście marzyć o odbudowaniu państwa? 2) Czy mają wypracowany *modus vivendi* dla kraju zachodnio-ruskiego? 3) Jakich pragnęliby reform w Polsce ruskiej? 4) Czy zawsze zarzekają się posiadania własnego wojska? i 5) Czy dla szczerzego pogodzenia się z Rosją poprzestaliby obecnie na zapewnionym sobie cywilizacyjnym rozwoju?

Przytoczywszy te pytania, p. Kojalowicz w odpowiedzi swej, ogłoszonej przez «Warsz. Dniownik», powiada najpierw, że są to rzeczy znane i stare; daleko też ciekawszymi wydają się mu powody i przyczyny, które p. Szarapowa zniewoliły do wznowienia tej kwestji. Cóż go mianowicie zniewoliło?—zapytuje. I tak odpowiada:

«Pan Szarapow cytuje zdania kilku osób, w ten lub inny sposób mających pewien stosunek z tą sprawą. Nazwisk ich wszakże nie podaje do wiadomości czytelników, o ile wnosić można, umyślnie dla tego, ażeby w przytaczanych zdaniach czytelnicy nie widzieli osobistych tylko poglądów, lecz raczej sposób myślenia całych kategorii, całych warstw ruskich i innych słowiańskich społeczeństw. Ze zdaniami temi oświadczyć się mieli: 1) pedagog, jeden ze znaczniejszych działaczy na polu rusyfikacji w kraju nadwiślańskim; 2) ważna figura, wysoko stojąca w hierarchji ruskiej i 3) pewien bardzo porządny czech, niepoprawny panslawista, który dobrze poznał dzieła Turgeniewa, Tolstoja, Dostojewskiego i wszystkie szerokie poglądy słowiańskie i który znał nadto Chomiakowa oraz ideały prawosławia».

Zaczyna «Warszaw. Dniownik» od pierwszego z rewelatorów:

«Pedagog p. Szarapowa—powiada—skarżył się na wyrzuty sumienia przy pełnieniu obowiązków służbowych; wymogi «systemu», zdaniem jego, są tak nieludzkie, że serce pęka na widok ciągłych lez i poniżania polaków, dorosłych i dzieci».

Idzie w drugim rzędzie «ważna figura»:

Wystąpiła ona ze zdaniem, że uczenie polaków po rusku jest wielkim błędem i domaga

się, ażeby polakom pozwolono robić u siebie w domu co im się podoba, byleby nie przeszkadzali.

Wreszcie co do czechy:

Wynurzając swój szacunek dla narodu ruskiego, oświadczył się on zarazem z obawą, ażeby z Czechami, gdyby im się udało rozbić Austrię i połączyć się z Rosją, nie stało się to samo, co się stało z Polską, t. j. żeby Czechy nie stały się krajem nadwielitawskim na wzór kraju nadwiślańskiego.

Reasumując to wszystko, pisze p. Kojalowicz:

«Jak z tego widzimy, w usta trzech przedstawicieli różnych poglądów na rolę Rosji w kwestji polskiej włożono te same aspiracje, które oddawna żywią sami polacy. Według p. Szarapowa wypada, że polityczne marzenia polaków zmierzają do zniesienia ruskiej szkoły, powołania do życia urzędników polaków i odbudowania Królestwa polskiego. Wszystko to, zdaniem p. Szarapowa, uznają za właściwe nawet niepolacy».

Wszelkiej w tych przedmiotach polemiki rzeka się p. Kojalowicz i postanawia «dotknąć się jednej tylko strony tej sprawy»:

«Dotąd — pisze — i w literaturze i w życiu uciekano się do rozmaitych sposobów podkopywania t. z. ruskiego systemu działalności rządowej w kraju nadwiślańskim: uciekano się do oszczerstw, pogrózek, wyśmiewania i t. p. Zaś p. Szarapow wymyślił nowy podkop: chce on rozbudzić i zaalarmować sumienie drugo- i trzeciordernych owych działaczy — narzędzi systemu — w których imieniu przemawia niby to jego pedagog. P. Szarapow, nie namyśliwszy się nawet nad tem co mówi, nazywa działalność pomienionych drugorzędných narzędzi systemu «nie piękną» z moralnego punktu widzenia».

Podkop to, zdaniem autora, głęboki, i gdyby się udało go przeprowadzić, kto wie? — ruszyłby może cały budynek, t. j. system, gdyż p. Szarapow wierzy, że «nie-masz takiego środka, przez rząd podjętego, który — wraze nieuznania go przez duch narodu, przez sumienie narodu, — nie osłabił sam przez się, nie pozbawił się wszelkiej siły wewnętrznej i trwałości».

«Tak jest, panie Szarapow — woła p. Koj. — masz pan słusność! Działalność rządowa ruska silną jest właśnie przez ten głęboki związek z żądaniami ducha narodu i narodowego sumienia; zkaż pan tylko wnosisz, że ta działalność nie zgadza się z żądaniami ducha narodowego, mianowicie w kwestji polsko-ruskiej? Kto panu powiedział, że naprzykład szkoła ruska w kraju nadwiślańskim służy żądaniom, niezgodnym z ruskim duchem i z ruskim sumieniem. Rosjanin historycznie wyrósł w przekonaniu nierozłączności rządu swego z narodem. Tego przeciwstawienia rządu narodowi, które ciągle wysuwają na pierwszy plan na Zachodzie, i które, jak gdyby namyślnie, najostreż występuje w osławionych parlamentach, tego przeciwstawienia rosjanin nie zna i znać nie chce. Komu choć w ogólnych zarysach nie jest obca historia Rosji, ten wie, ile naród ruski zrobił w celu mianowicie wypracowania z siebie i dla siebie mocnego rządu, mocnej państwowości. I ten, kto zna historję tej męczeńskiej pracy (męczeńskiej dla tego, że tej mianowicie pracy wszelkimi siłami starali się przeszkadzać wszyscy historyczni wrogowie ruskiego narodu: tatarzy, Niemcy i ciż sami polacy), ten nie dozna zgryzot sumienia, jeśli w taki lub inny sposób przyjmuje udział w działalności rządu w tym kraju».

P. Kojalowicz odmawia narodowi polskiemu wszelkich zdolności do wypracowania jakiegobądź silnego rządu i twierdzi, że ruska administracja i ruska szkoła właśnie dla polaków są zbawienne.

«Dobro, nie zaś zło (powiada), przynosi narodowi polskiemu ten system rządowy, który,

pozostawiając całemu plemieniu wolność wyznania, języka, sztuki, przemysłu, ochrania wolność tę silną swą władzą państwową, żądając tylko jednej rzeczy: wypełnienia obowiązków obywatelskich względem państwa, którego opieką cieszy się to plemię».

To zaznaczywszy, p. Kojalowicz pyta: czegoż właściwie chce p. Szarapow?

«Uważamy (mówi w odpowiedzi) za złośliwą ironję odprawę, jaką p. Szarapow otrzymał od redaktora «Dziennika Poznańskiego». Odprawa ta, napisana z takim taktem i tak «lojalnie» (autor polski repliki szczególniejsze zdaje się to podkreślać), że p. Szarapow mógłby się nauczyć z niego niejednej rzeczy. Odprawa rzeczona, pominąwszy obsadzanie «programu» p. Szarapowa, wskazuje ruskiemu publicyście przykład Austrii... Wytknąwszy, że ich, polaków, obchodzi tylko «staranie o zabezpieczenie bytu narodowego, tego co dla nich jest najdroższem, co dla nich jest świętem, t. j. wiary, języka, obyczajów, słowem — narodowej ich indywidualności i swobody jej rozwoju, autor polski powiada: «Austria dobrze zrozumiała tendencje polaków w Galicji, podała im rękę, i połączenie stało się przez sam fakt uznania praw polskich, narodowych dążeń i zamiarów». Sądźmy (ciągnie p. K. po tej cytacie), że dla p. Szarapowa nie jest sekretem, jakiego to jest rodzaju i jaką ma wartość to połączenie się z Austrią. Tonącemu podać rękę można tylko w dwóch celach: albo w celu wyciągnięcia go z wody, albo w celu... utopienia, jeśli ręka, którą podają jest silniejsza. W naszych czasach Austria pokazuje, jak należy cenić i w jakim celu zgadza się ona na rozmaite «ustępstwa»...

P. Kojalowicz powołuje się na znany program Romańczuka, który, jego zdaniem, ma prowadzić do zguby rusinów, chociaż pozornie przedstawiać się może jako «ustępstwo». I tak kończy:

«Polaków w Rosji ograniczają w ich żądaniach i zamiarach, nie dla tego, ażeby zdusić ich narodowość, ażeby pozbawić ich cech indywidualnych, lecz dla tego, ażeby ich wyleczyć z choroby marzeń o odbudowaniu takiego państwa, które tylko przez nadużycie znaczenia tego wyrazu mogło nazywać się państwem. Rząd ruski mówi do polskich marzycieli gorzką, ale istotną prawdę o ich przeszłości i o wszelkich za tę przeszłość rachunkach. Wzamięn za to wskazuje im przyszłość, która polega — po wyleczeniu — na wspólnej pracy z narodem ruskim, dla wspólnego dobra, na prawach wspólnych i przy wspólnych obowiązkach».

W trzecim — chronologicznie — rzędzie, zabrał głos «Warsz. Dniownik» i tak zaczął:

«P. Szarapow poruszył starą kwestję t. zw. «primirenja» z polakami, kwestję ważną niewątpliwie, mającą swój początek w pierwszych chwilach dziejów ruskich i polskich, przypominającą wielowiekową walkę narodu ruskiego z państwem polskiem w obronie własnego istnienia: r. 1612, r. 1812, lata powstań polskich, i długi szereg lat najnowszych prac rządu ruskiego w kierunku przekształcenia prowincyj polskich na prowincje pożyteczne, nieszkodliwe dla Rosji słowiańskiej... Wiele w tej sprawie pisano, ale więcej znacznie pisali rosjanie niż polacy».

«Warsz. Dniownik» oświadcza kategorycznie, że z ogólnego słowiańskiego punktu polacy mogą przedstawiać jedynie jednostkę etnograficzną, nigdy jakąbądź inną.

«Sami my jednak — pisze — nie chcemy tego widzieć, że polacy stanowczo nie chcą kwestji tej poruszać, ani nawet o niej wiedzieć. Jeśli jaki polak ośmieli się wystąpić ze swemi na tę sprawę poglądami, które rzeczywiście na powszechną zasługują uwagę i wykazują, że autor artykułów, czy też broszury, wybrał drogę właściwą, śmiałość taki musi chować się koniecznie pod maską najniebezpieczniejszego pseudonimu, chociaż i to nie uchroni go od prześladowania. Prasa polska «przemilczy» o je-

go zdaniu i myślach, dając zręcznie do poznania, jakoby warunki cenzuralne nie daly jej możności odpowiedzieć lub spierać się, a jeśli i poda wiadomość o poglądach takiego autora, uczyni to z wyraźną insynuacją, a często i oczerni osobę śmiałka. Wspomnijmy chociażby o losach znanej broszury «Głos z ludu» przez Chłopa, z której treścią w swoim czasie zaznajomiliśmy czytelników. Gdzież w prasie polskiej dał się słyszeć głos życzliwy dla tych, mniej lub więcej określonych, myśli?»

«Warsz. Dniownik» utrzymuje, że autor broszury, polak, był ignorowany, a nawet prześladowany przez prasę polską. Inaczej zachowali się tylko sami rosjanie, o czym przekonywają nas liczne wystąpienia rosjan, pragnących przycisnąć do braterskiego łona każdego polaka.

«Bo też i rzeczywiście — pisze «Warszawskij Dniownik» — tak to dobrze, tak przyjemnie figurować w roli twórcy przymierza! Widzowie klaskają w dłonie, ludzie słabi, posiadający nerwy, wylewają łzy rozczulenia, objęcia się otwierają, a ileż krzyku, ile hałasul... Mniej-sza, że wszystko to jest poprostu okłamywaniem samego siebie, że i figurant, i widzowie wzajemnie się okłamują, że wszystko to są słowa i słowa, ale w danej chwili — miłość własna czuje się zadowoloną».

Następują z kolei przykłady.

Dopóki żydowsko-liberalne «Nowosti» występowały w charakterze «polsko-ruskiego *primiritiela*», proponując nam niegdyś nawet wydawanie «Warsz. Dniownika» w dwóch językach, po polsku i po rusku, ma się rozumieć, w imię «*primirenja*» — dopóty milczeliśmy. Tego rodzaju «*primirenje*» było zbyt marne, ażeby warto było odpowiadać...

Dziś atoli «Warsz. Dniownik» gotów jest zwrócić uwagę i na «Nowosti», gdyż — jak zapewnia — pragnie «*primirenja*» nie tylko z polakami, lecz i z żydami. Tak rozprawiwszy się z «Nowostiami», bierze «Warsz. Dniownik» przykład drugi:

Kiedy p. M. Filippow, przez pewien czas nazywający się «nieurzędowym redaktorem «Sławiańskich Izwiestij», zamieścił w roku zeszłym w «Nouvelle Revue» artykuł p. t. «*La Reconciliation Polono-Russe*», zapelnivszy go fantazjami i bajkami, to i wówczas autorstwo nieuznanego przez nikogo «Sławianofila», występującego niegdyś w «Sław. Izwiestjach» z dziwnymi teorjami, najbliższymi dotyczącymi słowiańszczyzny, nie mogło zwrócić na niego niczyjej uwagi».

Teraz, co się tyczy p. Szarapowa, rzecz to inna — powiada «Warsz. Dniownik». Jako były współpracownik Aksakowa i autor wielu artykułów o polakach w Austrii i Prusach, zasługuje on na uwagę.

«Prawda, że w artykułach wzmiankowanych — dodaje «Warsz. Dniownik» — są niedomówienia, wnioski mylne, wiele rzeczy niejasnych, w każdym atoli razie mają one swoje znaczenie. Ponieważ zaś po tem wszystkiem należało mówić i o polakach w Rosji, więc oto p. Szarapow zdecydował się na postawienie kwestji polsko-ruskiej «*primirenja*» na ostrzu, i w tym celu wybrał «zakordonowy» organ polski «Dziennik Poznański». Zadanie — powiedzmy prawdę — było łatwe: trzeba było wymyśleć zupełnie nie licujący z prawdą typ jakiegoś pedagoga, na początku oświadczonego z dumą, że służy wielkiej sprawie — szkole ruskiej i ni ztąd ni zowąd nazywającego siebie samego «*nicponiem*» za to, że spełnia swe obowiązki moralne i służbowe. Jeśli by ktoś chciał wyimaginować coś bardziej nieprawdopodobnego, nie wyimaginowałby nic lepszego od tego, co wynalazł p. Szarapow. Na tym punkcie i p. Filippow w «Nouvelle Revue» i p. Szarapow są do siebie podobni: obydwa w swych usiłowaniach urzeczywistnienia ideału jedności słowiańskiej są z tego niezadowoleni, że wykształcenie gimnazjalne w kraju naszym odbywa się w języku ruskim. Tymczasem zaś obaj przecież musieli zauważyć, że w większym lub mniejszym stopniu we wszystkich krajach słowiańskich utrwała się przekonanie, że bez

wspólnego języka, jako narzędzia wykształcenia, niemożliwym jest urzeczywistnienie tej jedności słowiańskiej, o którą właśnie im idzie. P. Filipow przynajmniej jest szczerzy: proponuje on, ażeby nawet uniwersytet miejscowy zrobić «utrakwistycznym», a gimnazja zupełnie polskimi. Obydwaj natomiast zapominają, że Rosja nie przyznaje austriackiej zasady kompromisów z partjami i narodowościami, że historia stworzyła Rosję jako państwo całe w sobie i silne, że wreszcie polacy nie wiedzieliby, co mają z sobą począć, gdyby nie przeszli w Rosji przez szkołę ruską. Wszak nawet w Prusach polacy się nie skarżą na to, że w parlamencie zmuszeni są przemawiać po niemiecku, w Austrii zaś gotowi są zawsze stawiać w obronie języka niemieckiego w szkołach i w administracji. Dość przypomnieć sobie, jak się zachowywała cała bez wyjątku prasa polska wobec ugody «czesko-niemieckiej», jak powstała przeciwko młodoczechom, którzy się domagali rzeczywistych, nie zaś fikcyjnych, praw dla języka czeskiego, i jak mile spoglądała na staroczechów, godzących się z wszelkimi ustępstwami na rzecz Niemców».

Rosja—zdaniem «Warsz. Dniwnika»—inną drogą kroczy. Historia jej wiekowego istnienia jasno zarysowała sposób, w jaki państwo ruskie traktuje podwładne jej narody. Jeśli kiedykolwiek polityka Rosji nie zawsze odpowiadała wielkiej jej misji, winić jej za to nie można, gdyż dopiero w ostatnich czasach kwestja słowiańska ostatecznie się wyjaśniła.

«Co do stosunków Rosji z Polską—powiada «Warsz. Dniwnik» dosłownie—to wieki całe składały się na ich wytworzenie, wieki i polskie grzechy względem narodu ruskiego, na południu, na zachodzie, na północy i nawet w środku Rosji. A i teraz, w nieszczęśliwej Galicji ruskiej wyrwały grzechy te, jeśli nie przepaście, to rowy głębokie między polskim i ruskim narodem. Czy winni temu sami polacy, czy zachodnio-katolicki świat cywilizacyjny, który doskonale eksploatował naród polski dla swych celów—jest to inna kwestja. Ale wiadomo, że narzędzie zawsze cierpi w walce; być nawet może, że największa odpowiedzialność padała i pada na tych polskich kierowników i wodzów, którzy doprowadzili państwo polskie do upadku, a dziś wiernie służą Niemcom, Anglikom, nawet Turkom i Madjarom, gotowi są służyć byle komu, tylko nie słowiańskiej Rosji, nie jej celom i zadaniom, nie państwu ruskiemu i narodowi, z którego losami w najwyższym stopniu związane są losy wszystkich plemion słowiańskich. O cóż teraz, na przykład, stara się «sprawa polska» w Galicji? Nikt z Rosjan sumiennych, i rozumiejących się na rzeczy nie powie, ażeby pod tem polsko-ruskim przymierzem w Galicji rozumiano coś, co by mogło wzmocnić siły Rosji i narodu ruskiego. Każdy to widzi, że idzie o ożywienie domierającego separatyzmu, o wysunięcie ukraińców, że tu użyjemy starego, niezupełnie odpowiedniego terminu, o stworzenie osobnego «rusińskiego», czy «maloruskiego» narodu! Jeszcze krok jeden—i ciż sami polacy galicyjscy zawezwają całą Małorosję i Białoruś pod jarzmo niemiecko-madjarckiej Austrii—i znów usłyszymy gadania o tem, że Rosja powinna się już wynosić za Ural, het tam na płaski Azji środkowej, gdzie już dziś powiewają flagi Białego Cara»...

Zapewnia przytem «Warsz. Dniwnik», że dość jest rzucić okiem na bylejakie pismo polskie lub broszurę, ażeby się przekonać, że tylko wyłącznie polacy podnoszą i wznawiają kwestję polsko-ruskiego «primirenia». Ani serbowie, ani Bułgarzy, ani żaden inny naród o to nie dba, bo wie doskonale, że dla jego szczęścia konieczną jest wielka i potężna Rosja.

«Nawet wybrana przez p. Szarapowa gazeta (pisze «Warsz. Dniwnik»), w tym samym numerze, w którym zamieściła jego wyznania, daje mu do zrozumienia, że tylko polacy powinni i mogą żądać i poszukiwać «primirenia». Jakoż, w odpowiedzi swej redakcja «Dziennika Poznańskiego» ani jednego nie zamieściła słowa o życzeniach Polaków co do zachodnio-

ruskiego kraju, a jednak p. Szarapow kwestję tę uważa jeszcze za otwartą».

«Warsz. Dniwnik» wytyka z wielką starannością tę okoliczność, że «Dziennik Poznański» nie dał zupełnie jasnych odpowiedzi na pierwsze i piąte pytanie: czy zadowolnią się Polacy z powołania do życia etnograficznej Polski i z gwarancji zupełnej wolności w zakresie cywilizacyjnego i narodowego rozwoju Polaków... W tem swoim omówieniu redakcja «Dziennika Poznańskiego» była—według rozumienia «Warsz. Dniwnika»—nadmierzająco lojalna...

«Czyliżby (pisze «Warsz. Dn.»), pismo poznańskie mogło się obawiać, że Rosja, pobudzona przez p. Szarapowa, rzuci się do obrony Polaków poznańskich od Niemców?... Co do nas—powtarzamy, że nie rzecz to Rosji i Rosjan wzywać Polaków do «primirenia». Rosja zbyt jest potężna, ażeby miała dbać o coś podobnego nawet w widokach «kwestji słowiańskiej». Ale nikt i nigdy nie może zaprzeczać moralnemu prawu Polaków dążenia do «rusko-polskiego primirenia», do szukania go, do przygotowania dla niego drogi»...

Charakterystyczne są zaraz potem idące wyrazy:

«Nie łatwiejszego, jak naobiecować Słowianom co się tylko podoba, rachując na ich położenie, które pozwala na łatwe powstawanie w nich nadziei. Cóż bowiem kosztuje chociażby takie wezwanie: «Powstańcie, Słowianie! Rosja z wami! Czas nadszedł! Gruchoccie okowy!» i t. d., i tuż zaraz każdemu plemieniu naobiecować tysiące różnych pięknych różności... To mówiąc, nie żartujemy wcale, wiemy, że tak było, i to było niedawno, przed półtorej wiekiem, w Belgradzie... Hałas narobiono dosyć»...

W końcu «Warsz. Dniwnik» zaznacza, że starą jest teorią o dwóch Rosjach rządowej i narodowej, i tak rzecz swą zamyka:

«Pełniąc swe obowiązki państwowe i narodowe ruskie na krańcach Rosji, Rosjanie wiedzą, że mają czyste sumienie, i że pełnią wielką, świętą pracę—pracę, płodną w skutki nie tylko dla Rosji i Rosjan, ale i dla samych Polaków, dla całej słowiańszczyzny, gdyż wiedzą, że wszelkie gadania o tem, jakoby Rosja chciała i chce zruszyć Polskę, t. j. z Polaków zrobić Rosjan—są bezpodstawnymi, są oszczerstwem wrogów Rosji, tudzież nierozumnym jej przyjaciół»...

Tak się przedstawia cała ta polemika na szpaltach «Warsz. Dniwnika». Porusza ona sprawy nader ważne i znaczące, które z naszej strony wymagają ważnego roztrząśnienia. Mamy nadzieję, że to uczynić zdołamy w jednym z najbliższych numerów pisma. Obecnie zaznaczamy tylko fakt jeden, który nam spełnienie tego obowiązku ułatwiłby powinien. Faktem tym: jednoznaczność w zdaniach p. Kojalowicza i «Warsz. Dniwnika», że obrona narodowości polskiej, jej praw etnograficznych i cywilizacyjnych nie sprzeciwia się widokom państwowym w Rosji.

GŁOS Z ZA OCEANU.

Waszyngton, w końcu grudnia.

Smutnem-by to było — i tego zresztą nie przypuszczamy — ażeby sprawa wychodźstwa naszego ludu, która tyle alarmu wywołała spaliła się jak ogień sztuczny, wzniecony, z iskier słowiańskich. Energiczne środki, zapobiegające przejściu granicy, przedsięwzięte przez władze miejscowe, nie powinny się przyczyniać do uspienia czujności społecznej i do zarzekania się samopomocy. Mamy też nadzieję, że zagadnienie to nie utonie w zbliżających się libacjach świątecznych, ani też nie zostanie «zatańczonem» w karnawale, o co u nas nie trudno. Pociaszamy się również myślą, że spo-

łeczeństwo znajdzie środki na poparcie wyprawy do Argentyny i południowej Brazylii. Inicjatywa wyszła ze Lwowa, powinna jednak zyskać nie tylko rozgłos szeroki, ale i pomoc dzielną i ochoczą.

Zanim to jednak nastąpi, dobrze jest w obecnej dobie zastanowić się nieco nad tą, bądź co bądź, klęską społeczną, lub jeżeli chcecie, nad tym wynikiem klęsk innych. Nie szkodziłoby też, ażeby przy tej sposobności panowie badacze warszawscy naszego ludowego wychodźstwa spuścili nieco z wygórowanej swej kazuistyki i przyznać zechcieli także i emigrantom lub tylko kandydatom do wychodźstwa jedną choć szczyptę «chłopskiego rozumu».

Ponieważ teraz rozpięchły się już nieco mgły, pokrywające początek epidemii emigracyjnej, wiedzieć już możemy, kto był narazie lepiej poinformowany—emigranci, czy reporterzy? Okazuje się, że lepiej—ciemni owi wychodźcy. Bezpłatne bilety na okręt, «hotele emigracyjne» na brzegach Brazylii, nawet ziemia, rozdawana czy wydawana tylko przez rząd kolonistom—wszystko to okazało się prawdą, nieco tylko przez kandydatów do emigracji upiększoną. Wyzysk atoli agentów, najpierw dostrzeżony bystre okiem reporterów, wykazał tylko—brak owych wyzyskujących agentów! (?)

Trzeba i to także wytknąć, że wyobrażenia waszych niektórych «gazeciarzy» czy «gazetników» stoją o Brazylii jeszcze podziśdziennie na punkcie owych wyobrażeń ludowych o «Angliczce», która «rządzi wielkim krajem i ziemię rozdaje»... Według historjografii tych publicystów, istnieje za morzami wielki kraj Brazylija, w którym panował niedawno dobry król dom Pedro; król ten miał jednak złych poddanych plantatorów, którzy mu długo przeszkadzali w uwolnieniu niewolników; skoro zaś tego narazie dokonał wypędził go z państwa. Tymczasem niewolnicy rozbiegli się po lasach, z kąd zaszła potrzeba sprowadzenia nowego inwentarza pociągowego do świętującego jarzma... Tu źródło «naganiania» i zważenia na lep obietnic emigracji.

Gdyby panowie publicyści krajowi tej kategorji lepiej trochę znali dzieje owej Brazylii, nie czerniliby tak stronnictwa, które stoi obecnie u władzy. Stronnictwo to już w początku bieżącego stulecia stawiało oswoobodzenie niewolników na czele swego programu. Usiłowania te, jak wszelkie zabiegi emancypacyjne, mają w Brazylii swą długą historję, podobną do historji tego rodzaju w innych krajach.

Wreszcie, wiedziećby należało w Warszawie cokolwiek więcej o samym detronizowanym cesarzu brazylijskim. Nikt mu zaiste nie odejmie nazwy najzaciejszego człowieka, w Brazylii atoli, jako monarcha konstytucyjny, «panował» on tylko, nie «rządził», zajmował się pilnie nauką; resztę zdawał na zięcia swego z domu Orleańskiego, który w kraju zostawił jaknajgorsze wspomnienie. Zmienia to ogólną fizjonomję rzeczy na korzyść obecnego stanu w tej obrzydliwej zkądinąd—zwłaszcza pod względem zasady—republice brazylijskiej.

Clamans.

ECHA ZACHODNIE.

Poznań, 15 stycznia.

Polityka wydana, złamana w Berlinie, ratuje nie regulaminami landratów. Reforma szkolna, prawo szkolne. Gosslerowskie ustępstwa. Wieś w Poznaniu. Gazeta robotnicza. Zadziwiający wieści. Z komisji szkolnej. Ks. prałat Stablewski. Nacjonal-liberały a stryżek. Zwrot do wolnego handlu.

△ Rychle, jak się spodziewaliśmy, rozchwiała się w nicość banicyjna polityka bismarkowska. Tak twierdzą organy wolnomyślnie i tryumfują z nowej ruiny, bo «Reichsanzeiger» ogłosił *urbi et orbi*, że odtąd wolno znów na pograniczach robotnikom zagranicznym przybywać na zarobek do niegościnnych Prus. Taką w Ber-

linie postawiono zasadę, stosownie do słów cesarskich, zapisanych ku wiecznej pamięci na fotografii, darowanej ministrowi poczt, «świątemu» Stephanowi: że czas już, żeby ruch swobodny, wzajemny i zobowiązanie międzynarodowa przerwała chińskie mury zapór i politycznej hermetyczności. Ale zasada a wykonanie, są dwie różne rzeczy. W Berlinie pełno jest najpiękniejszych zasad, szczytnych idei, składających się na obraz «nowego kursu», którego się zrazu wyrzekano. Ale kurs ten nie przystaje do ducha wymusztrowanej w szkole bismarkowskiej biurokracji. Tej to biurokracji nie w smak idą zasady nowe, wstyd jej przed krajem, że rdza pokryć ma i zjeść żelazo bismarkowskiego systemu. Więc wykonywa zasady po swojemu, półgębkiem, półsłównie, półowicznie, więcej jak połowicznie. Nie dziw tedy, że u nas na pograniczu landraci, zapewne za wyższem natchnieniem biurokratycznym, nową gościnność polityczną zakwasili mnożstwem weksacji dla chlebowców i robotników. Każdemu z nich odechcieć się może w praktyce szukania i dawania takiej gościnności. Przypuszczać należy, że przepisy te władców pogranicznych przecie przedłożone zostaną komu należy w Berlinie, żeby się tam poufnie zastanowiono nad losem zasad «nowego kursu» i swobodnego ruchu międzynarodowego, skoro on się dostanie w ręce wykonawców bismarkowskiej szkoły. Prasa niemiecka zdziwiła się, że u nas dość chłodno przyjęto nowe rozporządzenia, ale żaden z organów jej nie starał się poznać regulaminów powiatowych. Twierdzą wprawdzie niektórzy, że weksacyjny charakter rozporządzeń landrackich jest tylko zgłębieniem, na ten zmarły kawał systemu bismarkowskiego; w praktyce rzecz się inaczej przedstawi. Ratuja z pogromu pozory, żebyśmy za nadto nie tryumfowali, a (wedle niemieckiego wyrażenia) grzebień (niby) kogucie za nadto nam nie nabrzmiewały. No, zobaczymy, jaka to będzie ta praktyka; może też tymczasem postrach jaki spadnie na nienawidzącą «nowego kursu» biurokrację. Opowiadają sobie w Berlinie, że na to brat cesarski, ks. Henryk wstępuje do ministerstwa spraw wewnętrznych, żeby być niezamglonem żadnymi względami okiem pańskim. (Inni wywodzą z faktu tego tylko zły horoskop dla zdrowia cesarskiego).

Nie mniej chłodno, jak powyżej wzmiankowane zasady i praktykę, przyjęła opinia nasza, zapoczątkowaną reformę szkolną. Nie dlatego, żebyśmy w reformie tej nie upatrywali bardzo cennego postępu: wyzwolenia z różnych zaśniedziałości jednostronnego bakalarstwa. I my ocenili potrafimy i uznać usiłowania, wyzwalające młodzież z pod «przeciążenia» nieprzydatną nauką, z pod ciężaru filologicznego horbajtla, ale z drugiej strony smutno się nam musi robić na sercu, gdy słyszymy, że dzieci naszych nie będą wprawdzie męczyli zbytecznie greką i łaciną, ale za to przybędzie im tylko odpowiedni ciężar wzmocnionej niemieczyny szkolnej i historii niemiecko-brandeburskiej. Nie dlatego smuci nas to, żebyśmy wstręt mieli do nauk tych, broń Boże! Ale to nas boli, że z całej reformy tej my znów wyjść mamy bez wszelakiego uwzględnienia, jakie nam się z przyrodzonego prawa należy, że nas i w tym kierunku traktują, jakby nas nie było.

Wkrótce też rozstrzygną się losy prawa szkolnego o nauce elementarnej. Wiadomo, że ks. prałat Stablewski, najdzielniejszy dziś szermierz nasz parlamentarny

w sprawach kościelnych i szkolnych, postawił poprawkę do punktu goslerowskiego, żądając przywrócenia dawnej metody nauczania. Czy choć na tem polu zdołamy coś osiągnąć? Póki minister Gossler jest u steru, póki radcy z jego szkoły radzą o nas bez nas, bodaj czy czegoś pomyselnego spodziewać się można. A sprzymierzeńcy nasi czy poprą nasze żądania? Wypróbowanym jest ich hart, ale tak ich przyparto do muru widokami różnych i znacznych ustępstw, że wątpliwą się zdaje być rzeczą, czy nie umyją rąk po nad nami, żeby uzyskać miliony z funduszu obrocznego i cieszyć się choćby krótko nadzieją powrotu jezuitów, wypłatą funduszu welfickiego i t. p. Nawet już zrobiono im «wielkie» ustępstwo, prawdziwie goslerowskie. Do ministerstwa oświecenia powołano nowego, a bodaj czwartego katolika, jako radcę pomocniczego. Bywał on dyrektorem katolickich gimnazjów w Chajmcach i Poznaniu, więc i do ocenienia stosunków tutejszych zdawałby się przydatnym; cóż, kiedy katolicy wiedzą, że «katolik» ten skłaniał się zawsze do starokatolicyzmu, a na stosunki nasze patrzeć umie tylko przez szkła bismarkowskie i goslerowskie. To my tu wiemy, ale w Rzymie naprzykład łatwo być może, że «ustępstwo» to usiłują przedstawić jako wielką ofiarę ugodowego usposobienia, która wymagać będzie wzajemności rzeczowych, bądź też do osób przywiązanych.

Uwaga nasza zatem dziś skierowana jest głównie ku tym zagadkom. A żeby zaś dać dowód, że się nie odłączamy od ogólnego ruchu katolickiego w Niemczech, postanowiliśmy wziąć czynny udział w agitacji za przywróceniem zakonów. Za tydzień już odbędzie się w Poznaniu walny wiec, wypowiedzieć mający w tym kierunku potrzeby i życzenia społeczeństwa. Dziś właśnie ogłosiły gazety zaproszenia. Jako mówcy występują: ks. Kubowicz, dr. Chłapowski, dr. Dziembowski i ks. dr. Kandecki. Ostatni mówić będzie o groźnym od socjalizmu niebezpieczeństwie. Jak wszędzie bowiem, tak i u nas, głównym argumentem za przywróceniem zakonów jest właśnie owo niebezpieczeństwo socjalistyczne, które zaczyna przybierać kształty praktyczne. Tysiącami nasyla i kolportuje się tu berlińska «Gazeta Robotnicza», organ polsko-socjalistyczny, po wsiach i miastach, a głównie między rzemieślnikami.

Wobec tej agitacji władza duchowna wydała okólnik do duchowieństwa, wzywając je do skrzętnej pracy antysocjalistycznej na ambonie i w towarzystwach. Duchowni, delegowani przez władzę, wchodzą do towarzystw robotniczych i przemysłowych, a wiec blizki nowego bodźca doda wszystkim do wspólnej obrony przed wspólnym nieprzyjacielem. Odzywały się, i to w różnych sferach głosy, że możeby lepiej nie rozmazywać u nas sprawy socjalistycznej, bo się tem ludzi właśnie naprowadzić może na złe myśli; ale zdanie przeciwnie przeważało i agitacja słowem a czynem ma się rozpocząć na dobre.

Czy usiłowania te znajdą uznanie u tych, co nas wiecznie posądzali o wrogię dla państwa usposobienia? Zdaje się, że właściwie mało na to liczymy i zakazywać się przed nikim nie chcemy, bo nam głównie chodzi o własny interes społeczny. Bronimy ducha narodu od nowej zarazy i trucizny, od hajdamactwa moralnego. Tem lepiej, jeśli nas zrozumieją.

Właśnie też nadchodzą zadziwiające wiadomości! Twierdzą, że cesarz jest za przywróceniem zakonów. Jak zniósł pra-

wo antysocjalistyczne, tak chce znieść prawo antyzakonne, bo prawo pospolite, a mianowicie § 128 prawa karnego zupełnie wystarcza, żeby zakony utrzymać w państwowej ryzie. Jeżeli tak jest, miałyby nawet i cel praktyczny agitacja, której wyrazem będzie wiec poznański. Co na to powie ks. Bismark, co jego narodowo-liberalna falanga? Objawy ich złego humoru ukaza się zapewne niebawem w prasie hamburskiej, hanowerskiej, w «Koeln. Ztg.», «National Ztg.» i t. p., a mistrz sam chyba na pociechę, jak ongi wobec grożącej dymisji, udawał się pod opiekę tylekroć drażnionej cesarzowej Fryderykowej, tak teraz wyniesie się na resztę zimy do Cannes, pod opiekę tej rzeczypospolitej, której tyle krwi upuścił i bogatych zabrał prowincyj!

Zawiedzeni zaś i upokorzeni do reszty sojusznicy jego, mścić się chyba już będą na słabych, t. j. na nas i wywierać nad nami złość swą—daj Boże bezsilną. Jak nas ta falanga nienawidzi, pokazało się znów teraz w kwestji szkolnej, obradującej nad projektem goslerowskim. Sam poseł ks. Stablewski postawił był wniosek, żeby każdemu wyznaniu w języku ojczystym religję wykładać. Nad tym wnioskiem wywiązała się bardzo obszerna i zajmująca dyskusja. Minister Gossler wystąpił naturalnie przeciwko tej poprawie, ale nie zasadniczo. Ubolewał tylko, że ona *za daleko sięga*. Podobno w Prusach mieszka 14 narodowości. Niepodobna—mówił—żeby każdej dogodzić! Na to Windthorst dał dobrą radę, żeby pan minister wyznaczył którego z radców ministerjalnych i zalecił mu wspólnie z ks. d-rem Stablewskim opracować wniosek, w formie nie tak daleko idącej; co zdaje się jakoby zaakceptowano, bo ks. Stablewski wniosek swój cofnął, zapowiadając, że w odmienniej formie poda go w drugim czytaniu. Cóż na to nacjonal-liberały? Otóż poseł Eynern robi straszliwe *salto mortale*, podejmuje wniosek cofnięty ks. Stablewskiego. Sądził on, że skoro głosowanie nastąpi, wniosek przepadnie, bo milczący podczas całej dyskusji konserwatyści będą musieli zdeklarować się przeciw «polskiej intrydze». Tym sposobem sprawa byłaby pogrzebaną. Ledwie przecie uproszono p. Eynerna, że odstąpił od zamiaru, bo i druga alternatywa była możebną, że wniosek, cofnięty przez ks. Stablewskiego, a podjęty chytrze przez Eynerna, byłby przeszedł, a wtedy już pp. nacjonal-liberałom nie byłoby pozostawało, jak pójść za radą owego berlińskiego dowcipnisia, który, pytany przez przyjaciela, jakaby mu wypadało przyjemność sprawić skłopotanej żonie na urodziny, odpowiedział: *haeng diruff*, t. j. powieś się.

Papier się kończy. Muszę więc odłożyć na później dużo ciekawego materiału. Znosi się bowiem u nas na zupełny przewrót polityki handlowej, a mianowicie ciom opiekuńczym grozi zwrot do polityki wolnego handlu. Jak się to odbije na naszym kraju, z tej i tamtej strony kordonu, przewidzieć nie trudno. Postępowcy tryumfują, agrariusze marszczą czoła. Komierowski przemawiał za zachowaniem cel.

Domarat.

Lwów, 8 stycznia.

[Decentralizacja kolei państwowej. Fundacja hirszowska. Jubileusz d-ra Kętrzyńskiego. Spis ludności. Dr. Jordan. Hołd pamięci rektora Staneckiego].

Δ Prawdopodobnie stoimy w przededniu załatwienia jednej z najważniejszych zewnętrznych spraw kraju naszego, którą

jeszcze w r. 1880 sejmowe rezolucje wy-
prowadziły na porządek dzienny. Konieczna
reformę z państwowej organizacji kolejo-
wej poruszano już tylokrotnie i z trybun
parlamentarnych, i ze szpalt dziennika-
rskich, i w memorjach różnorodnych in-
stytucyj publicznych, że zbyt ciężkim było-
by szczegółowiej objaśniać doniosłość de-
centralizacji głównych zarządów. Jeżeli
jednak kolej we współczesnych warunkach
rozwoju ekonomiczno-społecznego miała
zawsze znaczenie pierwszorzędne, to dla
nas w chwili bieżącej, gdy prąd upaństwo-
wienia ogarnia już całą prawie sieć dróg
żelaznych, sprawa reformy staje na czele
wszystkich innych. Bo słuszność mają ci,
których zdaniem monopol kolejowy, w ra-
zie zmiany rządu dzisiejszego, mógłby
sprowadzić ekonomiczną ruinę kraju i dać
mu się straszniej uczuć od wszelkiego
ucisku politycznego. Otóż, wedle nadesz-
łych tu wczoraj ze stolicy wieści, w mi-
nisterstwie handlu leży gotowy projekt
rozgałęzienia dyrekcji wiedeńskiej na czte-
ry oddziały: w Wiedniu, Pradze i Gracu,
i Lwowie. Coodzi teraz o zakres praw i
obowiązek tych filij, gdyż oczywiście od tego
właściwie istotny rezultat reformy zależeć
musi. A w tym względzie głuche infor-
macje brzmią dotąd niezbyt pomyślnie;
kompetencja oddziałów byłaby naderszczup-
łą i poddaną bezpośredniej kontroli mi-
nistra handlu. Te same źródła wskazują,
jakoby szefem naczelnym nowej organi-
zacji kolejowej w Galicji miał zostać pro-
fesor i poseł, dr. Leon Biliński.

Wspominając ostatnim razem o zawiła-
nych losach fundacji hirszowskiej, zazna-
czyłem prawdopodobieństwo, iż długa jej
odyseja po austriackich biurach ministe-
rialnych niebawem się skończy. Dziś to już
fakt dokonany; fundacja uzyskała utwier-
dzenie. Dzięki czemu ostatecznie? Trudno
dociec z bałamutnych komunikatów. Rząd
domagał się prawa mianowania połowy
członków kuratorji, t. j. 9 na 18, Hirsz
po długim uporze przystał na to i—Rząd
zamianuje zaraz członków, obowiązując się,
że w przyszłości pretensje co do tej liczby
nie wzrosną! Z milionów fundacyjnych będą
urządzone «froeblówki» dla dzieci żydow-
skich w Galicji i na Bukowinie, szkoły
ludowe i wydzielowe; będą również udzie-
lane zapomogi na cele rzemieślniczo-rol-
nicze. Instytucje te zostaną zrównane ze
szkołami publicznymi, język niemiecki na-
leży do przedmiotów obowiązkowych, mło-
dzież chrześcijańska znajdzie wykłady re-
ligji swojej; 300,000 franków przeznacza
fundator na budowę nowych lub meljoracje
istniejących szkół; koszt administracji
nie mają przewyższać rocznie 20,000 złr.,
a gdyby jakiegokolwiek przyczyny uniemoż-
liwiły działalność fundacji w kierunku pier-
wotnym, zostanie ona poświęcona na cele
humanitarne, tudzież na popieranie rze-
miosł i rolnictwa wśród żydów austriac-
kich. O tyle wybitnym dla przyszłości
kraju fakcie zatwierdzenia fundacji—prasa
miejscowa nie uznawała dotąd za potrzebne
cośkolwiek powiedzieć...

Jeden z niewielu prawdziwie «uczo-
nych» lwowskich, dr. Wojciech Kętrzyń-
ski, dyrektor Ossolineum, święcił onegdaj
czwierćwiekową rocznicę swej pracy na po-
lu wydawnictw źródłowych, badań pruskich,
monografij i krytyki, pracy bardzo obfi-
tej, jak o tem najwymowniej świadczy
spis dzieł jubilat, stanowiący broszurę o
19 stronicach druku. Wartość działalno-
ści d-ra Kętrzyńskiego oceniły widocznie
i wszystkie niemal instytucje naukowe,
gdyż w Krakowie, Poznaniu, Toruniu,
Tylży, Paryżu, Wiedniu, Wrocławiu i t. d.
jest jubilat ich członkiem lub korespon-

dentem komisji archeologiczno-dziejowej.
Dowód udziału swego w tem uznaniu po-
wszechnem złożył onegdaj personel zakła-
du Ossolińskich, wyprawiając, z kustoszem
d-r'em Hirszbergiem na czele, serdeczną
owację wielce szanownemu dyrektorowi,
a cała prasa owacji tej przyklasnęła.

Przedwczoraj ukończono zbiór kart
konskrypcyjnych, mających dać nowy, od
lat dziesięciu, obraz zaludnienia naszego
kraju i naszej stolicy. Ze spisu ludności
wywiązała się charakterystyczna polemi-
ka między «Kurjerem Lwowskim» a «Oj-
czyzną» co do kwestji: jaki język w ru-
bryce konwersacyjno-towarzyskiej mają
wpisywać żydzi? Organ «Przymierza bra-
ci», wychodząc z założenia, iż w ciągu
ostatniego dziesięciolecia znaczne zaszły
zmiany, że we wszystkich instytucjach i
korporacjach żydowskich urzędowy język
niemiecki należy dziś już do rzadkości,
podobnie jak w wielu rodzinach inteli-
gencji żydowskiej—nawoływał do zapisy-
wania wyrazu «polski». «Kurjer» nato-
miast, protestując przeciw wszelkim fał-
szom i bladze, i obliczając, że we Lwo-
wie zaledwie 200 rodzin z inteligencji
żydowskiej używa wyłącznie języka pol-
skiego, 50,000 zaś proletariatu posługuje
się żargonem, wzywa do zaznaczania
w rubryce odnośnej języka niemieckiego
lub żargonu; narodowość polska na tem
nie straci, a bodaj taki może wynikać
pożytek, iż sfery decydujące wobec prze-
rażającej ilości żargonowców w Galicji,
musiałyby zastanowić się nad tem, co
począć z tak ciemnymi masami.

Słynny twórca parku dla dzieci kra-
kowskich, dr. Henryk Jordan, przybył do
nas onegdaj, aby wygłosić swój traktat
«o zabawach młodzieży». Całe dzienni-
karstwo powitało gościa bardzo gorąco,
dużo poświęcając miejsca cennej jego pre-
lekcji i słowom szczerzego uznania. Wy-
kład dotyczył przedmiotu, którym społe-
czeństwo nasze, jeśli mu drogą jest przy-
szłość, troskliwie zająć się musi. Szanow-
ny prelegent zwiedzał niedawno Niemcy,
i owoc swych spostrzeżeń, zastosowanych
do naszego kraju, barwnie a ciepło przed-
stawił, oświadczając się z wielkim zapa-
łem za ruchem zabawami młodzieży
na świeżem powietrzu. Po odczycie, pre-
zes «Sokoła», dr. Krowczyński, w otocze-
niu licznej drużyny, uściśkał d-ra Jorda-
na na estradzie; nadto «Koło literacko-
artystyczne» zaprosiło gościa na wieczór,
a grono przyjaciół i lekarzy lwowskich
urządziło na cześć jego piękny bankiet.
W szeregu pełnych myśli toastów odzna-
czył się kielich d-ra Bylickiego, Belzy
(«Żyj — dla szczęścia dzieci!») i prezy-
denta Mochnackiego, który podniósł to
szczególniej, iż dopiero dr. Jordan, nie
mówiąc ani pisząc, zabrał się do dzieła
reformy fizycznego wychowania mło-
dzieży i w czyn je wprowadził niemal
wyłącznie własnymi siłami, jedynie przy
pomocy gminy m. Krakowa. I lwowska
gmina przeznacza dziś na te cele 500 złr.,
ale u nas we Lwowie trudno o drugiego
Jordana—zakończył mówca. Miejmy na-
dzieję, że się znajdzie.

Z kolei bolesną niosę wam wiadomość.
Nieubłagana śmierć wyrwała, z szeregu
dzielnych jak mało, i jak mało czerstwych
jeszcze synów kraju, nową ofiarę. Rektor
uniwersytetu naszego, dr. Tomasz Stanec-
ki, zamknął onegdaj powieki nazawsze...
Strata to dla społeczeństwa i nauki bo-
lesna, tem boleśnieszka, iż zbyt wczesna.
S. p. Staneccki, trafnie «bohaterem pra-
cy nieznużonej» nazywany, zawdzięczał
wszystko sobie samemu, swoim talentom
i wytrwałości. Jeden z najzdolniejszych

naszych matematyków, już w młodości
chlubnie odznaczył swe specjalne zamilo-
wanie i talenty; jako uczeń gimnazjum
w Wadowicach, rozwiązał zadanie z wyż-
szej matematyki, ogłoszone przez wiedeń-
ską akademię umiejętności. Przysporzył
on nam pierwsze polskie podręczniki nau-
kowe z zakresu fizyki, geometrii, ary-
tmetyki i algebry; w «Kosmosie», «Bartni-
ku», czasopismach periodycznych i w od-
dzielnych broszurach pełno sumiennych
prac jego, a wszędzie cenne dowody sta-
rań około wyrugowania niepotrzebnych
wyrażeń i frazesów obcych, gdyż czystość
języka rodzinnego była dlań zawsze nie-
zmiennie drogą. Zorganizował w kraju
całą sieć stacyj meteorologicznych, a mi-
mo docentur w szkole leśnej i wetery-
naryjnej, udziałów w szkolnych komisjach
egzaminacyjnych i pracach akademii umie-
jętności krakowskiej, znalazł czas na
pełnienie przeróżnych innych obowiązków
obywatelskich. Swego czasu istne bożysz-
cze młodzieży, wszechstronnie wykształ-
cony, mistrz języka w piórze i żywym
słowie, świetny prelegent, wzorowy ojciec
rodziny, niezrównany, pełen humoru, dow-
cipu i złotego serca człowiek w pożyciu
towarzyskiem, — ś. p. Staneccki zostawia
po sobie pamięć niezwykle piękną.

Nota.

Kraków, 16 stycznia.

[Spis ludności. Matejko. Pomnik Mickiewicza.
Miscellanea.]

△ Spis ludności z dnia 31 grudnia
1890 r. wykazał, że Kraków liczy 68,000
mieszkańców. Ponieważ przed laty dziesię-
ciu cyfra ich nie dochodziła do 60 tysięcy,
przeto ludność Krakowa wzrosła o 8 ty-
sięcy, to jest przeszło o 1/7. Wzrost ten
okazałby się jeszcze większym, gdyby
posunąć rogatki i zaliczyć do ludności
krakowskiej mieszkańców przedmieść i
tak zwanych wsi, w rzeszywistości naj-
zupełniej połączonych z miastem. Na pół-
wsiu Zwierzynieckim na Czarnej wsi,
Krowdrzy, Łobzowie, Dębnikach i w Za-
krzówku za Wisłą mieszka z pewnością
kilka tysięcy ludzi, którzy pracują, zara-
biają i cały dzień przepędzają w Krako-
wie. Również, mając rzeczywistość na oku,
trzeba zaliczyć do Krakowa i Podgórze,
mające 11,000 ludności, a ściślej zwią-
zane z Krakowem, niż Praga z Warszawą.
Tak rachując, można dziś Kraków uwa-
żać za miasto 80-tysięczne, nie wlicza-
jąc załogi wojskowej, koło 7 tysięcy liczącej.

Do ludności krakowskiej byłby nale-
żał nowy dyrektor szkoły sztuk pięknych,
którego upatrywano w Brandcie lub Siemi-
radzkim, co się jednak nie stało, dzięki
czy nie dzięki mistrzowi Matejce, który
pogniewawszy się na świat cały, nie był
w stanie oprzeć się komplementom, za-
wartym w liście ministra Gautscha i cof-
nął swoją rezygnację z dyrektorstwa. Ma-
tejko był twardy jak skała, kiedy go pro-
sili uczniowie, profesorowie, przyjaciele,
wielbiciele i pan namiestnik; skała zamie-
niła się w воск pod ciepłym tchnieniem
zdawkowych frazesów p. ministra. Wszy-
scy dobrze życzący szkole sztuk pięknych
cieszyli się, iż rezygnacja Matejki będzie
punktem wyjścia dla reorganizacji szkoły,
ktokolwiek bądź by jej przewodniczył, choć-
by ten sam Matejko. Tak, jak się stało,
stało się najgorzej, gdyż dyrektor nie po-
dał żadnych warunków cofnięcia swojej
rezygnacji, a więc nawet to, o co się
upominał, to jest nieznaczne powiększe-
nie liczby nauczycieli etatowych, nie przy-
dzie do skutku. P. minister, otrzymawszy
cofnięcie rezygnacji, nie fatygował się już
po raz drugi pisaniem listu i tylko poleciał

p. namiestnikowi podziękować Matejce za jego dobre chęci.

Braku dobrych chęci nikt nie zarzuci rozbitemu, *de facto* nie istniejącemu komitetowi pomnika Mickiewicza. Składał się on z pięciu członków, z których czterech mieszkało w Krakowie, a jeden we Lwowie. Obecnie postać rzeczy się zmieniła: umarł Artur Potocki, wynieśli się z Krakowa hr. Przeździecki i dr. Jaworski, w Krakowie więc został jeden tylko członek komitetu. Zdawałoby się, że trudno tak rozbitemu ciału przyjać na siebie dalsze prowadzenie czynności, że należałoby powiedzieć, tym co udzielili mandatów: «Wybierzcie inny komitet, a przynajmniej go uzupełnijcie wybraniem kilku członków». Ale dobre chęci hr. Przeździeckiego nie mają żadnych granic. Zagrożony w swej dyktaturze, oświadczył wszem wobec i każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć należy, iż dotychczasowi członkowie, pomimo dzielącej ich geograficznej przestrzeni, czują się na siłach utrzymać cały ciężar sprawy i odpowiedzialności, i że *on sam*, hr. Konstanty Przeździecki, wybrał sobie już nowego członka komitetu na miejsce zmarłego hr. Potockiego. Różne są pojęcia o przyzwoitości i zakresie nadanej władzy, a więc i hr. Przeździeckiemu wolno mieć swoje oryginalne pojęcia. Czy jednak te pojęcia dzielą wszyscy członkowie właściwego komitetu mickiewiczowskiego, a więc mandatarjusze p. hrabiego, i czy je podziela ogół, co zbierał składki, — pozwole sobie nieco wątpić.

Nasze sfery naukowe przygotowują uroczysty obchód 60-tej rocznicy otrzymania doktoratu przez d-ra Majera, b. prezesa akademii umiejętności. Na wystawie sztuk pięknych zwracają uwagę, ale niepodobają się, trzy obrazy p. Umirzyskiego, wykonane według pomysłu Matejki, a przeznaczone do przyozdobienia sali politechniki we Lwowie. Koło artystyczno literackie będzie obchodziło 10-cioletni jubileusz swojego istnienia. Teatr, w braku sztuk oryginalnych, daje tłumaczenia i wznawienia. Wystawione podczas świąt «Ciarachy» Galasiewicza, nie przyjęły się na naszej scenie. «Kurier Polski» drukuje dalszy ciąg «Wspomnień z wojny francusko pruskiej», pióra Rogosza. Prelekcje Ochorowicza «O tajemnicach kapłanów egipskich» nie gromadziły zbyt licznej publiczności. Pismo ludowe «Krakus» w przeciągu paru tygodni istnienia uzyskało około 800 prenumeratów, co na nasze stosunki należy do rzeczy nieprawdopodobnych aprzecie prawdziwych. Pierwszy numer pisma «Ruch», wydawanego przez młodzież, został skonfiskowany przez prokuratorję, która dojrzała w niem tendencje socjalistyczne. Jeden z członków redakcji, Józef Artur Górski, oraz medyk Henryk Kłoszyński, po odbytej u nich ścisłej rewizji zostali aresztowani. Zarządzono również rewizję, u kilku innych akademików i uczniów gimnazjalnych, ale widocznie bez rezultatu, bo nie dokonano żadnych więcej aresztów.

Srednik.

Z POLITYCZNEGO ŚWIATA.

Podróż arcyksięcia Franciszka-Ferdynanda d'Este do Petersburga. Odpowiedź Crispi'ego na mowę Leona XIII. Obiad na cześć ks. Bismarka u generała Leszczyńskiego. Otwarcie sejmiku szwedzkiego.

W początkach przyszłego miesiąca arcyksiążę Franciszek-Ferdynand d'Este odwiedzi Petersburg. «Fremdenblatt» utrzymuje z tego powodu, że odwiedzin arcyksięcia nie są tylko odpowiedzią na ostat-

nią wizytę J. Ces. Wysok. Następcy Tronu ruskiego, gdyż projekt podróży istniał już wcześniej. «N. Fr. Presse» tak się wyraża o zamierzonej wycieczce: «Jestto akt grzeczności, rzucający przyjacielskie światło na obecne stosunki Austro-Węgier z Rosją». Omawiając te awanse prasy wiedeńskiej, «Now. Wremia» pisze: «Zadnego wrogiego uprzedzenia względem monarchji rakuskiej nikt w Rosji nie żywi; jeśli zaś od r. 1879 we wzajemnych stosunkach obudwu mocarstw nie istnieje dawna zażyłość przyjacielska, wina za to spada wyłącznie na dyplomację wiedeńską, stale powodującą się w swem obcowaniu z Rosją raczej wskazówkami berlińskimi (mówimy oczywiście o czasach ks. Bismarka), niżli osobistymi poglądami i sympatjami cesarza Franciszka-Józefa i innych wpływowych członków rodziny habsburskiej».

Półurzędowa włoska «Riforma» znalazła sposobność odplacenia Leonowi XIII pięknem za nadobne. Ponieważ w czasie noworocznego przyjęcia kolegium kardynałów papież powiedział parę słów ostrzych o obecnym stanie kościoła katolickiego we Włoszech i o swoim stosunku do rządu włoskiego, trzeba więc było wynaleźć powód do odpowiedzi równowartej. Powód się znalazł niebawem. Ponieważ ojciec św. wydał był rozporządzenie pobierania po 1 fr. od osoby za zwiedzanie galerij i muzeów watykańskich, «Riforma» wystąpiła z artykułem protestującym, który wywarł ogromne wrażenie nie tylko we Włoszech, lecz i zagranicą. Organ p. Criespigo nazywa rozporządzenie papieża «naruszeniem ustawy gwarancyjnej», która zapewnia papieżowi jedynie prawa używalności Watykanu. Państwo, jeśli zechce, może muzea wziąć pod własny zarząd. W dalszym ciągu artykułu czytamy: «Kurja baczycy powinna, aby omawiana sprawa nie stała się niebezpiecznym precedensem. Inaczej rząd mógłby być zmuszonym do odpowiedniej zmiany ustawy gwarancyjnej».

«Journal des Débats» otrzymał z Berlina parę szczegółów o obiedzie, jaki się niedawno odbył na cześć księcia Bismarka u generała Leszczyńskiego w Hamburgu. Ponieważ Leszczyński cieszy się wielkimi względami Wilhelma II i uchodzi za ewentualnego następcę hr. Waldersee, sądzono przeto, że obiad mógł być urządzony w widokach pogodzenia eks-kanclerza z cesarzem. Informacje «Journ. des Débats» nie przeczą wręcz tym pogłoskom, ale też i nie potwierdzają ich wcale. Przed ten Leszczyńskim ks. Bismark dużo tylko mówił o swoich podróżach, które przedsięwziąć zamierzył, i w których Paryża omijać nie myśli, ufny, że go tam przyjmą «po przyjacielsku». Wspomniał też nareszcie eks-kanclerz o innej swej wycieczce — mianowicie w krainę swej przeszłości; pamiątniki bowiem jego, jak donoszą z kądinąd, szybko posuwają się ku końcowi i wkrótce ujrzą światło dzienne.

W dniu 7 (19) b. m. zagajony został sejm szwedzki mową tronową, w której powiedziano, że finansowe położenie kraju i stosunki z mocarstwami zagranicznymi są zadawalniające. Zapowiedziano również kilka nowych projektów do ustaw, między innemi o organizacji armji i ubezpieczeniu robotników.

Wiadomości polityczne.

Francja. Na posiedzeniu izby deputowanych z dnia 8 (20) b. m. wniesioną została interpelacja w przedmiocie odnowienia traktatów handlowych. Minister spraw zagranicznych

Ribót, odpowiadając na nią, zaznaczył, że byłoby rzeczą przedwczesną roztrząsać ogólną politykę ekonomiczną. W każdym razie, przy rewizji ogólnej taryfy celnej niektóre warunki pozostaną w swej mocy dla Hiszpanji, Szwajcarii i Belgji. Francja — mówił minister — nie powinna zajmować w Europie położenia odosobnionego. Zasade o narodach najbardziej faworyzowanych pod względem handlowym zastrzedz należy w stosunku do Danji, Hiszpanji i Austrii. Cassagnac oznajmił, że się łączy ze zdaniem Ribóta, gdyż gdziekolwiek chodzi o interesy Francji, kombinacje stronnice powinny być odłożone na bok.

Austro-Węgry. W dniu 6 (18) b. m. zmarł w Wiedniu ambasador turecki Sandulla-pasza, cierpiący oddawna na melancholeję. W ostatnich czasach usiłował on pokilkakroć odebrać sobie życie; zatruty się gazem, służącym do oświetlania pałacu ambasady, zakończył życie w parę dni później. Pogłoskom, jakoby nieboszczyk popadł niezadługo przed śmiercią w nielaskę u swego monarchy, zaprzeczono urzędowo.

Turcja. «Ag. Reuters» donosi z Konstantynopola, że w dniu 6 (18) b. m. ogłoszoną została amnestja dla aresztowanych armeniezyków; 76-ciu z nich wypuszczono już na wolność.

KRONIKA ZAGRANICZNA.

> W Atenach otwarto testament słynnego archeologa Schliemana, który ogromny swój majątek rozdzielił między dwoje swych dzieci z pierwszego małżeństwa, mieszkających w Petersburgu i dwoje z drugiego małżeństwa, znajdujących się obecnie w Atenach. Oprócz legatów dla rodziny, Schlieman zapisał 10,000 fr. dyrektorowi instytutu niemieckiego w Atenach Dörpfeldowi i 20,000 fr. Virchowowi. Berlin otrzymał 5,000 fr. na cele dobroczynne. Pierwszej swej żonie, z którą się Schlieman rozwiódł, a która dotąd jeszcze żyje, zapisał 100,000 franków. Druga wdowa po Schliemanie, greczynka z urodzenia, zamierza dzieło męża nadal prowadzić. Towarzyszyła mu we wszystkich podróżach naukowych, dzieląc z nim zapał w poszukiwaniach i zamiłowanie w języku greckiego. Jako panna Kastromenos słynęła ona w Atenach z wielkiego daru deklamacji Homera, którego umie na pamięć całe rozdziały, i tem głównie zdobyła sobie serce słynnego archeologa.

> Okręt, na którym znajdował się Jan Orth, b. arcyksiążę tokański, ostatecznie uważany jest za zaginiony, gdyż towarzystwo hamburskie wypłaciło już asekurację. Według biura meteorologicznego w Hamburgu, okręt zaginął między 20 i 25 lipca w czasie burzy, która szczytowała spustoszenie na przestrzeni 300 mil od przylądka Horn. Urzędownie śmierć J. Ortha zostanie uznana po upływie 4 lat, ustanowionych według prawa.

> W Jassach odbył się na początku b. r. pojedynek między ks. Eugenjuszem Ghika a sekretarzem konsulatu ruskiego p. Ler...wem. Powodem pojedynku była ta okoliczność, że ks. Ghika wyraził się ubliżająco o poecie Lermontowie. Książę otrzymał ciężką ranę.

> Dr. Schnirer ogłosił w «Wiener Medicinische Presse» rezultat ciekawych badań nad nieobieranemi owocami. Okazało się, że kurz na owocach i grzybkach, oraz mchy mikroskopijne, zawierają mnóstwo bakterij tuberkulicznych. Woda, którą splukano winogrona, zastrzyknięta swinkom morskim, wywołała u nich galopujące suchoty. Redakcja «Wiener Med. Presse» popiera wywody swego współpracownika i zaleca najusilniej: 1) zawsze przed spożyciem oplukiwać silnie wszelkie owoce, zwłaszcza winogrona; 2) obierać owoce z łusek i łupin, choćby nawet prosto z drzewa zrywane.

Z TYGODNIA.

Petersburg, 10 stycznia v. s.

Dr. Ludwik Windthorst, przywódca katolickiego stronnictwa centrum w sejmie pruskim i parlamencie niemieckim, znakomity szermierz parlamentarny, prowadzący przez lat przeszło dwadzieścia nieprzerwaną walkę przeciw polityce «krwi i żelaza», nad którą niejednokrotnie święcił zwycięstwa, obchodził d. 17 b. m. osmdziesiątą rocznicę swych urodzin. Uroczystość tę święciły całe Niemcy katolickie, składając jubilatowi hołdy i życzenia za pośrednic-

twem licznych deputacyj i śląc dary pieniężne, nie na zakupienie dóbr ziemskich, jak ongi dla ks. Bismarka, lecz na ukończenie wspaniałej świątyni Panny Marji w Hanowerze, zawdzięczającej Windthorstowi swe istnienie. W imię zasady *justitia est fundamentum regnorum*, bronił dr. Windthorst wszystkich i każdego, kto doświadczył na sobie skutków nieprawości pruskiej, wśród szerzącego się macchiawelizmu stał wytrwale pod sztandarem sprawiedliwości idealnej i natchnionem słowem gromił kupczących ideałami. Sędziwy jubilat jest jednym z tych nielicznych wielkich mężów stanu, którzy dożyli do żniwa swej znoej siejby: widział on na schyłku dni swoich, jak jego wróg największy i twórca złego naprzód poszedł do Canossy, a potem upadł bez chwały i żalu. «Mała eksce-lencja» przetrwała wielką. Dawid raz jeszcze powalił Goljata, choć dobił olbrzyma kto inny, młodszy i potężniejszy.

W prasie poznańskiej rozległo się w tych dniach ostrzegające wołanie: *Hannibal ante portas!* — z racji wzmożenia się propagandy socjalistycznej wśród roboczego ludu polskiego. Przypominają sobie czytelnicy «Kraju», że na słynnym wiecu w Halli przywódcy socjalizmu niemieckiego wykazywali publicznie niezbędność rozpoczęcia na wielką skalę agitacji wśród robotników polskich, i oto już obecnie, po kilku miesiącach, okazują się zatrute owoce tej propagandy. W zeszły piątek odbyło się w Berlinie zgromadzenie «polskich socjalistów», zarządzone przez Janiszewskiego i Krzyżanowskiego. Jednocześnie powstaje w Berlinie socjalistyczne pismo w języku polskim p. t. «Gazeta Robotnicza», pod redakcją niejakiego Władysława Kurowskiego. O tym ostatnim, zecerze z powołania, pisze «Dziennik Poznański», że nie odznacza się on ani wykształceniem, ani zdolnością. «Kurowski niemieckim socjalistom do przekonania polskiego robotnika mostów nie zbuduje, a jeśli je on, nie zaś kto inny skleci, to zapewne rychło runą, bo to nie człowiek takiej miary, aby pociągał za sobą innych». Dziennik przypuszcza, że za Kurowskim stoją inni, zdolniejsi i sprytniejsi propagatorowie i publicyści. Teraz, co się tyczy owego sejmiku berlińskiego, pisma zagraniczne zgodnie twierdzą, że na nim rej wodzili Niemcy i kosmopolici, nie Polacy. Charakterystycznym jest również, że pomiędzy aranżerami zgromadzenia znalazło się dwóch Polaków, ale takich, że nawet przemówić po polsku nie umieli i musieli robotnika naszego namawiać na swą wiarę, w rodzinnej mowie Bebla i Liebknechta. W każdym razie niema wątpliwości, najpierw, że ruch socjalistyczny istotnie wzmógł się znacznie wśród roboczego ludu polskiego, rozproszanego po całych Niemczech; powtóre, że ruchu tego bynajmniej lekce- ważyć nie należy. Cała opinia i prasa polska odważnie i energicznie do walki z nim wystąpić powinny. Propaganda socjalistyczna niemiecka rozporządza

znacznymi środkami; dość przytoczyć że centralny zarząd stronnictwa w jednym tylko miesiącu listopadzie zebrał 20,000 marek. Część tego olbrzymiego podatku, który fanatyczni doktorowie socjalizmu ze swych wyznawców ściągają, ma być użytą na propagandę w księstwie Poznańskim i Prusach zachodnich. Tej agitacji pieniężnej należy również przeciwstawić zbiorowe środki na obronę robotnika polskiego od zarazy socjalistycznej, tak samo, jak na niewyczerpaną energję przywódców tego ruchu — energją społeczną odpowiedzieć trzeba. W obronie tej powinnyby podać sobie ręce wszystkie stany i wszystkie obozy, gdyż, jak słusznie zauważa krakowska «Nowa Reforma»: «Kosmopolityczny socjalizm nie odpowiada naszym stosunkom społecznym i ekonomicznym, nie zgadza się z naszym charakterem narodowym i nie wspólnego z naszymi ideałami mieć nie może. Socjaliści szukają motywów do walki w naszej przeszłości historycznej, i w tym celu przekręcają dzieje, szukają ich w stosunkach społecznych — i dlatego starają się poróżnić klasy i warstwy społeczne».

Dnia 14 stycznia pod obrady sejmiku pruskiego przyszedł wniosek posła ks. Stablewskiego, żądający wprowadzenia do nowej ustawy szkolnej wykładu religji w języku ojczystym. Odpowiedź ministra oświaty odznaczała się umiarkowaniem, niepraktykowanym dotąd przez tego wiernego służkę bismarkowskiej polityki. P. Gossler podniósł tylko rzekomą niewykonalność praktyczną wniosku, szczególnie w miejscowościach, gdzie jedna z 14 narodowości państwa pruskiego jest nielicznie reprezentowaną. Odpowiadając ministrowi wykazał ks. Stablewski, że wniosek przewiduje tego rodzaju ewentualność, jak również konieczność odstąpienia w pewnych wypadkach od przyjętej zasady. Wpustawie stronnictw sejmowych przy dyskusji nad wnioskiem uwydatniła się również pewna zmiana frontu w stosunku do koła polskiego. Stronnictwa zachowawcze i postępowe, które jeszcze wczoraj w wypadkach analogicznych nie szczędziły hałaśliwych objawów niezadowolnienia, zachowywały milczenie grobowe. Jedni tylko narodowo-liberalni podnieśli nanowo cofnięty przez ks. Stablewskiego wniosek, by, jak się wyraził przedstawiciel ich Eynern, «raz już nareszcie pogrzebionym został». Sztuczka ta wszakże nie udała się i wniosek przyjdzie znów pod obrady, gdy roztrząsaną będzie kwestja języka ojczystego wogóle. Podnieść jeszcze należy życziwe, jak zawsze, zachowanie się stronnictwa centrum i epizod dyskusji, który wprawił ministra w prawdziwe zakłopotanie. Na uwagi posła Stablewskiego o cyrkularzu władz poznańskich, nakazującym księżom używania wyłącznego mowy niemieckiej przy nauce religji i w stosunkach z nauczycielami, minister długi czas milczał uparcie, aż nareszcie, przyparty do muru, oświadczył, iż na *inquisitorium* szan. posła nie może narazie dać żadnych wyjaśnień.

Uгода polsko-rusńska stoi ciągle jeszcze... na papierze... Jej urzeczywistnieniu stawiają tamy niepoprawni szwiniści z jednej i drugiej strony, i kto wie, czy przy równoległym i zgodnym działaniu nie uda się im zważyć całą tę, z takim trudem i cudem nieledwie, wzniesioną budowę. Stronnictwa polityczne znajdują zawsze materiał do zajęcia się i walki, ale lud ruski, «któremu chodzi o życie», straci jeszcze jedną sposobność do pozyskania praw, które w jego imieniu dopominał się Roman-czuk w znanej swej mowie na zebraniu «Narodowej Rady». Mowa ta wywołała niezadowolenie w szeregach «Czerw. Rusi», ale i w pewnych kołach polskich współczucia nie wywołała, raczej kwasy i żale. I wszystko to dlatego, że prof. Roman-czuk dotknął drażliwej kwestji opieki jezuickiej nad bazylianami, z czem rusini naturalnie nigdy się nie pogodzą. Bodajśmy się mylili, ale wydaje się nam wielkim błędem taktycznym: wprowadzenie do programu ugodowego, złożonego w sejmie, pierwiastku *religijnego*, który od rzeczy politycznych zawsze oddzielać należy, bo to są liczby wielorakie i do wspólnego mianownika z trudnością sprowadzić się dadzą.

Przy sposobności zwrócić musimy uwagę na oryginalną metodę, której się trzyma w polemice z nami «Warsz. Dniew.». W jednej z naszych notatek redakcyjnych przypominaliśmy, że «Kraj» zwracał niejednokrotnie uwagę na konieczność ustanowienia znośniejszego *modus vivendi* z rusinami, ponieważ dzisiejsze stosunki między narodowościami karpaccskimi stają na przeszkodzie rozwojowi «całego kraju». To znaczy, tłumaczy «Warsz. Dn.», *całej Austrii*. «*Wot o czom zabota polskaho pietierburskaho organa!*» — woła tryumfująco, podsuwając nam, starym zwyczajem, intencje austrofilskie w ich antypaństwowem znaczeniu. Szkoda tylko, że środek, którego użył «Warsz. Dn.» dla zdemaskowania «Kraju», grzeszy tym razem zbyt już wielkiem obrachowaniem na naiwność czytelnika. Czytelnik ten pojmuje, że wyraz «cały kraj» oznacza nie co innego, tylko *Galicję* i w żaden sposób do Austrii, jako państwa różnoplemiennego, stosować się nie może. Twierdząc przeciwnie, «Warsz. Dniew.» wprowadza nową, nieznaną dotąd, teorię w terminologii polskiej.

WIADOMOŚCI URZĘDOWE.

NAJWYŻSZE UKAZY IMIENNE do rządzącego Senatu.

W d. 28 grudnia 1890 r.: Senatorowi departamentu karnego kasacyjnego, radyj tajnemu *Deyce- rowi* — Najmilszemu rozkazujemy w następnym 1891 roku przydywać w specjalnym wydziale Senatu do sążenia spraw o przestępstwa polityczne, z pozostawieniem go członkiem departamentu karnego kasacyjnego.

W d. 28 grudnia: Na zasadzie art. 14 zb. praw do Senatu rządzącego. wyd. 1886 r. Najmilszemu rozkazujemy w r. 1891 przydywać w departamentach Senatu rządzącego: w 2-gim radcy tajnemu *Esipowiczowi*, w 4-tym sekretarzowi stanu, rz. r. t. *Selifontowowi*, w 5-tym radcy tajnemu *Piatnickiemu*, w departamencie mierni-

czym—rady tajnemu *Gerardowi* i w departamencie heroldji wielkiemu podczaszemu *Grotowi*.

(podp.) **ALEKSANDER.**

Przegląd prasy ruskiej.

W artykule, zamieszczonym w *«Ruskim Wiestniku»*, głośny publicysta *Wsiw. Krestowski* porównywa między innemi stosunkami, gospodarstwo leśne w Austrii z taką gospodarką na Wołyniu i Podolu.

«Różnica — powiada — rzuca się tem mocniej w oczy, że zestawień nie trzeba szukać daleko: mamy je pod ręką, na samej granicy. Zdawać by się mogło, że wobec prawa ochrony i prawidłowej eksploatacji lasów u nas gospodarka powinna być taką samą, jak w Austrii; tymczasem, kiedy w tej ostatniej prawo ma zastosowanie surowe i dlatego wszyscy, chcą czy nie chcą, szanują je, u nas, niewiadomo dlaczego, całe prowincje wyjęte są z pod tego prawa, z czego korzysta eksploatacja zagraniczna i po barbarzyńsku lasy nasze wycina. Coraz szerzej i szerzej z rokiem każdym kraj ogala się z lasów, tak że blizkim już jest czas, kiedy choćdymskie, wołyńskie i podolskie puszcze należeć będą do dziedziny wspomnień...»

Autor zwraca uwagę, że wszystko to ma wpływ na klimat, wody i ziemię. Wszyscy się uzalają, wszyscy widzą złe, ale nikt nie myśli zabrać się do jego usunięcia!

Pod tytułem *«Nowe sofizmy finlandzkie»* *«Nowoje Wremia»* zamieściło obszerny artykuł, omawiający świeżo wydaną w *Helsingforsie* w dwóch językach, po rusku i po szwedzku, broszurę p. t. *«Czy prawa Finlandji szkodzą interesom Rosji?»*. Broszura ta wyszła z pod pióra senatora *L. Mechelina*, który tylko co podał się do dymisji. *«Nowoje Wremia»* powstaje przeciwko tego rodzaju broszurom, które, dzięki spokojowi i ugodowemu charakterowi, zdaniem tej gazety, są właśnie najniebezpieczniejsze. Obszerny artykuł kończy się temi słowy:

«*P. Mechelin* w swym pamflocie potwierdza tylko przewinienia naszych obojętnych działaczy. I tak, wspomina on, że ruski minister finansów w r. 1877 oświadczył się za wprowadzeniem waluty złotej dla Finlandji wcześniej, niżeli sprawę tę oddano urzędnikom ziemskim; że granicę celną między Rosją i Finlandją ustanowiono w r. 1811, z inicjatywy nie finlandczyków, ale ruskiego zarządu finansowego; że z inicjatywy tego ostatniego w r. 1835 zniesiono wzajemność handlową; że projekt ograniczenia cerkwi prawosławnej (na szczęście jeszcze nie zatwierdzony), wyszedł z komisji, której większość członków składała się z przedstawicieli duchowieństwa prawosławnego i prawosławnych parafij (nie było to widocznie żadne ograniczenie — *P. R.*); że z inicjatywy ruskiego ministerstwa spraw wewnętrznych w r. 1851 prawo nabywania nieruchomości w Finlandji przyznano tylko szlachcie, wówczas gdy w Rosji każdy finlandczyk może nabywać, co mu się podoba... Spis ten można, naturalnie, powiększyć. Ale i tego, co powiedziano, wystarczy, ażeby pojąć, gdzie się ukrywa kwestja finlandzka. Dlatego to patrjoci, w rodzaju *p. Mechelina* i *Neowjusy*, zaczęli teraz wydawać broszury w pięknym języku ruskim. Łatwo zrozumieć, że rachują na wniesienie nieładu do głów ruskich. Ale tutaj właśnie prasa ruska powinna stać na straży...»

O baczną również wołają pisma ruskie przy traktowaniu drażliwych stosunków nadbałtyckich. Paryzka gazeta *«Matin»* zamieściła niedawno artykuł o uniwersytecie dorpacim, ganiąc w tym uniwersytecie dotychczasowy porządek rzeczy, a pochwalając zamierzoną jego reorganizację. *«Mitauer Ztg»* ostro z tego powodu powstała na *«Matin»*, głównie za to, że zaznajamia świat z tem, co się dzieje w Dorpacie, według źródeł nie niemieckich, lecz ruskich. *«Rizskij Wiestnik»* przytacza właśnie rzeczony artykuł ga-

zety niemieckiej, którego zakończenie jest wielce oryginalne:

«Panowie francuzi przez swe podejrzwania niemców w Rosji krają swe własne palce i ani o jeden krok nie przyspieszają, tyle przez nich upragnionego związku francuzko-ruskiego... Pomimo, że dla niemców ruskich nastąpiły obecnie czasy ciężkie, są oni wszakże dość jeszcze silni, prasa zaś francuzka, swojemi na nich napaściami, sama sobie przyczynia złego wroga, który z całego swego w Rosji wpływu skorzysta, ażeby i rękami i nogami walczyć przeciwko zbliżeniu z Francją...»

Oto do czego — pisze *«Now. Wr.»* — dojść może rozogniona wyobraźnia! Niemcy ruscy, zamierzający wszelkimi siłami przeszkadzać przymierzowi Rosji z jakimkolwiek obcem państwem!

Z powodu naukowych badań nad baśniami ludowemi, w petersburskiem czasopiśmie *«Pantieon literatury»* (wrzesień 1890) znaleźliśmy następującą notatkę:

«Na posiedzeniu Towarzystwa neofilologicznego 13, 4, 90, prezes onego, członek akademji *A. A. Wesołowski* udzielił wiadomości o tem, jako niewinny w istocie swej folklor ulega dziwnym podejrzeniom na kresach naszych. Oto w czasopiśmie *«Wisła»* pomieszczono artykuł, poświęcony legendom polskim o śpiących rycerzach, mających obudzić się w chwili niebezpieczeństwa; legenda ta znana powszechnie, natury międzynarodowej; pisał o niej *A. Wesołowski* w swoich *«Badaniach dziejów legend chrześcijańskich»* (*Opyty po istorji christj. legend*), nie wywołując takich zarzutów, jakie spotkały podobne materiały, umieszczone w *«Wisła»*. Chodziło o to, że o treści czasopisma tego pani *Orzeszkowa* zamieściła w *«Kraju»* artykuł, i tam, pomiędzy innemi rzeczami, unosiła się nad poetycznością podania ludowego. Artykuł ten wywołał ostrą odpowiedź w jednym z pism ruskich, wraz z politycznem tłumaczeniem wspomnianego podania. Bardzo jest łatwo wypowiadać takie podejrzenia; lecz nie posiadają one żadnego związku z pożyteczną sprawą gromadzenia podań ludowych i nie można nie życzyć sobie, aby zostały zaniechane i nie przeszkadzały młodzieńczym początkom folkloru na kresach naszych...»

Z zadowoleniem zamieszczamy powyższe oświadczenie znakomitego uczonego ruskiego, jako dowód bezstronności.

«Pietierburgskija Wiedomości» w przeglądzie postępów obrohy państwa za rok ubiegły, piszą:

«Wojenne, a zarazem i polityczne znaczenie Rosji z każdym rokiem wzrasta. Mówiąc po niemiecku, siła jej pięści jest najlepszym środkiem obuzdania antropologicznych instynktów niektórych narodów...»

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

× *Petersburski korespondent paryzkiej «Figara»*, jak donoszą *«Nowosti»*, podaje wyraźnie sensacyjną nowinę, jakoby ruskie sfery wojenne były przekonane (?), że rząd niemiecki ma zamiar zrobić próbną mobilizację armji na Szlaku i jakoby rząd ruski ma na to odpowiedzieć przez zmobilizowanie owych wojsk pogranicznych.

KRONIKA PETERSBURSKA.

= *Wizyta arcyksiążęca*. Z Wiednia donoszą do *«Now. Wrem.»*, że początkowo sądźono, że arcyksiążę *Karol-Ludwik* złoży wizytę dworowi ruskemu wraz z synem swoim *Franciszkiem d'Este*; obecnie jednak, z powodu złego stanu zdrowia arcyksięcia *Ludwika*, projekt ten upadł, a natomiast do Petersburga uda się arcyksiążę *Franciszek d'Este* z listem ojca. Odwiedziny będą miały miejsce w ostatnich dniach stycznia; dotąd jeszcze niewiadomo, jak długo arcyksiążę zabawi w Petersburgu.

= *Przybyli do Petersburga*: generał-gubernator kijowski hr. *Ignatjew*, kurator wileń-

skiego okręgu naukowego *N. A. Sergijewskij* i margrabia *Z. Wielopolski*.

= *Nowy, prawdziwy Pieszkow*. Oficer ruski *Winter*, który od granicy ruskiej przyszedł piechotą do Paryża, jak donoszą do *«Now. Wrem.»*, przy rogatkach *Lavillette* spotkał oczekujące na niego tłumy ciekawych, które witały go okrzykami: *«Niech żyje Rosja!»*. *Winter* odpowiedział okrzykiem: *«Niech żyje Francja! Niech żyje Paryż!»*. Przy wejściu do Paryża, jak głoszą dzisiejsze telegramy, pewna kwiaciarka wręczyła *Winterowi* gałązkę ostrokrzewiu z kwiatem.

= *O braciach Reszke* czerpiemy z *«Nowosti»* następujące szczegóły: *«Bracia Reszke»*, którzy przybyli w zeszłym tygodniu do Petersburga, jak opowiadają *«Nowosti»*, od pierwszej chwili doznali na sobie wpływu tutejszego klimatu. Z początku zaślubił *p. Edward Reszke*, bas, dla czego musiano odłożyć *«Fausta»*, a potem — tenor, *p. Jan Reszke*, wskutek czego nie można było wystawić opery *«Romeo i Julja»*... Obaj bracia prawie wcale nie opuszczają mieszkania, jakie zajmują w domu, w którym niegdyś mieścił się hotel *Demoutha*, przy *W. Koniuszennej* ulicy. Konieczność siedzenia w domu przykrzy się obu braciom. Mówią oni wybornie po francuzku i po polsku... Po rusku rozumieją prawie wszystko, ale mówią bardzo mało i to z wyraźnym akcentem polskim. *P. Jan Reszke* jest bardzo eleganckim mężczyzną, wysokiego wzrostu, o sympatycznej twarzy, rozumnych oczach, wysokiem czole. Posiada przytem wasy ciemnobłąd. *P. Edward Reszke* tego samego wzrostu, ale pełniejszy od brata; otoczona gęstą brodą twarz jego jest bardzo piękna, a wielkie szare oczy patrzą dobrodusznie... Ruchy obydwóch braci są bardzo eleganckie, czysto arystokratyczne... O sobie pp. Reszke prawie wcale nie mówią; artystycznego samochwalstwa, tak nieodłącznego od większości «znakomitości», niema w nich nawet śladu...»

= *Dr. Openchowski*, który, od niedawna zamieszkawszy w Petersburgu, wyrobił sobie w krótkim czasie uznanie w kołach lekarskich, został delegowany do Berlina w celu badań nad metodą leczniczą prof. *Kocha*. *Dr. O.* powrócił już z tej wycieczki naukowej, z której zda sprawę w najbliższym zapewne czasie.

= *Dobry znajomy muzykalnej publiczności Petersburga*, artysta-skrzypek *p. Emil Młynarski*, przebywający w Berlinie, coraz większego doznaje tam powodzenia. Po jednym z ostatnich wystąpień jego nad *Sprewą*, posypały się recenzje, pełne uznania. Między innemi jedna z wyroczeni berlińskich, *Otto Lesmann*, redaktor *«Allgemeine Musikzeitung»*, taką daje ocenę w Nrze 2-gim za rok bieżący tego czasopisma: *«Część instrumentalną wieczoru, danego przez p. Hensla (śpiewaka), przyjął na siebie dzielny, młody skrzypek, pan Emil Młynarski. Produkcja tego wielce utalentowanego artysty z każdym dniem potężniejszą w kierunku najdodatniejszym; ton staje się coraz cieplejszym, gorętszym, a technika nie cofa się zgola przed trudnościami. Dalszy rozwój tego talentu obudza rzeczywistą ciekawość.»*

KRONIKA WARSZAWSKA.

+ *W Towarzystwie lekarskiem*. Na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego wybrany został na sekretarza stałego po zmarłym prof. *Szokalskim*, prof. *Włodzimierz Brodowski*. Na urząd członka, zarząd. funduszami kasy wsparcia, sprawowany dotąd również przez ś. p. prof. *Szokalskiego*, wybrano d-ra *Jakóba Rogowicza*. Na stanowisko prezesa Towarzystwa wybrany został (59 głosami na 87 głosujących) prof. *Ignacy Baranowski*, który oświadczył, niestety, że z powodu zbyt już licznych zajęć, wyboru przyjąć nie może. Trzykrotne dalsze głosowanie nie dało stanowczego rezultatu, odłożono więc wybory do następnego posiedzenia.

+ *Wydaleni*. Wyrokiem sądu okręgowego warszawskiego za samowolne przebywanie zagranicą, zostały skazane po pozbawieniu praw stanu na wieczne wygnanie z kraju, a wrazie

powrotu na osiedlenie w Syberji, następujące osoby: Walenty Gromadzki, Hubert Kwiatkowski, Michał Kowalski, Ferdynand Idzikowski, Józef Chrusztowski, Karol Brutkowski, Melchior Ciesielski, Józef Wojciechowski, Władysław Tytzt, Franciszek Cichocki, Rafał Kantorowicz, Edmund Emme, Bolesław Kołodziejczyk, Aleksander Reszke i Marcelli Wisłowski.

+ **Wyrok w sprawie emerytalnej.** Warszawska izba sądowa wydała niedawno wyrok w sprawie o emeryturę, wytoczonej przeciw kasie zjednoczenia dla urzędników i służby kolei żelaznej terespolskiej. Powód do sprawy tak wyluszcza «Kur. Codz.». Antoni Wolff, pełniący ostatnią obowiązki naczelnika «depo» w Brześciu, z powodu choroby oczu musiał być uwolniony od służby, przyczem przyznano mu emerytury rs. 337 kop. 50, to jest połowę pensji pobieranej, pomimo iż podług § 17-go ustawy, jako niezdolny do dalszej służby, skutkiem pracy będącej jego obowiązkiem i z uwagi, że wysłużył więcej niż lat 15, miał prawo do całej pensji. Izba sądowa, zgodnie z poprzednim wyrokiem sądu okręgowego, całkowicie pretensję p. Wolffa zasadziła. Obrońca kasy w izbie utrzymywał, iż powód przedewszystkiem winien był pokazać, że był obciążony nadmierną pracą, i że wskutek tego postradał wzrok, wtedy dopiero § 17-ty ustawy mógł być zastosowany; sąd jednakże zapatrywania tego nie podzielił. Ze strony kasy stawał adw. przys. Hoffman, pretensje p. Wolffa popierał adw. przys. Biskupski.

+ **Kanalizacja i wodociągi.** «Praw. Wiestnik» zaznacza, że roboty w dwóch tych zakresach gospodarki miejskiej są już na ukończeniu. Obecnie Warszawa posiada wodę czystą, doskonale przefiltrowaną, a większość stoków nieczystości, dotąd wzdłuż całego brzegu Wisły w obrębie miasta spadająca do wody, odprowadzona została na 4 wiorsty po za miasto. Od roku 1881 miasto posiadał stację z dwoma parowami maszynami, dostarczającą 2,760,000 wiader wody na dobę; stację filtrów na Koszykach, mogącą dać 3,200,000 wiader wody i przechować w zbiorniku 490,000 stóp kub. wody. Rur wodociągowych ułożono stóp 304,200, to jest 87 wiorst. Pozostaje jeszcze do zrobienia mniej niż połowa. Wszystko to jednak nie jest jeszcze wystarczające; na niezbędne dalsze roboty kanalizacyjne i wodociągowe miasto będzie musiało wydać przeszło 4 miliony rs.

+ **Zapis.** Zmarła w początkach grudnia w Meranie Celina z Niemiryczów Bielińska, testamentem zapisała 44,000 rs. na rzecz rozmaitych zakładów dobroczynnych warszawskich. Suma powyższa ma być z woli testatorki tak rozdzieloną: 10,000 rs. dla niezamożnych studentów uniwersytetu warszawskiego wyznania katolickiego, 10,000 rs. dla Towarzystwa dobroczynności, 5,000 dla domu podrzutków i t. d. Wykonawcą testamentu jest redaktor «Słowa», p. M. Godlewski.

+ **Dr. Kazimierz Filipowicz,** lekarz i przyrodnik, zmarł w Siedleach 8 b. m. Po ukończeniu studiów lekarskich w uniwersytecie krakowskim, otrzymał stopień d-ra medycyny w Würzburgu, a następnie w Dorpacie. Osiedlony w Warszawie, przez lat kilka stale pełnił obowiązki pomocnika d-ra Chalubińskiego, następnie przez czas pewien praktykował w Odesie, Brześciu litewskim, a ostatnio w Siedleach. Na wspomnienie zasługuje jego praca na polu nauk przyrodniczych, Kasa Mianowskiego wydała swym kosztem jego pióra «Botanikę», skreśloną na wzór jednego z dzieł botanicznych francuskich.

+ **Zmiany wydawnicze.** Wydawca niewychodzącego już od pewnego czasu «Tygodnika powszechnego», p. Wiktor Czajewski, prawo na wydawanie tego pisma odstąpił p. Stanisławowi Narutowiczowi, rz. stud. kijowskiego uniwersytetu. Dotychczasowy wydawca i redaktor «Niwy», p. Stanisław Ostrowski, odstąpił prawo na wydawanie tego pisma radcy Towarzystwa kredytowego p. Aleksandrowi Klobukowskiemu. Redaktorem zaś «Niwy» został zatwierdzony mag. praw i adm., p. Aleksander Rembowski. Oprócz tych zmian urzędownie stwierdzonych, krąży pogłoska, że p. Józef Kuczyński wydawać ma nowy (jeszcze jeden) tygodnik ilustrowany p. t. «Piękno»...

+ **Powrót.** «Kur. Warsz.» otrzymuje list z Santa-Maria od p. Rogozińskiego, datowany d. 19 listopada r. z. Rogoziński donosi, iż w lutym r. b. zamierza wraz z żoną odbyć podróż do Europy. Pp. R. zaproszeni są do Madrytu, gdzie Hajota wystąpi z odczytem. Ze stolicy Hiszpanji Rogoziński podają do Warszawy, gdzie są spodziewani w marcu.

+ **Nagrodę konkursową** w ilości rs. 600 na konkursie imienia Wojciecha Gersona, przyznano p. Kazimierzowi Alchimowiczowi za obraz «Milda».

LISTY Z PROWINCYI.

Wilno, 1 stycznia.

[Sprzedaż Delatycz włościanom. Kasy oszczędności w Wilnie i na wsi. Wyprzedaż nowego wydania poezji Syrokomli. Tow. opieki nad zwierzętami i projekt lecznicy weterynaryjnej w Wilnie].

□ Do liczby majątków powitgenstejnowskich, przechodzących w ręce włościan, zaliczyć można dobra Delatycze w pow. nowogródzkim. Słychać, że nabyła je spółka z 4 gospodarzy, na warunkach następujących: około 120 włók obszaru, z których 50 włók lasu, zabudowania dworskie murowane, ogrody, park i reszta odpowiednia rezydencji pańskiej, to wszystko za 80 tys. rs., z których 50 tys. pożyczka bank-włościański, a 30 tysięcy daje żydzi za 30 włók lasu. Jestto zatem nabycie bez pieniędzy, pociągające za sobą najczęściej ruinę. Włościanin, jak w danym wypadku, sprzedawszy swój kawał gruntu, przenosi się do dóbr nabytych i otrzymuje czwartą część obszaru, to jest 30 włók ziemi, bez żadnych środków materialnych do prowadzenia gospodarki. Niema ani inwentarza, ani nasion, ani narzędzi, ani gotówki na czeladź i robotnika, co razem wzięte, wymagałoby kapitału nakładowego najmniej 6 tysięcy rs. Odrzuć więc nowi właściciele wpadają w położenie nie tylko nie dające możliwości uiszczania się względem banku, ale po prostu nie pozwalające rozpocząć gospodarki. Po bardzo krótkim panowaniu, wychodzi włościanin z nowego dziedzictwa z torbą żebracza, a bank przyjmuje na siebie mocno zdewastowany majątek ze zniszczonymi budowlami i wyrąbanym lasem. «Now. Wr.» upatruje dość słusznie przyczynę niepowodzenia w nabywaniu ziemi przy pomocy banku włościańskiego w tem, że termin pożyczki 24 $\frac{1}{2}$ i 34 $\frac{1}{2}$ letni jest zakrótki, że 10% na amortyzację jest zawiele, że bank zawięzki płaci procent za swe obligacje, i nareszcie, że 10% zysku, jaki bank pobiera, nie odpowiada również jego zadaniu. Dziś dłużnik banku włościańskiego musi płacić z dziesięciny 7 rs., oprócz podatków i wszelkich innych powinności, takiego zaś dochodu w obecnej chwili włościańska gospodarka nie daje. Zdaniem ludzi, zbliżka na nas patrzących, należałoby przestrzec, aby nabywca posiadał fundusz nakładowy, odpowiadający obszarowi ziemi, którą nabywa. Stawać z gołymi rękami do trzydziestowłokowej gospodarki, jak to ma miejsce w Delatyczach, jestto narażać się dobrowolnie na ruinę. Lekkomysłność podobna w chwytaniu ziemi nad siły wydaje rezultaty, o jakich wspomina «Więstnik Finansów», a mianowicie, że na ogólną sumę pożyczek 46,379,000 rs., przeszły już na własność banku, z powodu niewypłacalności dłużników i bezowocnych licytacji, grunty obciążone 5,708,364 rs. pożyczki, czyli 12 $\frac{1}{2}$ % ziemi, kupionej przez włościan za pośrednictwem banku.

Od sierpnia funkcjonuje w Wilnie druga kasa oszczędności, otwarta przy za-

radzie pocztowym. Operacje nowej kasy, w niczem nie zmniejszające interesów dawniejszej kasy, przy Banku państwowym istniejącej, rozwijają się z dnia na dzień pomyślniej. W obecnej chwili depozyt kasy wynosi około 20 tys. rs., urosłych przeważnie z drobnych wpływów, od 25 kop. do 3 rs. Głównymi klientami kasy są subjecci handlowi i czeladź rzemieślnicza żydowska, najmniej zaś skłonności do oszczędzania okazuje chrześcijańska młodzież rzemieślnicza, która przecie tyleż zarabia co żydzi. Trudno oswoić się nam z myślą, że jest inny użytek z tak lichej kwoty, jak 25 kop., oprócz wypitki w szynku. Powiadają, że i po wsiach bardzo ciężko idzie z kasami oszczędności, potrąsę dlatego, że chłop nie dowierza żadnej publicznej instytucji, powtóre, że pojęcia nie ma, jak to z 25-kopiejkowych składek rośnie kapitalik znaczniejszy. Co niedzielę chłopek nasz przepija w miasteczku kilka złotych, które być może złożyłby do kasy oszczędności, gdyby ta kasa tu pod ręką była i nie odstręczała formalizmem. Kasy oszczędności miałyby zapewne powodzenie, gdyby funkcjonowały w niedziele i święta, zaraz po skończonem nabożeństwie, i gdyby lokale ich mieściły się tuż przy kościołach i cerkwiach, aby lud, dążący ze świątyni do najbliższych szynków, miał zrzeczność pierwszej zająć do kasy.

Wyprzedaż zbioru poezji Syrokomli zwolna się posuwa. Z trzech tysięcy egzemplarzy nowej edycji rozeszło się dotąd w przeciągu 4 miesięcy tylko 800. Nie wiemy, czy taki ruch należy uważać za słaby ze względu na tutejsze stosunki księgarskie, ale niewątpliwie świadczy on niewymownie o miłości ogółu dla zmarłego pieśniarza. Poezje Syrokomli powinnyby znajdować się w każdej rodzinie, jako skarbiec, przelewany z pokolenia na pokolenie.

Na odbytem 21 grudnia zgromadzeniu Towarzystwa opieki nad zwierzętami, weterynarz Charbijewicz poruszył myśl założenia lecznicy dla zwierząt, pod warunkiem leczenia bezpłatnego osobników, przysyłanych przez organa Towarzystwa. Uchwalono projekt Charbijewicza z prośbą jego o subsydjum wziąć pod rozwagę. Zastanowiono się również nad sposobami łatwiejszego uśmiercania psów pojmanych i zwierząt, skazanych wskutek niedołęztwa na zabicie; debatowano nad zaopatrzeniem członków gwizdawkami sygnałowymi, w razie potrzeby przywołania na pomoc policji i t. p. Mówiąc nawiasem, projekt lecznicy weterynaryjnej powinien być wyjść raczej z łona ziemian naszych, gdyż dziwnie pomyśleć, że taki ogromny kraj rolniczy, opierający się w swym procederze rolnym przeważnie na żywym inwentarzu, nie ma ani wolnopraktykujących weterynarzy, ani odpowiedniej instytucji leczniczej. Zkądkolwiek jednak ta pożyteczna myśl wyszła, powinna być poparta przez wszystkie koła zainteresowane ludności miejskiej i rolniczej.

Vester.

Wilno, w grudniu.

[Żydzi i my].

□ Dużo się mówi o solidarności, jaka panuje pomiędzy żydami. Nie ulega wszakże wątpliwości, iż w łonie narodu tego istnieje przeciwnieństwo, tak samo, jak w społeczeństwach chrześcijańskich. Są pomiędzy żydami wolnomyślni i starowiercy, są bogaci i biedni, są wyzyskujący i wyzyskiwani. Za ilustrację poglądu tego służyć może szereg cały faktów, jaki mieliśmy tu do zanotowania z powodu obostrzeń w kontroli nad prowadzącymi wyszynk napojów gorących żydami. Wyszynk

taki dozwolonym będzie tylko żydom właścicielom nieruchomości i jedynie we własnych ich domach. I oto jesteśmy świadkami wyzysku współwyznawców przez takich właścicieli, którzy, zachowując fikcyjnie swe prawa co do wyzysku, odstępają takowe szynkarzom z profesji za olbrzymie stosunkowo sumy. Przejście pomiędzy klasami bogatych i uboższych zarysował się bardzo wyraźnie, a domniemanej solidarności żydowskiej nie widzimy tu śladu.

Ten.

Wolkowyski pow., 20 grudnia.

(Uboństwo nasze. Ś. p. Glazer i jego Duchowlany, jako wzór gospodarstw).

□ Powiat nasz należy pod każdym względem do najuboższych z całej gub. grodzieńskiej; przeważnie lekkie, piaszczyste grunty, brak łąk, żadnych prawie jezior i rzek spławnych, a na koniec nieznaczna przestrzeń lasów, stawia powiat nasz w rzędzie okolic ekonomicznie nierozwiniętych i, co z tego wynika, słabo zaludnionych. Nie mam danych statystycznych, ale jako dawny mieszkaniec kraju, mogę twierdzić niemal na pewno, że ludność tutaj powiększa się bardzo nieznacznie; miasteczka nasze raczej zmniejszają się, niż rosną, wsi nowych nie przybywa, dawne nie rozwijają się wcale, bo podział osad na części jest raczej dowodem wzrastającej niezgody w stosunkach rodzinnych włościan, niż przedłużenia.

Miedzy właścicielami większych posiadłości nie widzimy wcale ilościowego postępu; spostrzega się natomiast coraz więcej luk i opróżnionych posterunków. Każda nowa strata w szeregach tej jedynej prawie inteligencji w kraju naszym wywołuje smutek ogólny.

Jesteśmy właśnie obecnie pod wrażeniem żalu nad mogiłą zmarłego przedwcześnie obywatela, ś. p. Bolesława Glazera, właściciela dóbr Duchowlany, w powiecie naszym położonych. Człowiek ten całe swe życie dawał wzór pracy sumiennej i rozumnej, starając się w niej łączyć zamilowanie zawodu rolniczego z wielką miłością ziemi rodzinnej i społeczeństwa. Przykład podobnej harmonii interesów osobistych i wymaganiami natury ogólniejszej, rzadko się dziś spotyka. W sferze ziemian naszych, zwłaszcza w obecnych, rzeczywiste ciężkich warunkach ekonomicznych, coraz częściej spotykają się «dobrzy gospodarze», ludzie zamilowani w swoim zawodzie, energiczni, czynni, ale za to zupełnie przez zajęcie swoje pochłonięci i traktujący rolnictwo, jako gałąź przemysłu spekulacyjnego; oficjalistów i służących uważają, jako kółka i kółeczka mechanizmu, o których tyle tylko trzeba pamiętać, ażeby obracały się równo i prędko; na włościan zapatrują się, jako na zło konieczne, a że interesy tych ostatnich są wręcz przeciwnie interesom dworu, to słyszymy wciąż o procesach i krzywdach wzajemnych. Duchowlany stanowiły pod tym względem dziwną oazę zgody i spokoju; gospodarstwo wzorowe rozwijało się znakomicie i wszechstronnie przy szczerem przywiązaniu do dzieł oficjalistów, służby i włościan okolicznych. Ś. p. Bolesław szczylił się tem, że przez czas niemal dwudziestoletniej pracy rolniczej nie miał w sądach miejscowych ani jednego procesu. Znaczne wydatki na ciągłe ulepszanie gospodarstwa nie wyczerpały kasy ś. p. Glazera, — umiał on znaleźć środki na wspieranie oficjalistów w kształceniu dzieci, na emerytury i wsparcia dla sług starych lub chorych, na założenie gospody chrześcijańskiej i sklepu porządnego dla włościan, oraz na pomoc doraźną i chętną bliższym i dalszym sąsiadom. To też za trumną zacnego człowieka nie tylko szli krewni, przyjaciele i sąsiedzi-obywatele, ale setki włościan i drobnej szlachty okolicznej, niosące szczerą łzę na świeżą mogiłę.

W. B.

Kijów, 4 stycznia.

Jubileusz prof. Karawajewa. 25-letni zakład fotograf. p. de Mezer'a. Czajkowski w Kijowie i «Dama pikowa». Wybory mekлерów giełdowych. Szczodra ofiara. Niepowodzenie sportsmenów. Dr. Żel. humaniska. Wesole święta. Tombola. Bala. Wyjazd hr. Ignatiewa. Niepowodzenie kamieniczników. Oksana. Pawlak].

□ Już miesiąc upływa prawie od czasu, gdy przesłałem poprzedni list mój do

«Kraju», a miesiąc ten dostarczył kronice życia miejscowego cały szereg zajmujących faktów. Przedewszystkiem zanotować należy obchód uroczysty pięćdziesięcioletniej rocznicy zawodu profesorskiego znanego chirurga Karawajewa, jaki się odbył w pierwszych dniach grudnia. Gratulacje i uczty składkowe na cześć jubilat trwały kilka dni zrzędu. Wyniesiony reskryptem Monarszym do godności rzeczywistego tajnego radcy stanu, dr. Karawajew w dniu swego jubileuszu otrzymał również zawiadomienie o zaliczeniu go do liczby członków honorowych petersburskiej akademii medycznej i rozmaitych uniwersytetów, tak krajowych, jak i zagranicznych. W liczbie wielu deputacji gratulacyjnych było w oczy swą nieobecnością przedstawicielstwo uniwersytetu miejscowego, a jeszcze więcej jego wydziału medycznego, na którego sławę w swoim czasie do współki ze ś. p. Pirogowem pracował dr. Karawajew. Dysonans ten, wobec ogólnego uznania zasług jubilat w kraju i zagranicą, wobec sankcji reskryptu Najwyższego, — przypisują panującym obecnie w sferach uniwersyteckich prądom, z którymi dr. Karawajew nie tylko się nie solidaryzował, lecz przeciwnie, niejednokrotnie stawał względem nich w opozycji otwartej.

Wobec wspaniałości jubileuszu prof. Karawajewa skromnie się zarysowuje odbyty w szczipie kole obchód 25-letniej rocznicy istnienia zakładu fotograficznego pana de Mezer'a, należącego, wspólnie z takimże zakładem p. W. Wysockiego, do najlepszych w kraju. Wzmiankę powyższą robimy wobec powszechnego tu uznania gorliwych dążeń p. de Mezer'a do coraz szerszego rozwoju swojej sztuki fotograficznej.

Świat muzyczny w ubiegłym miesiącu doznał także wzruszeń niezwykłych, spowodowanych przybyciem do Kijowa pana Czajkowskiego. Znany ten kompozytor przyjeżdżał dla wystawienia w swej obecności na scenie teatru miejscowego nowej opery «Damy pikowej», libretto której wysnuto ze znanej powiastki Puszkina, tenże tytuł noszącej. Kilka przedstawień «Damy pikowej» odbyło się z wielkim powodzeniem wobec przepełnionej przez miejscową śmietankę towarzyską i artystyczną sali teatralnej.

Za zezwoleniem władz odnośnych liczba mekлерów przysięgłych giełdy kijowskiej, wynosząca dotąd 10 osób, została zwiększoną niedawno jeszcze o 5. Na dokonanych wskutek tego w połowie grudnia wyborach obrano 6 nowych mekлерów giełdowych (jednego w zastępstwie zmarłego, 5 na nowe wakanse i jednego kandydata); nazwiska nowoobranych następują: hr. Michał Lubieński, pp. Borszczewski, Horowitz, Treskow, Czajhański, Szper i Rechberg. Ze zwiększenia liczby mekлерów giełdowych sędzić należy o wzrastających z każdym rokiem obrotach handlowych Kijowa, w których rolę przeważną odgrywają spekulacje mączką cukrową i rafinadą.

Znany magnat i filantrop miejscowy, p. Tereszczenko, ofiarował w tych dniach miastu 75,000 rs. na urządzenie szpitala dla robotników. W szczodrych ofiarach pana Tereszczenko czerpie dobroczynność miejscowa swe główne zasoby.

Święta minęły spokojnie, wśród przepełnionych publicznością teatrów i innych wspólnych rozrywek. Tombola, urządzona w sali klubu kupieckiego przez panią generał-gubernatorową na rzecz instytucji dobroczynnych, przyniosła 14,000 rs. czystego zysku. Szereg balów świątecznych

rozpoczął się od świetnej zabawy na drugi dzień świąt Bożego Narodzenia u hrabiostwa Ignatiewych, urozmaiconej żywymi obrazami, urządzonemi pod kierownictwem znanego artysty-malarza pana Prachowa, i przedstawieniem amatorskiem, w którym brała udział młodzież miejscowego towarzystwa ruskiego, jak np. ks. Trubeccy, ks. Druckij-Sokolnickij, hr. de Balmen, hr. Adam Rzewuski i inni. W czasie antraktu oficer Wiszniewskij przetańczył solo «kamarińskuju», przybrany w odpowiedni strój wielkoruckiego chłopca. Z balów publicznych wyróżniał się przepychem urządzania, wydany 3 z. m. w sali klubu kupieckiego, bal «inżynierski». Bal ten, pod względem ożywienia towarzyskiego i świetnych toalet, przeszedł wszelkie oczekiwania; brało w nim udział i kilka pań z towarzystwa polskiego.

Z wydarzeń po za obrębem zabaw, świątecznym podnieconym nastrojem, zasługuje na wzmiankę odjazd JE. p. generał-gubernatora do Petersburga w sprawach służbowych. Do spraw tych, jak wieść niesie, zaliczyć można projekt nowych obostrzeń co do pobytu starozakonnych w prowincjach południowo-zachodnich. Obostrzenia te, zastosowane do Kijowa, wywołują w radzie miejskiej utyskiwania ogólne na upadek dochodu z nieruchomości miejskiej; zaznaczyć przytem można gwałtowną dążność do wyprzedazy domów i ustanie ruchu budowlanego. Można napotkać dziś całe ulice, przy których wszystkie domy są do sprzedania.

Na półkach księgarskich ukazał się na gwiazdkę nowy utwór p. Włodz. Wysockiego p. t. «Oksana». Część pierwsza poematu tego była już drukowaną w jednym z tygodników warszawskich, część druga zaś ukazała się dopiero tutaj w całkowitem wydaniu. «Oksanę» autor nazwał szkicem sielankowym, — ciekawy jednak czytelnik z łatwością odnajdzie w nowym poemacie p. Wysockiego coś więcej, niż zwykłą sielankę.

Znany zbój Pawlak przeniósł się z Królestwa na Podole, ukazuje się wciąż pod rozmaitemi postaciami i płata rozmaite figle. W Derażni oszukał miejscowego proboszcza, zjawiwszy się z poleceniem od znajomego księdza z Królestwa; w Płoskirowie odebrał paszport od najętego dla siebie kucharza, którego wyprawił rzekomo do dóbr swoich; w Tynnej poprostu ukradł konie i sanki od wiozącego go furmana; w Kiszyniowie nareszcie oświadczył się o rękę posażnej jedynaczki. Na czas «kontraktów» przyjedzie prawdopodobnie do Kijowa szukać powodzenia u tutejszych panien na wydaniu; niech się więc strzegą lekkomyślnie lokować swe uczucia podczas zbliżającego się karnawału.

Miasto nasze stało się fatalnem dla sportsmenów z gatunku popularnego sotka Pieszkowa. Tak, niejaki Bałabucha, wybrawszy się w podróż pieszą naokoło świata, umarł niedawno w Kijowie, prawie na początku zamierzonej podróży. Następnie nowy okaz tegoż rodzaju rycerza, niejaki p. Ennatskij, jadący własną trójką koni z Samary do Paryża, w przejeździe przez Kijów został uniesiony przez konie, wyrzucił się, srodze potłukł; dopiero, spędziwszy tydzień w łóżku, znalazł się w możności wyruszenia w dalszą drogę.

D. 18 z. m. otwarto nareszcie linję budującej się drogi humaniskiej Koziatyn—Human; wielka ztąd radość całej okolicy, a kijowianie wybierają się «na Piotra» do sławnej humaniskiej «Zofjówki».

M. Trzaska.

Uszycki pow., w styczniu.

[Mrozy. Sprzedaż majątków ziemskich. Emigracja żydowska].

□ Od połowy listopada siarczyste doskwierać zaczęły nam mrozy przy obfitych śniegach. Drzewo opałowe w resztkach, zaprzędanych żydom naddniestrzańskich lasów, silnie podrożało, i na zastój w handlu drzewnym, przynajmniej w czasie srożej zimy, uskarżać się nikt nie może. Za sześń dres opałowych płacimy w chwili obecnej po rs. 14—cenę, przed paru laty jeszcze w okolicy naszej niepraktykowana.

Za niespełna tysiąc rs. zaległej Kijowskiemu bankowi ziemskiemu raty sprzedano z licytacji za 80,000 rs. piękny naddniestrzański majątek Subocz z przyległościami, p. Kazimierza Darowskiego. Sprzedaż ta wraz z poprzednią sprzedają dóbr p. Makowieckiego, wielką szczerbę zrobiła w pozostałej w powiecie większej własności ziemskiej dawnych obywateli. Nie należy myśleć, iżby losowi takiemu podpadali wyłącznie właściciele polacy. Kryzys w handlu zbożowym dotyka i nowych nabywców. Hrabina Lüders, córka b. namiestnika Królestwa polskiego, stara się już od paru miesięcy o utworzenie spółki włościańskiej na kupno przed laty 20 nabytej przez jej ojca od hr. Szembeka wioski Nefedowicz z przyległościami, przeszło 2,000 dzies. ornego pola i lasu, ale z powodu ogólnej biedy, która i włościanom na kresach naszych daje się we znaki, spółka ta nie mogła się zawiązać. Słyszałem, że traktuje obecnie o kupno Nefedowca jeden z miejscowych parochów wiejskich, zasobny podobno w pokątną gotówkę. Podobno p. Lüdersowa w braku kupujących zmuszoną będzie przystać na twarde, przez parocha jej stawiane warunki, i Nefedowicz w krótkim czasie przejdzie na własność nowego (z rzędu 3-go przez lat 20-cia) nabywcy. Sędzia pokoju p. Rezwow nabył również przed laty 20 majątek ziemski w okolicy naszej, i pomimo 2,600 rs. rocznej gaży i dochodów z majątku, zmuszony był obecnie część tego majątku sprzedać spółce włościańskiej. Miasteczka naszego naddniestrza zaczynają się wyludniać wskutek emigracji żydowskiej do Ameryki. W bieżącym miesiącu wyjechało do Ameryki z dwóch tylko miasteczek — Studzienicy i Kijajroda, ośm rodzin żydowskich. Przeważnie wyjeżdżają zasobni w gotówkę żydzi.

K. S.

Jekaterynosławska gub., w styczniu.

[Dodatnie objawy; morderstwo; smutne rozmyślania].

□ Kółka nasze na Zaporozu zaczynają powoli tracić charakter tymczasowości. Od pół roku przeszło katolicy w Kamińskiem utrzymują z drobnych składek księdza i dom modlitwy. Ewangelicy uzyskali pozwolenie na otwarcie własnej szkoły, którą utrzymują także ze składek, zbieranych pomiędzy sobą. Drugą szkołę założyła panna B. Redakcja jednego z najbardziej rozpowszechnionych pism wysyła znaczną liczbę egzemplarzy dla robotników tutejszych za połowę ceny. Oprócz dodatnich objawów, mamy do zanotowania i szereg smutnych wypadków z życia naszego. Przed samymi świętami jeden z robotników tutejszej fabryki — człowiek stosunkowo inteligentny — Czesław Boduchowski, wracając z restauracji o godzinie 10-ej wieczorem, został napadnięty i mocno pokaleczony, wskutek czego tejże nocy skonał. Wymieniamy nazwisko nieszczęśliwej ofiary, gdyż, jak nam wiadomo, B. w Kamińskiem zamieszkał niebawem dawno i nikogo z bliskich tu nie miał, w Warszawie zaś podobno ma krewnych.

Drugi robotnik — kowal S., usnął w stanie nietrzeźwym na drodze; ktoś zdjął z niego ubranie, skutkiem czego S. poodmrażał ręce i nogi; po dokonanej zaś operacji, w kilka dni umarł. Wogóle bezpieczeństwo publiczne pozostawia tu wiele do życzenia. Oprócz smutnych wypadków śmierci, nie brak i skandalicznych, o których wolimy zamilczeć.

Jesteśmy wszędzie, na każdym miejscu, niepoprawni, dzielimy się bowiem zawsze na kółka i kółeczka towarzyskie, między którymi jakiejś szerszej spójni napróżnobyśmy szukali. Nie mogliśmy się zdobyć nawet na wspólną choinkę na święta dla dzieci naszych, któ-

rych tu, mówiąc nawiasem, jest spora groładka.

H. L.

Żytomierz, w styczniu.

[Niedogodności nowej żwirówki].

□ Północno-zachodnia część powiatu żytomierskiego, oddzielona od miasta gubernialnego doliną rzeki Teterewa, łączyła się z niem dotąd za pomocą mostu drewnianego na starym trakcie. Gdy żwirówkę z Berdyczowa do Żytomierza zbudowano, administracja drogową sprzedała skasowany most dawny, zmuszając w ten sposób mieszkańców Zatterewia do odbywania dalszej o wiorst pięć drogi dla dostania się do Żytomierza. Zważywszy, że w mieście tem koncentruje się handel zbożowy naszych okolic, i że za Teterewem położona część powiatu obfituje w młyny, a zarząd żwirówki każe sobie płacić za przejazd po moście 10 kop. od konia — młynarstwo nasze ponosi straty znaczne, bo około 1 1/2 kop. na pudzie, zmniejszenie którego kosztuje 3 kop. Obecnie wprawdzie korzystamy z mostu, jaki nam zima w postaci lodu na rzece zbudowała, z wiosną wszakże będziemy zmuszeni przyjąć z drogiego trochę dobrodziejstwa żwirówki.

Y.

Wilno.

□ Całe miasto, jak pisał «Nowosti», mówi o spadku, wynoszącym 35 milionów dolarów, który przed rokiem «wujaszek z Ameryki» zapisał swym krewnym. Po długim poszukiwaniu znaleziono dwóch spadkobierców testatora, dwóch braci Górwiczów. Losy zmarłego miljonera są bardzo ciekawe. Przed 60 laty Gurwicz, jak opowiadają «Nowosti», opuścił Wilno i udał się do Anglii. Tutaj piętnastoletniego chłopca spotkał jakiś jegomość i zaopiekował się nim. Po ukończeniu szkół i uniwersytetu, młodzienc, dzięki wielkim zdolnościom, otrzymał stopień doktora medycyny. Akurat wówczas zmarł jego dobroczyńca. Spadkobiercy jego nie podzieliłi widać zapatrywać zmarłego, gdyż młodego doktora poproszono wyrzucić za drzwi. Wówczas Gurwicz udał się do S. Francisco, gdzie przebył do końca życia. Praktyka dała mu miliony, z których część ofiarował na cel dobroczynne.

Kijów, w styczniu.

□ Kapitalista tutejszy, niejaki p. T., oświadczył się z gotowością ofiarować 75,000 rs. na założenie szpitala dla robotników. W tych dniach zarząd miasta zajął się sprawą wyszukania źródła dochodu na utrzymanie projektowanego szpitala. Ofiara p. T. wystarczy na wzniesienie budynku, lecz corocznie na utrzymanie szpitala potrzeba będzie jeszcze 12,000 rs. Szpital ma posiadać 60 łóżek. Pisma warszawskie donoszą, iż projekt otwarcia w Kijowie podczas kontraktów wystawy obrazów w ostatniej chwili upadł. Inicjator wystawy, p. Eugeniusz Wrzeszcz, uwiadomił o tem w dniu wczorajszym agenturę artystyczną p. Fr. Reinsteina.

Odesa.

□ Zarząd miasta, jak donoszą do «Grażdanina», postanowił *in corpore* z chorągwią miasta wystąpić na pogrzebie arcybiskupa Nikanora. «Nowoje Wremia» z podziwem powtórza podaną przez «Grażdanina» wiadomość, że chorągiew poruczone... żydowi, p. Rosenowi! A więc z liczby 480 członków chrześcijan nie znalazł się ani jeden, któryby w procesji pogrzebowej przedstawiciela cerkwi prawosławnej zechciał zastąpić p. «Rosena». Tak pisze «Grażdanin». Można by wszakże odwrócić tę wiadomość i ująć w niej dowód, jak wielką popularność posiadał zmarły dostojnik kościelny nawet wśród żydów.

ROZMAITOŚCI.

□ Według urzędowych statystycznych wiadomości niemieckich, w r. 1890 z Bremem odpłynęło 140,000 emigrantów, t. j. o 37,000 więcej aniżeli w r. 1889; z Hamburga — 103,000. (w r. 1889 tylko 74,000). Do Brazylii przez Bremen w r. 1890 odpłynęło 32,000 (w r. 1889 tylko 2,000).

□ Zniewolony uprzejmem pismem ministra oświaty dra Gautscha, mistrz Matejko zaniechał zamiaru ustąpienia z posady dyrektora szkoły sztuk pięknych w Krakowie. Od pana namiestnika otrzymał on następujące za to podziękowanie: «Jasnie Wielmożny Panie! Jego Ekscelencja pan minister wyznał i oświaty polecił mi reskryptem z dnia 28 grudnia 1890 r., l. 25950, wyrazić Jasnie Wielmożnemu Panu swoje najszersze podziękowanie za gotowość, z jaką JWPan na żądanie J. E. pana ministra postanowił

pozostać nadal na posadzie dyrektora szkoły sztuk pięknych. Wywiązując się z przyjemnością z powyższego wysokiego polecenia, mam zaszczyt dołączyć także moje podziękowanie dla J. W. Pana, za chętnie ofiarowanie usług tej tak doniosłej instytucji krajowej. Przy tej sposobności proszę przyjąć wyrazy i t. d. Lwów dnia 8 stycznia 1891 r. *Badeni m. p.*»

□ Prof. Koch nadesłał na ręce p. rady, dra Zielewicza w Poznaniu, następujące podziękowanie za adres, przesłany mu przez pp. lekarzy w czasie uroczystości jubileuszowej sekcji lekarskiej Towarzystwa przyjaciół nauk: «Wiele Szanowny Kolego! Wielką przyjemność sprawił mi adres sekcji lekarskiej Towarzystwa przyjaciół nauk. Uznanie tejże sekcji uważam sobie za wielki zaszczyt, o tyle większy, że pochodzi z tej prowincji, w której mi było danem rozpocząć pracę, będącą podstawą moich późniejszych badań — a tym sposobem prowincja ta stała się niejako moją drugą ojczyzną. Szanownemu Towarzystwu niechaj mi wolno będzie za ten zaszczyt serdecznie podziękować. Z wysokim szacunkiem R. Koch».

□ «Nenes Wrem. Tagblatt» donosi o jakimś Jakobie Kołonie, synu właściciela młyna w Zawkowie, w Królewiecie, który w r. 1888 dostał się pieszo przez Ural do Jekaterynburga, a stąd przez Petersburg na okęcie do Sztokholmu. Nigdzie nie mogąc znaleźć spokoju, był następnie w Kopenhadze, Hamburgu, Berlinie i wreszcie dostał się do Paryża. Tu brakło mu zupełnie środków do życia i rząd francuski odstawił go do granicy belgijskiej. Puścił się następnie do Holandji, a obecnie przybył pieszo z Kolonii do Wiednia; droga ta atoli zupełnie wyczerpała jego siły. «Tagblatt» odzywa się do dobroczynności publicznej.

□ P. de Kératry, jak donosi «Figaro», powrócił do Paryża ze Stanów Zjednoczonych, dokąd jeździł w celu zawarcia traktatu w sprawie własności literackiej, dramatycznej i artystycznej dwóch państw. P. de Kératry umiał sobie pozyskać sympatię rządu i większość izby. Wkrótce p. Kératry uda się do Rosji w takiej samej misji.

□ Hrabina Gołuchowska, żona p. austryackiego w Bukareszcie, jak donosi «Figaro», zachorowała niebezpiecznie na tyfus. Ks. Murat, na pierwszą wieść o chorobie córki, udał się do Bukaresztu.

PRAWO I SĄDY.

Z sądów.

◆ Donoszą z Moskwy, że w d. 3 stycznia izba sądowa wydała wyrok w sprawie banku *Saratowsko-symbirskiego*. Sergiusz Borisow skazany został na pozbawienie praw i zesłanie do gub. irkuckiej; Jakunin, Kowalenkow, Iwan Borisow i Bok zostali uniewinnieni. Poszukiwanie cywilne sąd przyznał. Bank ma spłacić 1,128,011 rubli 24 kop. Izba sądowa rozkazała Borisowa zapisać w więzieniu do czasu przedstawienia kaucji, wynoszącej przeszło 1 1/2 miliona rs.

◆ Wileński sąd okręgowy rozstrząsał w tych dniach sprawę o rozbicie pociągu pasażerskiego w październiku roku 1888 na stacji «Wilejka» drogi żelaznej libawo-romeńskiej. Winni: wekslowy Pietkiewicz i jego zastępca Drabowin, zostali skazani: pierwszy na 16, drugi na 12 miesięcy więzienia.

◆ Sąd okręgowy kijowski na ostatniej sesji w Skwirze, rozpatrywał, między innymi, ciekawą sprawę. W lecie r. z. parobcy, pasący woły, zasnęli. Skorzystali z tego złodzieje i woły uprowadzili. Parobcy, przebudziwszy się, natychmiast zawiadomili wieś o wypadku; poczęto poszukiwać złodziei w kierunkach rozmaitych. Wkrótce złapano ich rzeczywiście, lecz złodzieje dobrowolnie łupu oddać nie chcieli. Wywiązali się ząd bójką, w której jeden ze złodziei został zabitym, trzech inni związani i oddani władzy. Sąd, jednych miał karać za kradzież, drugich — za zabójstwo. Uznano ich za działających pod wpływem afektu i uwolniono od odpowiedzialności; złodzieiów skazano do rot arezszankich na lat 3 i 6 miesięcy.

◆ P. L. Szarmut z gub. grodzieńskiej zawiadził w tych dniach 19-letnią córkę swoją do Berlina w celu leczenia jej metodą Kocha. Chorą umieszczono w domu zdrowia pani Feldner, cieszącej się jaknajlepszą opinią. Ugoda stanęła, że za 30 dni p. Szarmut zapłaci 1,200 marek, które wniósł zgóry i wrócił do domu. W kilka dni pani Feldner nadesłała list, domagający się jeszcze 300 marek. Wywołało to sprawę sądową, której skutkiem był wyrok, skazujący panią F. na zwrot 520 m. i 100 marek kosztów sądowych. Chorą opiekowano się najfatalniej, tak że ojciec natychmiast musiał ją przewieźć do Mentony.

KURJER KOSCIELNY.

Z Watykanu.

.. Z Rzymu donoszą do „Polit. Corr.”, że rokowania między Watykanem a rządem ruskim nie postępują naprzód. W dyplomatycznych kołach utrzymują, iż francuski ambasador przy stolicy św. br. Lefebvre de Behaine podjął gorliwe zabiegi w celu przyprowadzenia do skutku porozumienia między obudwu stronami, lub przynajmniej zapobieżenia zupełnemu zerwaniu rokowań.

.. Nieprzyjazne stolicy apostolskiej dzienniki włoskie donoszą, że niebawem ma nastąpić zupełna zmiana w otoczeniu papieża i w gospodarcze jego pieniężnej. Papież ma być niezadowolony, że wiadomości o tem, co się w pałacach papieżkich mówi i dzieje, dostają się do dzienników liberalnych wskutek niedyskrecji służby. Z tego powodu zamierzono oddalić z Watykanu wszystkich włosków, w ich zaś miejsce przyjąć cudzoziemców; nadto, z powodów oszczędności, skład służby ma być o 37 osób zmniejszony. Dziennik „Roma” maluje finansowe położenie Watykanu w najczarniejszych barwach; miał on na papierach włoskich ponieść milionowe straty. Wszystkie te wieści wymagają bardzo znacznej kaucej; są albo przesolone, albo też i całkiem wymyślone w celu dyskredytowania najbliższego otoczenia ojca św.

.. „Kur. Pozn.” donosi, że „wskutek dorezonego w d. 18 grudnia zeszłego roku ojcu św., a obydwóch archidiecezji polskich w Prusach, świętopietrza w sumie 25,000 franków, kardynał sekretarz stanu Rampolla przesłał podziękowanie wraz z błogosławieństwem papieżkiem”.

.. Gazeta rzymska „Moniteur de Rome” donosi, że pośrednictwo papieża w sprawie zatargu Portugalji z państwem Kongo ma charakter sądu polubownego; obie strony zgodziły się bezwarunkowo na wyrok papieża.

.. Dzienniki petersburskie poruszyły znowu o okoliczności nowego roku sprawę rokowań rządu ruskiego z Watykanem w przedmiocie osadzenia niektórych katedr biskupich w Polsce, utrzymując, że lubo zaszyły pewne trudności, istnieją jednakże nadzieje, że, dzięki pośrednictwu rządu francuskiego, wszystko będzie załatwione ku wiośnie, gdyż w miesiącu marcu naznaczone zostało zebranie konsystorza. Wiadomość tę pisma ruskie zaczerpnęły z medjolańskiego organu klerykalnego „Lega Lombarda”.

.. Telegramy z Rzymu donoszą, że papież zezwolił udzielać informacji tylko zagranicznym korespondentom, włoscy — pozbawieni zostali tego prawa, jako nadużywający często zaufania Kurji.

.. Rnski pełnomocnik w Watykanie p. Izwołskij — jak donosi paryżski „Temps” — wyjechał do Petersburga, celem zasięgnięcia ustnych instrukcyj co do pertraktacji z Watykanem, a głównie co do ncmiacji arcybiskupa mohylowskiego.

Wiadomości krajowe.

.. W Nrze 3 „Przegl. Katol.” piszą: „Jego Nac. ks. Antoni Awdziejewicz, biskup wileński, który dnia 19 (31) grudnia r. z. wyjechał z Petersburga do Wilna, w ciągu ostatnich dwóch tygodni swego pobytu w Petersburgu cztery razy udzielał święceń różnym stopni wychowania akademii duchownej i seminarjum metropolitalnego mohylowskiego. Wyświęconych zostało 7 alumnów akademii na subdyakonów, 5 na diakonów i 2 na kapłanów. Nadto czterech alumnów otrzymało IV mniejsze święcenia. Święcenia kapłańskie otrzymali dnia 8 (20) grudnia alumn, kończący w tym roku akademię: Diakon Antoni Szlagowski, z archidiecezji warszawskiej i diakon Zygmunt Fijałkowski, z diecezji płockiej. Z alumnów seminarjum przyjęło IV mniejsze święcenia 44, subdyakoniat i diakonat 10.”

.. W rożdiestwińskim kościele diecezji tyraspolskiej, dek. tyfliskiego, na Kaukazie, za pozwoleniem p. ministra spraw wewnętrznych, została niedawno przyjęta z protestantyzmu na łono kościoła katolickiego przez J. Eksk. księdza Zerra, biskupa tyraspolskiego, p. Elżbieta Pauser. Po odmówieniu uroczystego Credo, była ona sub conditione ochrzczona przez ks. Ignacego Mickiewicza, proboszcza stawropolskiego. („Przegl. Kat.”).

.. „Przegl. Kat.” donosi, że wiadomość, podana przez niektóre dzienniki warszawskie, jakoby biskup wileński wyjechał do swej diecezji tylko na święta Bożego Narodzenia, z zamiarem po nowym roku znowu powrócenia do Petersburga, jest zupełnie bezasadna, gdyż Jego Ekscelencja ważniejszą sprawę swej diecezji pomyślnie w Petersburgu załatwił, a przytem zdrowie odzyskał zupełne, i wyjeżdżając, wcale nie miał zamiaru wracać do stolicy państwa.

Wiadomości zagraniczne.

.. Biskup Strossmayer odwiedził niedawno nuncjusza papieżkiego w Wiedniu, celem zasięgnięcia wiadomości o naturze obwinień, obciążających kardynała Michałowicza. Jak wiadomo kardynał ten jest kreaturą rządu madjarskiego i żadnych bliższych stosunków ani z narodową partją chorwacką, ani z biskupem Strossmayerem nie miał.

.. Wydany został w Poznaniu okólnik do duchowieństwa, ostrzegający przed wychodzącą w języku polskim w Berlinie socjalistyczną gazetą robotniczą. Okólnik, podpisany przez wikariuszów kapituły, księży Likowskiego i Krausa, zachęca duchowieństwo do popierania i tworzenia stowarzyszeń robotniczej katolickiej ludności, głównie w Poznaniu, Gnieźnie, Ostrowie i Inowrocławiu.

.. Ciekawy fakt misjonarstwa polskiego podaje „Słowo” warsz. Już przed dwoma miesiącami wspominało ono o wychodzącym w Natalu, w krainie Kafirów, w opactwie Marianhill, piśmie polskim pod tytułem „List św. Józefa”. Obecnie dowiaduje się, że oprócz tego pismka, liczącego pięć lat istnienia, wychodzi tam już od lat sześciu drugie, o połowę od niego większe, p. t.: „Niezapominajki”, wydawane przez misję oo. trapistów, pomiędzy którymi znajduje się około 50 osób, pochodzących z Górnego Szlązka, więc zaliczających się do narodowości polskiej.

.. Telegram z Rzymu do „Metzer Presse” zawiadomił, że dr. Fritzen został mianowany na biskupstwo strasburskie, zaś proboszcz katedralny Marbach na wikariat biskupi. Gdyby wiadomość ta potwierdziła się urzędowo, położylaby ona nareszcie kres pogłoskom o popieraniu przez rząd pruski na katedrę strasburską księdza Radziwiłła.

.. B. biskup wileński, ks. Hryniewiecki — jak donoszą „Sław. Izwiestja” — osiedlił się na stałe w Czerniowcach na Bukowinie. Tamże od pewnego czasu mieszka i b. biskup warszawski, ks. Feliński.

.. „Saale Ztg.” donosi „z bardzo pewnego źródła”, jak zapewnia, że ksiądz-biskup wrocławski, ks. dr. Kopp, zarządził względem wielu polskich duchownych na Górnym Szlązku jako i w diasporze dyscyplinarne środki, ponieważ księża ci częścią otwarcie, częścią skrycie w najskrajniejszy sposób występowali przeciwko jego okólnikowi, dotyczącemu nauki szkolnej na Górnym Szlązku. Ten sam dziennik dodaje dalej, że „przeciwko wszystkim takim burzliwym żywiołom pośród duchowieństwa djecejalnego władza biskupia występować będzie z bezwzględna energją. We Wrocławiu żywią nadzieję, że w ten sposób władza kościelna ubezwładni raz nazawsze narodowo-polityczną frondę, z którą walczyć musi biskup”. Podajemy tę wiadomość — pisze „Kur. Pozn.” — z wszelkiem zastrzeżeniem — i oczekujemy w tej sprawie bliższych wyjaśnień.

.. Jak donosi wiedeńska „Neue Fr. Presse” w czasie ostatniego widzenia się kanclerza Caprivego z wodzem partji centrum Windthorstem, mówiono nietylko o zwroceniu zatrzymanej pensji biskupów i księży katolickich, ale o zwroceniu t. z. funduszu gwelfów.

KURJER SZKOLNY.

Wiadomości krajowe.

.. Na zjeździe lekarzy w Moskwie, w szeregu wielu innych spraw, jedno z pierwszych miejsc zajęła kwestja założenia przy uniwersytetach ruskich specjalnego wydziału medycyny sądowej. Dotąd, jak wiadomo, w Rosji lekarze nie kształcą się w tym kierunku na specjalistów.

.. Projekt nowej ustawy miejskiej, jak donosi „Now. Wrem.”, ostatecznie już został wykończony i wkrótce zostanie wniesiony do rady państwa, która go wkrótce ma rozpatrzyć.

.. Zarząd towarzystwa pomocy inżynierów-technologów, jak donoszą „Nowosti”, postanowił wnieść do władz wyższych, prośbę, mającą na celu wyjaśnienie niejasności dotąd kwestji, z jakich praw służbowych mają korzystać technolodzy. Dotąd bowiem, wiele technologów na służbie państwowej, nie wiadomo dla czego nie korzysta ze wszystkich praw, nie otrzymuje rang, traci prawo na emeryturę i t. p.

Wiadomości zagraniczne.

.. We Lwowie, w dniu 8 stycznia b. m. zmarł prof. fizyki (w ostatnim roku rektor uniwersytetu), dr. Tomasz Stanecki. Z jego zgonem otwiera się katedra, na którą ze wszystkich kandydatów najwięcej bezwątpienia kwalifikacyi naukowych przedstawia dr. Władysław Natanson, autor „Wstępu do fizyki teoretycznej”, dzieła olbrzymiej wartości. „Kraj” zamieścił z tego dzieła sprawozdanie prof. Witkowskiego, w 49 numerze zeszłorocznego swego „Przegl. Litet.”.

.. Studenci słowiańscy w Wiedniu, jak donoszą do „Nowoje Wremia”, ogłosili wezwanie

do wszystkich studentów słowian, ażeby zjechali się na zjazd do Wiednia, w celu omówienia sprawy wystawy prowincjonalnej czeskiej.

.. Na budowę nowych szkół ludowych niemieckich w Prusach Zachodnich, Wielkiem Księstwie poznańskim i regencyjnym obwodzie opolskim, wyznaczony został nowy fundusz w wysokości 500,000 m.

EKONOMISTA.

Z TOW. PRZEM. I HANDLU.

I.

Przed tygodniem członkowie sekcji przemysłu rolnego w Towarzystwie popierania przemysłu i handlu zebrali się na sesję miesięczną bardzo nieliczną. Obradom przewodniczył radca Aleksander Kłobukowski. Zaraz na wstępie poruszono sprawę prenumerowania pism ruskich, francuskich i niemieckich. Po wybraniu pism, według wskazówek obecnego na zebraniu p. Emila Godlewskiego, profesora z Dublan, postanowiono układać z nich krótkie sprawozdania miesięczne. Na referentów uproszono: pp. St. Rewieńskiego, L. Górskiego (syna) i M. Natansona. Po załatwieniu tej kwestji p. G. Plewako miał odczytać: „Jak dźwigać majątki dewastowane?”. Ostateczny wynik obszernej tej pracy da się streścić w następujących ogólnych słowach: za zasadę gospodarki w zdewastowanych majątkach, zdaniem referenta, należy przyjąć taki system gospodarowania, przy którym cena sprzedaży pólów pokrywa całkowicie koszt produkcji, a wkłady w ziemię nie powinny przewyższać ceny, za jaką może być sprzedana. Po krótkich debatach, zgromadzeni postanowili referat p. Plewako oddać do rozpoznania szczegółowego delegacji sobieszyńskiej.

P. Kłobukowski oświadczył, że autor projektu Towarzystwa mycia i sortowania wełny, p. Moraczewski, zebrał odpowiednie dane w tej sprawie i pragnie je oddać pod opinję osób kompetentnych. Sekcja na skutek tego oświadczenia wyznaczyła delegację, złożoną z osób kompetentnych. P. Jeziorański odczytał bardzo ciekawy referat o emigracji do Brazylii. Z tego referatu dowiadujemy się, że gorączka emigracyjna grasowała najsilniej w pow. słupskim i konińskim gub. kaliskiej, w nieszwaskim i wrocławskim w gub. warszawskiej, w całej prawie gub. płockiej i w pow. mazowieckim gub. łomżyńskiej. Z ludności wiejskiej $\frac{1}{10}$ stanowią wyrobnicy, a posiadający własne gospodarstwa stanowią najwyżej 3—4% ogólnej liczby wychodźców. Do przyczyn emigracji p. Jeziorański zalicza: 1) zniżenie zarobków; 2) przykład, a niektóre są nawet bardzo wymowne, choćby ten, że na pocztę w Biezinu przychodzi rocznie 47,000 rs. od wychodźców dla ich krewnych; 3) „ciarachy”, t. j. ci, którzy po zrzuconiu sukmany i przywdzianiu tużurka niezadowolonych koła powiększają, i 4) ciemnota ludu.

II.

W d. 3 (15) b. m. na odbytem w Warszawie zebraniu członków sekcji rzemieślniczej Tow. popierania przem. i handlu, odczytał najpierw rzecz swą p. Władysław Leppert o przemysle lakierniczym. Następnie powrócono do sprawy zorganizowania pomocy lekarskiej dla rzemieślników warsztatowych. Przypomniano wniosek p. Keppego, dalej odczytano projekt Towarzystwa ubezpieczeń od wypadków d-ra Ludwika Natansona i projekt jednego z rzemieślników, dążący do współdziałania cechów w kierunku wzajemnej pomocy dla zabezpieczenia losu rzemieślników. Ten ostatni projekt słusznie bardzo przewodniczący, p. Aleksander Makowiecki, uważał za bardzo dodatni objaw i dowód potrzeby podobnego stowarzyszenia. Głównym, jak się zdaje, szkopułem jest tu trudność skłonienia wszystkich do obowiązkowego należenia do stowarzyszenia. Dlatego też projekt d-ra Natansona, jako obejmujący szersze koła ludności miejskiej i zapewniający zawsze znaczną liczbę uczestników, ma, zdaniem „Kur. Codziennego”, więcej szans powodzenia.

NOWA KONWERSJA.

Ukaz Najwyższy z d. 5 stycznia upoważnia p. ministra finansów do emisji nowej pożyczki 4% w sumie 80 milj. rubli w złocie, w celu wykupienia pozostałych po dawniejszych konwersjach obligacji kolejowych 4%-procentowych z r. 1875. Zarząd minist. skarbu, postępując konsekwentnie po raz obranej drodze, zmierza w ten sposób do obniżenia normy % pożyczek państwowych, które przed kilku jeszcze laty oprocentowane były w stosunku 5 od sta. Zmniejszenie ciężaru tego i powstały z opłat celnych i sprzedaży biletów kredytowych kapitał 150 milj. w złocie, znajdujący się u bankierów zagranicznych, pozwoliły p. Wysnogradskiemu zająć stanowisko samodzielne na giełdach europejskich i kierować operacjami giełdowymi zgodnie z interesem skarbu ruskiego. Na kapitał wspomniany złożyły się też przewyżki zaciągniętych na konwersję pożyczek nad wartością istotną papierów konwertowanych. Dług państwowy wzrósł zatem nieznacznie, wzrost ten wszakże tak poważne przyniósł dla finansów państwa korzyści, iż wynagradzają one w zupełności ciężar nowych pożyczek.

WIADOMOŚCI EKONOMICZNE.

— Na zeszłorocznej wystawie w Tyflisie podziwiano ogromną bryłę soli białej, ważącą kilkadziesiąt pudów, a czystsza od kryształu. Sól to kopalna, pochodząca z gub. erywańskiej, z samego pogranicza Persji. Na znacznej przestrzeni ciągną się tam całe góry soli. Dobywają ją, jak zapewnia koresp. «Słowa», z wielką łatwością, rozsadzając prochem solne te skały... Pud na miejscu kosztuje 5 kop. Pomimo to w Tyflisie używana jest sól krymska, która taniej daleko kosztuje, bo przewóz jej tańszy. Eksploatacja na wielką skalę «kulp» erywańskich rozwijać się może dopiero z rozwinięciem się dróg komunikacyjnych.

— Według obliczeń departamentu przemysłu i handlu, z 21,810 osób, zarządzających fabrykami i zakładami przemysłowymi, tylko 1,471 osób, czyli mniej niż 7% otrzymało wykształcenie techniczne, tak wyższe, jakoteż w szkołach średnich i niższych. «Now. Wrem.» objaśnia fakt głównie tem, iż zakłady przemysłowe posilkują się przeważnie cudzoziemcami, w innych zaś kierunek powierzany bywa osobom, nie tyle teoretycznie, ile praktycznie obznajmionym z produkcji; tymczasem ogromna większość młodzieży, opuszczającej wyższe zakłady naukowe, techniczne, rzadko kiedy znajduje miejsce, odpowiednie do swej specjalności. Na okoliczność tę zwrócono już uwagę na jeździe w kwestji wykształcenia technicznego, a obecnie ma być utworzona komisja, która się zajmie bliższem zbadaniem przyczyn, przeszkadzających młodym technikom znajdować odpowiednie posady fabryczne.

— Minister wojny oznaczył nagrodę 1,000 rs. za ulepszenie sposobu opalania za pomocą nafty. Mając na względzie możność tej sprawy dla szpitalów wojskowych, koszar i t. p., p. minister wyraził życzenie, ażeby sprawą tą kierowali członkowie Towarzystwa technicznego, bądź jen.-lejt. Wojnicki, bądź też pułkownik Werenianin.

Z rynków towarowych.

ZBOŻE. Wobec braku zupełnego wszelkich koniunktur, sprzyjających ożywieniu się handlu zbożowego, miarodajne rynki nie odznaczały się wielkim ruchem w tygodniu ubiegłym. Powiedziećby raczej nawet można, że zbyt mało były czynnemi. Potrzeby bieżącej chwili wszędzie w krajach, zaopatrujących się w obce zboże, zaspakajane są dostatecznie przez zapasy już dotychczas nagromadzone, a ztąd też dla importu niewielkie chwilowo przedstawiają się szanse. Spekulacja zdaje się być ubezwładniona, nie może bowiem wynaleźć pretekstu bądź na rzecz zwyżki, bądź też zniżki cen, które w tygodniu sprawozdawczym prawie powszechnie, nie licząc drobnych fluktuacji, na poprzednim utrzymały się poziomie. Na rynkach zagranicznych płacono: w New-Yorku: pszenica 109 — 113 $\frac{1}{2}$; w Londynie: pszenica saksonka 111, girka 107, ozima 110, towar gdański 111 $\frac{1}{2}$, towar królewiecki 110 $\frac{1}{4}$, owies 82 — 116, jęczmień 81 $\frac{1}{2}$ — 83; w Marsylii: pszenica girka 102 — 111 $\frac{1}{2}$, sandomirka 110, ozima 112 $\frac{1}{2}$, owies 77 $\frac{1}{2}$, jęczmień 69 $\frac{1}{2}$; w Berlinie:

pszenica 98, żyto 82 — 88 $\frac{1}{2}$, owies 70 $\frac{1}{2}$ — 72 $\frac{1}{2}$, jęczmień 81 — 88; w Królewcu: pszenica pstra 105 $\frac{1}{2}$, czerwona 85 $\frac{1}{2}$ — 98, żółta 85 — 96 $\frac{1}{2}$, jara 95 $\frac{1}{2}$; w Gdańsku: pszenica 101 — 101 $\frac{1}{2}$, żyto 76 — 77 $\frac{1}{2}$, jęczmień 60 $\frac{1}{2}$ — 72.

Rynki krajowe nie dopełniły żadnych prawie ważniejszych transakcyj. Z jednej strony wpływał na to niewielki stosunkowo popyt na zboże z zagranicy, z drugiej zaś oddziaływał też w tej mierze wciąż znów wzrastający kurs waluty ruskiej, wobec którego tak producenci sami, jak i inni właściciele ziarna, niechętni byli do układow. Ceny wielkich zmian nie zaznaczyły; w Warszawie tylko żyto straciło nieco więcej, bo 20 kop. na korek; natomiast w handlu mąką nastąpiło tam pewne ożywienie, spowodowane ustaniem dowozów, na skutek złego stanu dróg komunikacyjnych. Płacono: w Warszawie (za korzec): pszenicę wyborową 580 — 630, żyto wyborowe 465 — 500, jęczmień wyborowy 400. W Rydze: żyto 75, owies 61 — 70, jęczmień 62 — 76. W Libawie: żyto 73 — 77, owies 61 — 71, jęczmień 61 — 69.

CUKIER. Na rynkach zagranicznych żadnych zmian w handlu tym produktem nie zanotowano. Rynki zaś krajowe zostają w niejakej niepewności, z powodu niewiadomego jeszcze rezultatu kwestji odnośnej wewnętrznej taryfy przewozowej. Ceny miały się raczej ku niższej, jak ku wyższej. Tak w Kijowie, jak i w Warszawie, transakcje szły ciężko zarówno z rafinadą, jak i z mączką; te zaś, jakie doszły do skutku, dotyczyły wyłącznie zaspokojenia potrzeb miejscowych. Płacono: w Kijowie: mączkę 405 — 450, na eksport 188; w Warszawie (za kamień): mączkę w pełnych ładunkach najwyżej 255, w pojedynczych workach 257 $\frac{1}{2}$, rafinadę 290 — 292 $\frac{1}{2}$, kostki 290.

DRZEWO. Ożywienie w handlu drzewnym, jakieśmy co do Warszawy w tygodniu przeszłym zanotowali, uległo pewnej zmianie. O ile poprzednio obejmowało ono przeważnie większy budulec, o tyle obecnie przechyliło się na stronę bali, desek, oraz szweli (podkładów kolejowych). Z okolic Pińska nadeszły partje desek świerkowych dobrego gatunku, za które zapłacono po kop. 30 — 32 za stopę kubiczną angielską. Deski i bale olszowe były poszukiwane i płacono je po kop. 35 — 40 za kubik. Bale sosnowe płacono po kop. 30 za kubik. Na dostawę do dróg żelaznych nabyto 8,000 szweli dębowych, po cenie rs. 1 k. 35 za sztukę.

F.

KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

Emulsja Brown Séquard'a. Na posiedzeniu Towarzystwa biologicznego, odbytem w Paryżu d. 20 grudnia, Brown-Séquard zaprzeczył — jak pisze «Gazeta Lekarska» — jakoby płyn jądrowy, o którym w ostatnich czasach robiono dużo hałasu, wstrzykiwany pod skórę, mógł wywołać skutki lecznicze w gruźlicy. Co najwyżej, stosowany tą drogą płyn, może działać podniecająco na układ nerwowy. Podawany do żołądka w eliksirach lub syropach, nie działa zupełnie wskutek zniszczenia przez płyn żołądkowy.

Gość. Z Madrytu piszą do nas. «Na ostatnim posiedzeniu akademii nauk w Madrycie, prezes p. Canovas del Castillo zakomunikował wiadomość o ciekawych rękopisach hiszpańskich, znajdujących się w jednej z bibliotek w Krakowie. Rękopisy te, mające znaczną wartość historyczną i literacką, nie były dotychczas znane, a nawet nie o nich w Hiszpanji nie wiedzano. Z tego powodu p. Canovas del Castillo postawił wniosek, aby wysłać jednego z członków akademii, celem zbadania cennych dokumentów. Akademia madrycka jednogłośnie wydelegowała pana Mendez Pelayo, aby rozpatrzył się w rękopisach, upoważniając go zarazem do poszukiwań w bibliotekach w Warszawie i w Petersburgu. Objasniamy przy tej sposobności, że p. Canovas del Castillo jest zarazem prezydentem akademii nauk i prezesem rady ministrów, oraz głową stronnictwa konserwatywnego. Pan Mendez Pelayo, którego mamy ujrzyć w Warszawie, jest wprawdzie najmłodszym, ale może też i największym wykształconym z członków madryckiej akademii nauk».

Kochina. Dr. Koch ogłosił w numerze z d. 3 (15) stycznia «Deutsche Medicinische Wochenschrift» sposób otrzymywania swojej limfy i oddał tajemnicę swoją w ręce świata lekarskiego. Kochina jest ekstraktem glicerynowym czystej hodowli lasecznika gruźliczego. Używa się w tym celu 40 — 50% roztwór gliceryny. Skład chemiczny specyfiku nie jest samemu wynalazcy dokładnie znany; w każdym razie jestto produkt białkowy, ale prawdopodobnie nie należy, jak dotychczas mniemano, do grupy toksalbuminów. W skład limfy wchodzi, oprócz hodowli laseczników, i inne produkty, rozpuszczalne w roz-

tworze 50% gliceryny — sole mineralne, barwniki i t. d.

Odkrycie prof. Brücknera. Jak wiadomo (p. № 12 «Kraju» z r. z.), prof. Brückner, bawiac w roku ubiegłym w Petersburgu, zrobił w bibliotece publicznej wielkiej wagi odkrycie, odnalazłszy zabytek piśmienny mowy polskiej, starszy od wszystkich znanych dotychczas. Obecnie uczony odkrywca ogłosił ze swoich poszukiwań obszernie sprawozdanie w roczniku akademii berlińskiej. Najważniejszym z odnalezionych zabytków są «Kazania świętokrzyskie», sięgające początków XIV wieku: Kazania te, których profesor odnalazł tylko dwie całe karty i dwie dolne połowy, pisane są językiem prostym, potocznym, bez owego balastu cytat i przykładów, którym odznaczają się późniejsze «Kazania gnieźnieńskie». Wpływ czeszczyzny mniejszy, niżby można oczekiwać. Z pomiędzy innych, znalezionych przez prof. Brücknera zabytków, wymienić należy dwie książki bardzo wczesnej (prawdopodobnie pierwszej) edycji elegij Jana Kochanowskiego, w odmiennej od znanych dotychczas redakcji. Jest tam kilka nieumieszczonych w wydaniach późniejszych elegij, dowodzących wolności księcia poetów polskich, wrogo usposobionego do władzy świeckiej papieża i bezceństwa księży. Oprócz tego prof. Brückner znalazł wiele nieznanych utworów poetycznych Mikołaja Sępa Szarzyńskiego, oraz jeszcze więcej poezyj Wacława Potockiego. Wreszcie wiersz nieznanego autora, będący prawdopodobnie najstarszym zabytkiem piśmiennym poezji polskiej, a zawierający przepisy zachowania się przy stole. Wiersz ten prof. Brückner ogłosił, opatrzyszy go stosownym wstępem, w 1-szym zeszycie «Ateneum» z r. b.

Przekład «Mohorta». Pan Tierentjew, pułkownik, członek warszawskiego sądu okręgowego wojennego, przełożył na język ruski poemat Wincentego Pola «Mohort». P. Tierentjew wyda swój przekład w ciągu pierwszej połowy roku bieżącego, gdyż — jak donosi «Kur. Por.» — już się on drukuje w drukarni warsz. okręgu naukowego. P. Tierentjew jest zdolnym lingwistą i przed laty wydał gramatykę języków: perskiego, arabskiego i tureckiego.

Hr. Stanisław Rzewuski, syn zmarłego generała, napisał po francuzku czteroaktową komedję p. t.: «Trahison», która wystawiona być ma w «Théâtre Libre» w Paryżu, dokąd p. Rzewuski ma podobno zamiar przenieść się zupełnie, sprzedawszy swoje dobra, odziedziczone po matce i ojcu w kraju południowo-zachodnim. Byłoby pożądanem, żeby się ta wiadomość nie sprawdziła.

Książki prawnicze. «Gaz. Sąd.» w Nr-ze I z r. b. zamieściła w feljetonie, zatytułowanym: «Z życia sądowego», spis dzieł prawnych polskich, wydanych w roku zeszłym; dzieł tych wyszło wszystkiego 22; pięć w Warszawie, reszta — w Krakowie i Lwowie.

Tadeusz Bronisław Borodicz, kompozytor polski, mieszkający w Wiedniu, napisał czteroaktową operę «Król Lear» i oddał ją teatrowi w Bernie na Morawach do wystawienia.

Alfred Wierusz Kowalski, artysta malarz, mianowany został członkiem honorowym monachijskiej akademii sztuki.

Dzieła Arystotelesa. Na jednym ze starożytnych papyrusów — jak donoszą wtorkowe telegramy — przechowywanych w British Museum w Londynie, odkryto prawie całkowity tekst rzezonnych dzieł o państwowem urządzeniu Aten.

Wystawa architektoniczna towarzystwa sztuk pięknych w Warszawie zgromadziła wiele prac cennych. Według pism miejscowych, pierwsze na niej miejsce zajmują budowniczyowie wspólnie pracujący, pp. Stefan Szyller i Antoni Jabłoński, którzy wystawili prawie wszystkie swe prace ostatnich lat kilku. Na liście wystawnej znajdujemy oprócz tego wychowawców petersb. akademii sztuk pięk.: pp. Wieliczko i Tołwińskiego. Pan Wiktor Wieliczko wystawił projekty kursalu czy kasyna, które się zalecają umiejętnością wykonania i ogromem brył, stanowiących te budowle. Budowniczy Tołwiński nadesłał projekt lazaretu dla Odessy i kasyna w Kujalnickim limanie. Projekt odznacza się praktycznością układu planu i charakterystyką ozdoby frontu.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Antoniemu P. w Jenisejsku. Z nadesłanych przekładów z Schillera korzystać nie możemy. Jeżeli sz. pan będzie sobie życzył, zwrócimy mu rękopis za nadesłaniem pańskiego adresu.

REDAKTOR I WYDAWCA ERAZM PILTZ.

STAN RACHUNKOW BANKU HANDLOWEGO W ŁODZI

PO DZIEŃ 31 GRUDNIA 1890 ROKU.

STAN CZYNNY.

Kasa, gotowizna w biletach bankowych i bilonie	93,500 99
Skup weksli opatrzonych najmniej 2 podpisami	1,221,011 72
Zastawy ubezpieczone:	
a) papierów państwowych	1,885 —
b) listów zastawnych	1,275 —
	3,160 —
Papiery wartościowe własność banku stanowiące:	
a) państwowe i przez rząd poręczone	23,421 77
b) przez rząd nieporęczone	— —
1) listy zastawne	29,457 54
2) udziały	3,390 —
	32,847 54
	56,269 31
Papiery wartościowe kapitału zapasowego	412,449 65
1) Kredyty ubezpieczone papierami:	
a) papiery państwowe	9,795 79
b) listy zastawne i akcje	40,402 80
c) weksle z 2 podpis.	853,059 87
2) Sumy do dyspozycji banku (oncall)	683,320 30
	1,586,578 76
nasze rachunki (nostro):	
a) sumy należące do banku	— —
b) weksle do inkaso	— —
	53,080 67
	1,639,659 43
Weksle i traty na obce miejsca	714,513 47
Nieruchomości	60,000 —
Ruchomości	1,766 07
Koszta urządzenia	3,295 40
Sumy przechodnie	135,144 51
Koszta handlowe	53,862 50
Rozchody podlegające zwrotowi	351 35
Weksle protestowane	— —
	4,394,984 40

STAN BIERNY.

Kapitał zakładowy	1,500,000 —
Kapitał zapasowy	412,731 18
Rachunki zysków i strat	5,880 —
Niewypłacona dywidenda	— —
Rachunki przekazowe:	
a) za okazaniem	205,318 36
b) za 7-dniowym wypowiedzeniem	145,994 87
	351,313 23
Wkłady procentowe:	
a) terminowe	170,416 39
b) bezterminowe	20,919 13
	191,335 52
Korespondenci:	
a) ich rachunki (loro):	
a) sumy do dyspozycji korespondentów (on call)	698,113 51
b) weksle do inkaso	16,980 —
	715,093 51
b) nasze rachunki (nostro):	
Sumy należące do banku	865,835 41
	1,580,928 92
Procent i prowizya	251,118 02
Sumy przechodnie	101,677 53
	4,394,984 40
Weksle do inkaso	19,461 49
Depozyty w przechowaniu	3,127,623 95

(R-7-1) Łódź, dnia 31 Grudnia 1890 r.

DYREKCJA Drogi Żelaznej Warszawsko- Wiedeńskiej

wiadamia, iż zaboowiązuje po dzień 20 Grudnia 1890 (1 Stycznia 1891 r.) specjalne taryfy №№ 34A i 34B w związku Południowo-Zachodnim, na przewóz węgla kamiennego, koks i t. p. ze stacji: Dąbrówka, Strzemieszyce, Granica i Sosnowice do niektórych stacji dróg Południowo-Zachodnich, przedłużone nadal zostały.

Ogłoszenie powyższe pomieszczonem zostało w № 176 Zbioru Taryf dróg rosyjskich za № 482.

(R-2-1-1)

Księgarnie: Br. Rymowicz w Petersburgu i J. Zawadzkiego w Wilnie, otrzymały na skład główny:

ЛИТОВСКО-АЗЫЧЕСКІЕ ОЧЕРКИ

Историческія изслѣдованія Тео-бальда. Cena kop. 75.

Pierwszorzędny kantor nauczyc. ZAŁĘSKI

w Warszawie, Mazowiecka № 16
pośredniczy w umieszcz. nauczycieli, nauczycielek i bon różnej narodow. i takowe na żądanie sprowadza z zagran. (12-26-1)

Album Najnowszych Tańców

wybranych na

KARNAWAŁ 1891

przez

L. LEWANDOWSKIEGO.

ROCZNIK V.

E. Waldteufel. «Towarzystwo Paryżkie» (Tout Paris) walc. kop.	30
A. Manzotti. «Excelsior» kadryl	40
A. Sonenfeld. «Dzieweczka» polka	20
F. Fahrhach. «Srebrne dzwonki» polka	20
L. Lewandowski. «Lolota» polka-mazurka	20
«Ciarach» mazur	20
«Wodziej» mazur	20
C. M. Ziehrer. «Sensacyjny» galop	20

Cena całkowitego Albumu rs. 1 kop. 25.

Do nabycia w księgarniach oraz w Redakcyi „ECHA MUZYCZNEGO“ [RAJCHMAN I FRENDLER],
Senatorska № 26. (3)

Magazyn Perfum A LA RENOMMÉE

Nowski просп. № 3, w pobliżu Admiralicji, poleca:

PERFUMY

następując. zapachów, nader delikatnych i subtelnych, długotrwałych:

CORILOPSIS JAPONSKI.	SKÓRA HISZPAŃSKA.
ALLAH VERDY (bouquet).	HYACINT.
BIAŁY BEZ.	KONWALJA MAJOWA.
BIAŁY HELJOTROP.	IRIS FLORENCKI.
PARFUM DE LA COUR.	SELTANETTA (bouquet).
TAMARA (bouquet).	YXORA i t. d., i t. d.

Łut 20 k., flak. 45 k., 65 k. i 1 rs. — 1/4 f. 1 rs. 40 k., 1/2 f. 2 rs. 75 k., 1 f. 5 rs. 50 k.

PERFUMY BEZ PERSKI

Łut 25 k., flak. 60 i 85 k. — 1/4 f. 1 rs. 50 k., 1/2 f. 3 rs., 1 f. 6 rs.

PERFUMY EKSTRAKT PORTUGALSKI

Flakony po 75 k., 1 rs. 50 k. i 2 rs. 25 k., 1/4 f. 1 rs. 65 k., 1/2 f. 3 rs. 25 k., 1 funt 6 rs. 50 k.

NOWE PERFUMY: IRIS AMBRÉ

ROYALE ESSENCE IRIS AMBRÉ

Flakon 1 rs., łut 30 k., 1/4 funt 1 rs. 90 k., 1/2 f. 3 rs. 75 k., 1 f. 7 rs. 50 k.

Obstalunki z prowincji mogą być za obciążeniem pocztowem.
Handlującym odpowiedni rabat. Cenniki wysyła się gratis. (306-25)

FABRYKA

Staników Trykotow. „JERSEY”

poleca sklep swój, zaopatrzony w wielki wybór Staników od rs. 3 do najwykwintniejszych i jedwabnych, podług modeli paryżkich, tak Żakietów, jak i Ubranek dzieciennych.

RÓWNIEŻ WIELKI WYBÓR

WOALEK

«Manufaktura Krajowa», ulica Niecała, 12.

A. BROCHOCKI.

(W-8-3-1)

PIERWSZORZĘDNE KAUCYONOW.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

F. SIKORSKIEJ

w Warszawie, Niecała № 12, parter

Upoważnione przez Władzę na Cesar.
i Król.; ma do umieszczenia Nauczycieli, Nauczycielki i Bon. (W-10-3-1)

i 6. Pierścionki galwaniczne od bólu zębów. szt. rs. 1. Bransoletki i łańcuszki galwan. od reumat. newral. i migr. do rs. 2. Obsadki do piór galw. dla osób, którym drżą ręce, po rs. 2. Ceny z opak. i przes. Poleca Zakład Chirurg. MICHAŁA dawniej Jakóba PIK, Warszawa, Miodowa 6.

NAUCZYCIELKA POLKA

z dyplomem gimnazjalnym, patentem konserwatorjum, poszukuje miejsca w Cesarstwie w znacym polskim domu. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 38, m. 24. (W-17-2-1)

Prawdziwe mydło benzoesowe D^{RA} Lengiela

W WIEDNIU.

Nabyć można w składach aptekarskich i perfumeryjnych.

(386)

GŁÓWNY SKŁAD

ZAKŁADÓW ŻYRARDOWSKICH

w Warszawie, Krakowskie-Przedmieście Nr. 55,
poleca znaczny zapas jaknajstaranniej wykonanej

BIELIZNY DAMSKIEJ

od zupełnie skromnej do najwykwintniejszej.
Koszule dzienne i nocne, kopje ostatnich, osobi-
ście w Paryżu zakupionych modeli, płóciennne, ba-
tystowe i z chiffonu francuzkiego, przybrane hafta-
mi, koronkami i wstążkami.

Pantalony, Spódnice, Kaftaniki.

Narzutki do czesania (Peignoirs).

Matinées i Szlafroczyki w wielkim wyborze, z róż-
nych materiałów.

Czepeczki nocne i negligowe.

Wszelką bieliznę pościelową: prześcieradła na ma-
terace i pod koldry, poszewki, jaśki, kapy na łóżka
i poduszki.

Magazyn ma w zapasie i wykoncza

KOMPLETNE WYPRAWY

od cen najniższych, niemniej podejmuje się znaczenia mo-
nogramów i herbów, i uskutecznia wszelkie zamówienia
z jaknajwiększą dokładnością, elegancją i punktualno-
ścią, w jaknajkrótszym czasie i po cenach możliwie
nizkich.

Stosując się do życzenia wielu Klientów, urządzoną została także sprzedaż hurtowa bielizny gotowej dla handlujących, z ustępstwem odpo-
wiedniego rabatu.

NB. Cenniki szczegółowe bielizny damskiej, męskiej i wypraw, wysyła na żądanie na prowincję odwrotnie i bezpłatnie

Zarządzający Składem Żyrardowskim **L. Bułakowski.**

BIELIZNY MĘSKIEJ

podług ostatnich modeli paryzkich wykonanej, z gwa-
rancją najlepszego kroju.

Koszule dzienne płóciennne z webowemi gorsami,
kołnierzykami i mankietami, prane, jak niemniej bez
kołnierzy i mankietów.

Koszule kretonowe i z madapolamu.

Koszule nocne płóciennne cienkie, z haftem kolorowym.

Koszule nocne kreasowe gładkie.

„ „ z madapolamu.

„ „ i do podróży jedwabne, fularo-
we, w najnowsze desenie i z surowego jedwabiu.

Kalesony płóciennne z pasami wyszywanemi.

„ kreasowe grubsze i cieńsze.

„ dryliskowe w paski czerwone i niebieskie.

„ dymkowe w różnych gatunkach, gładkie
i z pasami wyszywanemi.

Kołnierzyki stojące, wykładane i

Mankiety w najnow. fason. i wszelkich wielkościach.

Krawaty krajowe i paryzkie.

Szelki, Szpilki do krawatów, Spinki do mankietów i
gorsów najnowsze paryzkie, w wielkim wyborze.

SKŁAD NASION

K. WASILEWSKI

W WARSZAWIE, ULICA MIODOWA № 18

kupuje w każdej ilości

KONICZYNĘ CZERWONĄ

białą, szwedzką, przelot, tymolkę i t. p. nasiona, i uprasza panów pro-
ducentów uprzejmie o oferty z dokładnemi większemi próbami, z po-
daniem ilości, terminu dostawy i ceny franco najbliższa stacja kolejowa.
Większe partje odbierają i regulują się na miejscu. (W-4-3-13)

SKŁAD

HERBATY CHIŃSKIEJ

J. Z. RATYŃSKIEGO

POLECA WYBOROWE GATUNKI Herbaty lądowej;

w Warszawie, Skład Główny Jerozolimska 84;

w Kaliszu, sklep własny, dom Rozena;

w Wilnie u T. Odyńca;

w Mińsku u J. Staroniewicza. (W-18-3-1)

TREŚĆ NUMERU:

Artykuł wstępny: Budżet państwa na rok 1891, p. L. Artykuły
literackie: Zwiastuny Bajronizmu, p. M. Zdziechowskiego (d. c.). Po-
gadanka naukowa, p. D-ra Y. Z. Sen, opowiadanie, p. Bolesława Prusa
(dok). «Ziemia obiecana», p. Cz. J. Artykuły i korespondencje:
Z nad Niemna, p. Tacitusa. Przyczyny upadku szlacheckiej własności
ziemskiej. Z powodu ucieczki Podlewskiego. W Olot. P. Al. Kojatowicz
contra Szarapow. Głos z za Oceanu, p. Olamansa.

Luźne kartki (Feljeton «Kraju»): Hypnotyzm i zbrodnia.

Echa zachodnie (od specjalnych korespondentów «Kraju»): z Por-
nania p. Domarata, ze Lwowa p. Notę, z Krakowa, p. Średnika. Z po-
litycznego świata, p. J. T. H. Wiadomości polityczne. Kronika za-
graniczna.

Z Tygodnia. Przegląd prasy ruskiej. Wiadomości bieżące.
Echa dziennikarskie. Kronika petersburska. Kronika warszaw-
ska (listy korespondentów «Kraju» i drobne wiadomości).

Listy z prowincji (od specjalnych korespondentów «Kraju»): z Wil-
na p. Vester i Ten., z Wołkowyskiego pow. p. W. B., z Mińskiej guber-
ni, p. Al. Jelskiego, z Kijowa p. M. Trzaskę i t. d. Rozmaitości. Pra-
wo i sądy. Kurjer kościelny. Kurjer szkolny.

Ekonomista. Z Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Nowa
konwersja. Wiadomości ekonomiczne. Kronika giełdowa. Z rynków to-
warowych, p. F. Drobiazgi.

Doniesienia. Ogłoszenia.

Do dzisiejszego Numeru dołącza się dla wszystkich prenu-
meratorów 2-gi arkusz powieści Ostoi p. t. „Królowna”.